AWANTURY
ARABSKIE
LUB
TYSIĄC NOCY
Y
IEDNA
W JĘZYKU FRANCUZKIM
PRZEZ
J. M. P. GALAND
WYDANE,
A SWIEZO
NA JĘZYK POLSKI
DLA PUBLICZNEY
SATYSFAKCYI
PRZETŁUMACZONE.
TOM III.

Za pozwoleniem Zwierzchnośći.

W WARSZAWIE 1774.
NAKŁADEM MICHAŁA GRELA,
J. K. Mći Komiſarza y Bibliopoli, w Marywilu
No. 19. pod znakiem Pôétow.

TYSIĄC NOCY
Y
IEDNA
AWANTURY
ARABSKIE.

CZĘSC TRZECIA.

HISTORYA SYNDBADA MORSKIEGO.

Nayiaśnieyszy Panie, pod panowaniem tegoż Kalify *Harouna Alraszyda*, o ktorym nie dawno miałem mowę, był w *Bagdadzie* pewny Drążnik ubogi, nazwany *Hindbad*. Dnia iednego podczas wielkiego upału, niosł znaczny ciężar, z iednego, aż do drugiego końca Miasta. Ponieważ bardzo zfatygował się podrożą, a ieszcze mu ią daley potrzeba było kontynuować, wyboczył na ulicę w ktorey miły wietrzyk powiewał, a bruk skropiony rożową wodą, wonny wydał zapach. Sądząc, że nie mogł nawet pragnąć

ſpoſobnieyſzego do ſpoczynku mieyſca, złożył ſwoy ćiężar na źiemię y uſiadł na nim około wſpaniałego iednego Domoſtwa.

Bardzo ſobie ſam w krotce dziękował, że ſię na tym zatrzymał mieyſcu: miła albowiem wonność drogiego Alòéſowego oleyku, y troćiczek, wyćiſkaiąca ſię przez okna owego Pałacu y mieſzaiąca ſię z zapachem rożowey wodki, miłą powonienie iego napełniła roſkoſzą, y po całym rozchodziła ſię powietrzu. Oprocz tego uſłyſzał miły rożnych inſtrumentow odgłos, złączony z przedziwnie zgodnym wielkiey liczby ſłowikow, y innych znayduiących ſię w *Bagdadzie* ptaſząt, śpiewaniem. Owa nader miła melodya, y wdzięczny wielu potraw zapach, były przyczyną, że ſądził iż w Pałacu tym zapewne iaki był bankiet, lub że ſię w nim dla rozrywki iakiey rozweſelano. Pragnął ſię dowiedzieć, ktoby mieſzkał w owym Pałacu, ktorego dobrze nie znał; nie przytrafiało mu ſię albowiem częſto przez tę przechodzić ulicę. Ażeby w tym ſwoiey uczynił doſyć ćiekawośći, zobaczywſzy nie ktorych ſłużących wſpaniale przybranych, ſtoiących w Bramie, zbliżył ſię do nich, y z nich ſpytał ſię iednego, iakby ſię nazywał Pan owego Pałacu. Jako? odpowiedział mu ſłużący, ieſteś obywatelem *Bagdadzkim* a nie wieſz że to ieſt Pałac JMći Pana *Syndbada Morſkiego*: owego arcy ſławnego dla ſwoich podroży Kupca, ktory to wſzyſtkie, ktorekolwiek ſłońce oświeca, zwiedził

mo-

morza? Drążnik, ktory iuż przedtym cokolwiek ſłyſzał o wielkich *Syndbada* bogactwach, pragnąć począł poznać ſię z tym człowiekiem ktorego ſtan tyle zdawał mu ſię bydź ſzczęśliwym, ile ſwoy poczytywał za nędzny y godny opłakania. Maiąc rozum rożnemi przytłumiony reflexyami, w zniosł oczy ku Niebu y rzekł głośno, że go ſłyſzeć było można; Wſzechmocny Stworco wſzyſtkich rzeczy, zważ iak wielka między mną y między *Syndbadem* znayduie ſię rożnica: ia codziennie nieźliczone ponoſzę fatygi y nędze, y ledwie mogę ſię wyżywić z familią moią grubym ięczmiennym chlebem, a ſzczęśliwy *Syndbad* obfitemi rozrzutnie ſzafuie bogactwy, y pełne delicyi prowadzi życie. Coż uczynił dobrego, żeś mu tak ſzczęśliwy los naznaczył? Cożem nieſzczęśliwy przewinił, żeś mi tak nieznośny przeznaczył wyrok? Te kończąc słowa, począł bić nogą w źiemię, iako człowiek dla zbytniego żalu w oſtatniey zoſtaiący deſperacyi. Temi ſię ieſzcze okropnemi zabawiał myślami, gdy uyrzał wychodzącego z Pałacu Sługę, ktory przyſtąpiwſzy do niego, y wziąwſzy go za rękę, rzekł: podź za mną, JMć Pan *Syndbad* moy Pan chce ſię z tobą rozmowić. Dzień ktory ſię pokazał nie pozwolił *Szecherazadzie* kontynuować tey hiſtoryi; lecz na zaiutrz tak ſię do niey powroćiła.

LXX. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie, łatwo sobie Wasza Cesarska Mość wnieść możesz, że komplement ten w nie małe *Hindbada* wprawił zadumienie, y boiaźń. Przypomniawszy sobie swoy dyskurs, słusznie się obawiał, ażeby go *Syndbad* nie ukarał; przeto exkuzował się, że nie mogł żadnym sposobem w pośrzodku ulicy zostawiać ciężaru: lecz Sługa *Syndbada* upewnił go, że miano mieć na ciężar iego oko, y wypełniaiąc rozkaz swoiego Pana, poty mu się naprzykrzał, poki iego zadosyć nie uczynił woli.

Wprowadzony Drążnik od Sługi do wielkiey sali, zobaczył wielką liczbę Osob, siedzących około Stołu wybornemi zastawionego potrawami. Na naywyższym mieyscu siedziała arcy poważna Osoba, urodziwa, y dla długiey brody godna poszanowania, a za nią stała niezliczona gromada Dworzan y sług, ktorzy iedni drugich w czynieniu tey usługi wyprzedzali. Ubogi Drążnik, ktorego to pomieszanie dla wielkiey liczby godnych ludzi, y apparencyi wspaniałego bankietu, wielce się pomnożyło, drząc od boiaźni, głęboki całey kompanii uczynił ukłon. *Syndbad* rozkazał mu zbliżyć się, y posadziwszy go na prawey stronie, ręką mu swoią podawał potrawy, potym rozkazał mu dać arcy wybornego wina, pod ktorym uginał się kredens.

Przy końcu bankietu, *Syndbad* uważaiąc, że

już

iuż goście nie iedli, zabrał głos, y obróciwſzy ſię do *Hindbada*, ktorego według zwyczaiu Arabſkiego, w poduſałym diſkurſie, mianował ſwoim Bratem, ſpytał go ſię: iak ſię nazywał? y iakiey był profeſſyi? Panie, odpowiedział mu Drążnik, nazywaią mię *Hindbadem*. Bardzo ſię z tego cieſzę: rzecze *Syndbad*, że cię tu oglądam y przyrzekam ci, że obecność twoia nie mniey ieſt miła całey kompanii; lecz chciałbym informować ſię od ciebie ſamego, o tych ſłowach, ktoreś niedawno na ulicy głośno wymowił. *Syndbad* albowiem, nim uſiadł do ſtołu, wyſłuchał całego iego dyſkurſu ſiedząc przy oknie, y to było przyczyną, że go kazał do ſiebie przywołać.

Na te pytanie, *Hindbad* cały napełniony wſtydem, niſko ſkłoniwſzy głowę, odpowiedział: Panie, przyznaię ci ſię, że ciężar moy wprowadziwſzy mnie w zły humor, wyprowadził gwałtem z moiego ſerca, niektore mniey dyſkretne ſłowa, za ktore pokornie cię przepraſzam. Ah nie bądź tey opinii, rzecze *Syndbad*, ażebym miał bydź tak nieſprawiedliwym, ażebym ztąd iaką ku tobie wſercu chował urazę. Wchodzę doſkonale w twoy ſtan nieſzczęśliwy, nie tylko nie mam ci za złe twoiego ſzemrania, y uſkarzania ſię, ale nadto prawdziwe nad tobą czuię politowanie; potrzeba iednak, ażebym cię z tego, w ktorym względem mnie zoſtaiesz, wywiodł błędu. Rozumiesz podobno bez wątpienia, żem bez trudności y pracy doczekał ſię tych wygod, y

ſpoczynku, ktorego zażywam; nie myłże ſię więcey w tey mierze. Nie pierwey tego tak ſzczęśliwego doſtąpiłem ſtanu, aż przez wiele lat wielkie prace y fatygi, iakie tylko rozum ludzki poiąć może, wyćierpiawſzy. Tak ieſt nie inaczey, Panowie moi, przydał, obracaiąc ſię do całey kompanii, śmiele rzec mogę, że prace moie ktorem poniosł tak ſą extraordynaryinie ćiężkie, że Osobom nawet nayłakomſzym na bogactwa, powinnyby odebrać fatalną ſzukania ich po morzu chćiwość. Słyſzeliśćie podobno barźo nie doſkonale, y bardzo mało, o ſtraſznych moich awanturach, y o niebeſpieczeńſtwach w ktorych zoſtawałem na morzu, podczas ſiedmiu moich podroży, teraz ponieważ podaie mi ſię do tego okazya, zechcę ie wam zupełnie opowiedzieć, pewny ieſtem, że ich miłe będziećie ſłuchać.

Aże *Syndbad* chćiał opowiadać ſwoię hiſtoryą partykularnie z okazyi Drążnika, nim ią zaczął rozkazał ażeby ćiężar zoſtawiony na ulicy, na mieyſce na ktore *Hindbad* żądał, zanieſiono. Ten wydawſzy rozkaz, wte mowić zaczął słowa.

HI-

HISTORYA
O
SYNDBADZIE
MORSKIM.
PIERWSZA PODROZ.

Odziedziczyłem dośyć znaczne do familii moiey należące dobra, ſtráćiwſzy ich więkſzą część na deboſzach, y roſpuśćie, poznałem ſię na moim zaślepieniu; y reflektowawſzy ſię uznałem, że bogactwa ſą znikome, y że ie łatwo każdy utráćić może, ieżeli ich menażować nie zechce. Zreflektowałem ſię oprocz tego, żem trawił y tráćił nadaremnie w nierządnym żyćiu czas, ktory ieſt naydrożſzą y nayſzacownieyſzą w świećie rzeczą. Przywiodłem ſobie na pamięć ſłowa wielkiego *Salomona*, ktore niegdyś ſłyſzałem od mego Oyca: że lepiey ieſt bydź w grobie, aniżeli w uboſtwie. Tknięty do żywego temi reflexyami, zebrałem z pilnośćią oſtatki moiego dziedzictwa; Przedałem na aukcyi publiczney wſzyſtkie, ktorem mogł mieć meble, y ruchomośći; złączyłem ſię potym z niektoremi Kupcami prowadzącemi handel morſki, y naradziłem ſię tych ktorych widziałem zdolnych do dania mi rady. Na oſtatek rezolwowałem ſię, dorabiać ſię tą małą pozoſtałą mi ieszcze ſumką, y

ką, y natychmiaſt zacząłem przyprowadzać do ſkutku tę moię rezolucyą. Udałem ſię do *Balſory*, * do ktorey przybiłem z wielą Kupcami na okręćie, ktoryśmy ſobie ſprawili za złożone proporcyonalnie pieniądze.

Rozwinęliśmy żagle, y udaliśmy ſię ku wſchodnim Indyom odnogą Perſką, ktora ieſt między Arabią ſzczęśliwą y Kroleſtwem Perſkim; długa będąc według zdania powſzechnego wſzyſtkich, na mil 70. Za tą odnogą morze wſchodnie ieſt arcy obſzerne: z iedney ſtrony graniczy z Abiſſynią, rośćiągaiąc ſię wzdłuż 4. tyſiące pięćſet mil aż do wyſp *Wak-Wak*. ** Attakowała mnie zpoczątku choroba ordynaryina morſka, lecz w krotce przyſzedłem do zdrowia, y więcey tey chorobie nie byłem podległy.

Podczas żeglugi naſzey, przybiliśmy do wielu wyſp, na ktorych albośmy przedali, albo wymienili naſze towary. Dnia iednego płynąc, gdy nam wiatr uſtał, niedaleko maleńkiey wyſpki, ktora to w pośrzodku wody wydawała ſię, iak śliczna źielona łąka, Kapitan okrętu, rozkazał zwinąć żagle y pozwolił wypocząć na źiemi wſzyſtkim będącym na okręćie, ktorzy ſobie tego życzyli. Byłem w liczbie tych, ktorzy na ową wyſpę wyſiedli.

Lecz

* Port morſki przy odnodze Perſkiey.

** Wyſpy te według Arabow ſą za Chińſkim Pańſtwem, nazywaią ſię tym imieniem od owocu tak nazwanego ktory ſię w nich rodzi; ſą to bez wątpienia wyſpy Japońſkie, nie ſą iednak tak oddalone od Abiſſynii.

Lecz gdyśmy przepędzali czas na iedzeniu y pićiu, ſpoczywaiąc ſobie po morſkich fatygach, wyſpka zaczęła ſię trząść, tak mocno, żeśmy ſię na nogach utrzymać nie mogli.

Na tych ſłowach *Szecherazada* zatrzymała ſię; poſtrzegła albowiem, że ſię iuż dzień pokazywał. Przy końcu naſtępuiącey nocy tak wróciła ſię do ſwoiego dyſkurſu.

LXXI. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, *Syndbad* kontynuuiąc ſwoię hiſtoryą rzekł: będący na okręcie poſtrzegłſzy trzęſienie wyſpy, krzyczeć na nas poczęli, ażebyśmy czym prędzey wſiadali do okrętu, przeſtrzegaiąc nas, żeśmy bliſcy byli zguby, ponieważ wyſpa ta mniemana była grzbietem wieloryba. Ci ktorzy byli nayoſtrożnieyſi ućiekali czym prędzey do batu, inni rzućili ſię w morze, y popłynęli ku okrętowi, ia zoſtałem ſię na wyſpie albo raczey na grzbiećie wielorybym. Gdy ſię owa ryba zanurzyła w morzu, ledwiem znalazł cokolwiek czaſu, do uchwycenia ſię za kawał drzewa, ktore było przynieſione z okrętu, na rozpalenie ognia. Tym czaſem Kapitan okrętu zabrawſzy ludzi, ktorzy byli wbaćie y tych ktorzy ſię byli wpław rzućili, y profituiąc z nowego pomyślnego wiatru, ktory ſię był wſczął, rozkazał rozwinąć żagle, a przeto wſzelką mi doſtania ſię do okrętu, odebrał nadzieię.

Zoſta-

Zoſtawiony więc byłem na dyſkrecyą bałwanow morſkich, rzucany będąc raz na tę, drugi raz na ową ſtronę. Nie dałem im ſobie wydrzeć życia przez reſztę tego dnia, y przez całą naſtępuiącą noc. Na zaiutrz uſtałem na ſiłach; y iuż pewney wyglądałem śmierci, gdy mię znagła fala ſzczęśliwie wyrzuciła ku pewney wyſpie. Brzegi tey wyſpy były wyſokie, y przykre; y wielką bym był w wydrapaniu ſię na nią miał trudność, gdyby natura ſama na moie ocalenie nie zachowała była w owym mieyſcu nie ktorych korzeniow drzewowych, ktorych uchwyciwſzy ſię, łatwom ſię doſtał do lądu. Rozciągnąłem ſię na ziemi w poł prawie będąc umarłym, leżałem poty, poki dzień nie zaiaśniał y nie weſzło ſłońce.

Wtenczas, lubom bardzo był ſłaby, dla wielkiey morſkiey fatygi; tudzież dla tego, żem żadnego iuż dzień drugi nie wziął poſiłku, czołgałem ſię po wyſpie, ſzukaiąc dobrych do iedzenia ziołek. Znalazłem przecie nie ktore, y ſzczęściem napadłem na źrzodło wyśmienitey wody, ktora mi nie mało do odebrania ſił ſłużyła. Pokrzepiwſzy ſię, począłem przechodzić ſię po wyſpie nie trzymaiąc ſię pewney drogi. Wyſzedłem na piękną rowninę, na ktorey zobaczyłem zdaleka paſącego ſię konia, udałem ſię czymprędzey wową ſtronę, paſſuiąc ſię z boiaźnią, y radością: nie byłem albowiem pewny ieżelim raczey własney moiey nie ſzukał zguby, a niżeli okazyi ocalenia życia. Poznałem zbliżywſzy ſię, że to była

ła klacz przywiązana do pala. Piękność iey obróciła ku ſobie moie oczy; lecz gdym ſię iey przypatrywał, uſłyſzałem głos człowieka mowiącego pod źiemią. W krotce potym pokazał ſię ow człowiek, przyſzedł ku mnie, y ſpytał ſię ktobym był. Odpowiedziałem mu moię awanturę, tu wziąwſzy mię za rękę zaprowadził do iaſkini w ktorey było więcey ludzi, ktorzy zobaczywſzy mię nie mniey byli zadziwieni iak ia, żem ich na owym oglądał mieyſcu.

Pożywiwſzy ſię temi ktore mi ofiarowali potrawami, ſpytałem ſię ich, coby robili na mieyſcu tak opuſzczonym? Na co odpowiedzieli mi: ieſteśmy Masztalerze Krola *Michraga* Pana tey wyſpy: Roku każdego o iednymże czaſie, przyprowadzamy tu Krolewſkie klacze, przywiązuiąc ie tak, iakoś widział; a to dla ſpuszczenia ich z koniem morſkim wychodzącym z morza: koń morſki, po złączeniu ſię z klaczami, chce ie pożerać; lecz hałaſem y krzykiem naſzym ſprawiamy, że muſi uciekać do morza. Klacze zrzebne odprowadzamy, zrodzonych z nich koni, nazwanych końmi morſkiemi, ſam tylko Krol nasz zażywa. Przydali do tego że iuż na zaiutrz odiezdzać mieli z tey wyſpy; y że gdybym był choć dniem poźniey do niey przybył, zginął bym był bez wątpienia, kraie albowiem mieszkane od ludzi były z daleka od tey wyſpy, y trafić do nich bez przewodnika była rzecz nie podobna.

Wtym czaſie, w ktorym zemną rozmawiali,

koń

koń morſki wyſzedł z morza iako mi przepowiedzieli; rzućił ſię na klacz z łączył ſię z nią, y chćiał ią potym pozrzeć; lecz na krzyk wielki Masztalerzow porzućić ią y zchować ſię w morze muſiał.

Na zaiutrz udali ſię w podroż do ſtołecznego wyſpy Miaſta razem z klaczami, y iam ſię też do nich przyłączył. Za przybyćiem naſzym, Krol *Michrag* ktoremu byłem prezentowany, ſpytał mię ſię kto bym był, y iakaby mię awantura do iego zapędziła Państwa? Jak tylko zupełnie w tey mierze uczyniłem doſyć iego ćiekawośći, oświadczył ſię, że bardzo nad nieſzczęśliwym moim ubolewał loſem. Rozkazał przytym ażeby o mnie miano ſtaranie, y dano mi wſzyſtkiego, czego kolwiek bym potrzebował; rozkaz owego Monarchy, z wielką pilnośćią był wypełniony, tak dalece, żem miał przyczynę wychwalać y Jego wſpaniałość, y Miniſtrow Jego regularność.

Aże byłem Kupcem, uczęſzczałem do ludzi tąż ſamą zabawiaiących ſię profeſſyą, ſzukałem oſobliwie z pilnośćią przeieżdzaiących Kupcow, tak dla powzięcia iakiey z *Bagdadu* wiadomośći, iako też dla nalezienia kogo, z ktorym bym mogł do ſwoiey powroćić ſię Oyczyzny; Stolica albowiem Krola *Michraga*, położona ieſt przy morzu, y ma arcy wygodny port, do ktorego codziennie ze wſzyſtkich częśći świata przybiiaią okręty. Znaydowałem ſię także częſto w kompaniach Indyiſkich Mędrcow zwielkim ukontentowaniem

ich

ich ſłuchaiąc konwerſacyi; nie zaniedbałem iednak dla tego regularnie chodzić na Krolewſkie pokoie, y konwerſować z Rządcami, y pomnieyſzemi Krolami hołduiącemi temu Monarſze y przy Jego zoſtaiącemi Dworze. Tyſiączne mi zadawali względem moiey Oyczyzny kweſtye, ia też wzaiemnie, informuiąc ſię o obyczaiach y prawach ich Państw, wypytywałem ſię o to wſzyſtko, cokolwiek mi ſię zdawało bydź godnego moiey ciekawości.

Znayduie ſię w Państwie Krola *Michraga* wyſpa nazwana *Kaſſel*. Powiadano mi, że na tey wyſpie każdey nocy dawał ſię ſłyſzeć odgłos kotłow; co dało okazyą ſlyſom do mniemania, że na owym mieyſcu *Degial* * miał ſwoię rezydencyą. Wielką powziąłem chęć ſłyſzeć ten cud na własne uſzy, y w moiey podroży widziałem ryby na ſto y na dwieście łokci długie, więcey iednak boiaźni, aniżeli złego ſprawuiące. Tak ſą boiaźliwe, że na iedno ſtuknienie w deszczkę uciekaią. Widziałem drugie ryby na łokieć tylko długie, maiące głowy takie iako ma ſowa.

Po moim powrocie, bawiąc ſię trzy dni całe przy porcie, uyźrzałem okręt przybiiaiący do lądu. Jak tylko zarzucono kotwice, poczęto wy-

* Degial u Mahometanow toż ſamo znaczy co u nas Antychryſt, według nich przydzie na końcu świata, podbić ſobie całą ziemię procz Mekki, Medyny, Tarſu, y Jeruzalem, ktorych to Miaſt bronić będą Aniołowie.

noſić towary, a Kupcy do ktorych należały rozkazywali ie przenoſić do magazynow. Rzućiwſzy oczy na niektore paki y na podpiſy wyrażaiące do kogo należały, zpoſtrzegłem na wierzchu iedney paki moie imię, czemu gdym ſię z pilnośćią przypatrzył, wątpić nie mogłem więcey, że to były te towary, ktore będąc w *Balzorze* włożyłem na okręt. Poznałem nawet Kapitana okrętu, lecz że wyperſwadowany byłem, iż on rozumiał żem ia iuż nie żył, przyſtąpiwſzy: ſpytałem go ſię, do kogo by owe poſtrzeżone odemnie należały paki. Miałem na moim okręćie, odpowiedział mi, Kupca iednego *Bagdackiego*, nazwanego *Syndbad.* Dnia iednego przeieżdzaiąc około iedney wyſpy, iak ſię nam zdawało, zaſtanowiliśmy ſię koło niey, Kupiec rzeczony z wielą innemi, wyſiadł na mniemaną wyſpę, ktora w ſamey rzeczy była grzbietem niezmierney wielkośći wieloryba, na wierzchu wody ſpiącego. Ledwie co ta poczwara uczuła ogień, ktory na iey grzbiećie dla zgotowania obiadu rozpalono, natychmiaſt zaczęła ſię ruſzać, y zanurzać w morze, wiele znayduiących ſię na niey oſob utonęło: y nieſzczęśliwy *Syndbad* był z ich liczby; te paki do niego należały, teraz umyśliłem handlować niemi poty, poki ktorego krewnego iego nie znaydę, ktoremubym cały z nich zyſk mogł oddać. Poczćiwy Kapitanie, rzekłem do niego, ia ieſtem ten *Syndbad*, ktorego ty maſz za umarłego, y te paki ſą moie — — *Szecherazada* tey nocy

na

na tym ſtanęła; lecz na zaiutrz tak ſię wróciła do ſwego dyſkurſu.

LXXII. NOC.

Gdy Kapitan okrętu uſłyſzał mię tak mowiącego: o Wielki BOZE zawołał, komuż teraz można wierzyć? Niemasz iuż w ludziach kawałka poczćiwośći! widziałem na moie właſne oczy ginącego *Syndbada*; podrożni będący na moim okręćie toż ſamo widzieli; a ty śmiesz twierdzić, że ieſteś *Syndbadem*? Y możesz bydź większa czyia zuchwałość? Na pozor zdaiesz ſię bydź człowiekiem poczćiwym, a przećie dla doſtąpienia dobra cudzego, śmiesz tak wielkie popełniać kłamſtwo? Bądź ćierpliwym, rzekłem do Kapitana, a wyſłuchay co ći powiem. Dobrze, odpowiedział mi, mow co masz mowić, ſłucham ćię chętnie. Tu zacząłem mu opowiadać, iakim ſpoſobem uſzedłem śmierći; y iaką awanturą znalazłem Masztalerzow Krola *Michraga*, ktorzy mię do Jego przywieźli Dworu.

Wzruſzył ſię tym moim dyſkurſem; lecz bardziey ieszcze był wyperſwadowany, żem nie był Impoſtorem, gdy wielu ludzi przyſzedłſzy z okrętu, poczęli mię witać, oświadczaiąc ſwą z widzenia mnie radość. Na oſtatek poznał mię y ſam, y rzućiwſzy ſię na moię ſzyię rzekł: niech będzie BOG pochwalon, żeś ſzczęśliwie z tak wielkiego wybrnął niebeſpieczeńſtwa; nie mogę ći

doſtatecznie wyrażić iak wielkie ztąd mam ukontentowanie. Oto ieſt twoia praca, weź ią y iak chcesz nią dyſponuy. Podziękowałem mu za tę iego łaſkę; wychwalać począłem iego poczćiwość, na ktorey zawdzięczenie, ofiarowałem mu nie ktore w podarunku towary, lecz ich przyiąć niechćiał.

Wybrałem potym w pakach, co tylko było naydrożſzego y nayſzacownieyſzego, y podarowałem Krolowi *Michragowi*. Monarcha ten wiedząc doſkonale w iakim zoſtawałem nieſzczęśćiu, ſpytał mię ſię, zkąd bym tak ſzacownych y tak rzadkich doſtał rzeczy? Opowiedziałem mu iakim trefunkiem odzyſkałem moie towary; dobry ow Pan oświadczył z tąd ſwoię radość, przyiął mile moy prezent, y hoynie mi ſię zań wypłaćił. Tu pożegnałem ſię z nim, y odiechałem na tymże ſamym okręćie. Pierwey iednak przed moim wyiazdem, wymieniałem moie towary pozoſtałe, za inne w owym kraiu znayduiące ſię bogactwa. Nabrałem wiele drzewa aloeſowego, ſandałowego tudzież kanfory, muſzkatowych gałek, gwoździkow, pieprzu, y imbieru. Przeiechaliśmy przez wiele wyſp, a na oſtatek przybiliśmy do *Balſory*, z ktorey przyiechałem do tego Miaſta, maiąc iuż około dwoch tyſięcy cekinow. Krewni moi, mile mię przywitali, y iam ich oglądał ztaką radośćią, iaką tylko rzetelna y ſzczera przyiaźń wznićić może w ludzkim ſercu, nakupiłem oboiey płći Niewolnikow, nabyłem wiele

grun-

gruntow, y wyſtawiłem ſobie wielkie Domoſtwo. Tak tedy ugruntowałem ſię, maiąc przedſięwzięćie odpoczywać po wielu trudach, y pełne roſkoſzy prowadzić żyćie.

Syndbad w tym mieyſcu przeſtawſzy mowić, rozkazał Kapeli grać na inſtrumentach, y wroćić ſię do koncerćikow, ktore im opowiadaniem ſwoiey hiſtoryi był przerwał. Jedli y pili, aż do wieczora, znayduiący ſię wkompanii Gośćie; a gdy iuż czas był rozeyśćia ſię, *Syndbad* rozkazał ſobie przynieść kieſę maiącą w ſobie ſto cekinow, y daiąc ią Drążnikowi: weź to *Hindbadzie*, rzekł do niego, idź teraz do ſiebie, a dnia iutrzeyſzego przyidź tu do mnie, ażebyś reſzty wyſłuchał moich awantur. Drążnik wyſzedł od niego napełniony radośćią, nie mniey dla honoru, iako dla darowizny, ktorą odebrał. Relacya, ktorą o tym czynił w Domu, arcy była miła Zonie iego, y dziećiom: nie omieſzkali wſzyſcy razem oddać dziękczynienia Boſkiey Opatrznośći, za dobrodzieyſtwo, ktore im uczyniła, zażywaiąc do tego za inſtrument *Syndbada.*

Hindbad nazaiutrz ubrał ſię przyſtoyniey aniżeli dnia przeſzłego, y powroćił ſię do wſpaniałego Kupca, ktory go arcy mile przyiął, tyſiąc mu przychylnośći ſwoiey oświadczaiąc dowodow. Jak tylko Gośćie pozchodzili ſię, dano ieść, y długo ſiedziano u ſtołu. Po ſkończonym bankiećie, *Syndbad* zabrał głos, y obroćiwſzy ſię do kompanii: Pańſtwo moie, rzekł, proſzę was o

audyencyą, y żebyśćie awantur moich podczas drugiey moiey podroży, łaſkawie ſłuchać chćieli. Upewniam że ſą godnieyſze ieszcze waſzey attencyi, aniżeli pierwſza podroż. Wſzyſcy natychmiaſt ućiſzyli ſię, a *Syndbad* w te ſłowa mowić zaczął.

DRUGA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Po pierwſzey moiey podroży, umyśliłem reſztę dni życia ſpokoynie przepędzać w *Bagdadzie*, iakom iuż miał honor wam opowiedzieć dnia wczorayſzego. Lecz nie zabawem naprzykrzyło mi ſię proznowanie: chęć żeglowania po morzu powtornie mię opanowała: poſkupowałem towary przyzwoite handlowi, ktory zamyślałem prowadzić y wyiechałem powtornie, z innemi iuż Kupcami o ktorych nie powątpiwałem pocźiwośći. Wyiechaliśmy na dobrym okręćie; y polećiwſzy ſię BOGU zaczęliśmy naſzą żeglugę.

Płynęliśmy od wyſpy do wyſpy, na każdey znacznie zarabiaiąc. Dnia iednego przybiliśmy do iedney wyſpy maiącey na ſobie wiele rodzaiow drzewek owocowych, lecz tak opuszczoną, że żadnego na niey nie oglądaliśmy Domoſtwa, y

żadne-

żadnego Człowieka. Dla ochłodzenia ſię poczęliśmy chodzić po źielonych łąkach, ktore wiele rzek oblewało.

Gdy iedni rozrywali ſię zbieraniem kwiatkow, drudzy zabawiali ſię rwaniem owocow, ia wziąłem cokolwiek żywnośći y wina z okrętu, y ſiadłſzy ſobie bliſko wody będącey pomiędzy dwoma wielkiemi drzewami czyniącemi ćień, począłem ſię poſilać. Podiadłſzy dobrze, zaſnąłem. Nie mogę wam powiedzieć ieżelim długo ſpał, albo nie; lecz gdym ſię przebudził, okrętu iuż niebyło.

Szecherazada na tym mieyſcu muſiała zakończyć ſwoy dyſkurs; dzień albowiem iuż zbliżał ſię; lecz w nocy naſtępuiącey kontynuowała drugą podroż *Syndbada*.

LXXIII. NOC.

W wielkim zoſtawałem podziwieniu, mowił daley *Syndbad*; żem nie widział okrętu na kotwicy; wſtałem y obzierałem ſię po wſzyſtkich ſtronach, lecz żadnego niewidziałem Kupca z tych wſzyſtkich, ktorzy zemną z okrętu wyſiedli na wyſpę. Zobaczyłem tylko okręt płynący; lecz tak oddalony, że w krotce zniknął z moich oczow.

Możećie ſami miarkować, iakiemim ſię w tym nędznym ſtanie moim, dręczył reflexyami. Rozumiałem że iuż od żalu wielkiego umrę; wydawałem ſtraſzne ięki, biłem głową o źiemię, y

upadłſzy cały, nie źliczonemi okropnemi nudziłem ſię myślami: wyrzucałem ſam ſobie niegodziwość, żem ſię nie kontentował bogactwy zebranemi podczas pierwſzey moiey podroży, ktore wſzelkie moie żeglowania po morzu ugaſić powinny były pragnienie. Lecz wſzyſtkie te moie żale były niepożyteczne, y ſkruchą nie wczeſną.

Na oſtatek puśćiłem ſię na wolę Boſką, y nie wiedząc co ſię ze mną miało ſtać, wdrapałem ſię na wierzchołek wyſokiego drzewa, zkąd patrzyłem po wſzyſtkich ſtronach, ieżelibym nie zobaczył czego, coby mi iaką uczynić mogło nadzieię. Patrząc po morzu, ſamą tylko widziałem wodę, y Niebo; lecz zobaczywſzy na źiemi rzecz iakąś białą, ſpuśćiłem ſię z drzewa, y zabrawſzy trochę pozoſtałych żywnośći, ſzedłem ku owey bieleiącey ſię rzeczy, ktora tak odemnie była oddalona, że żadnym ſpoſobem coby była, rozeznać niebyło można.

Gdym iuż był w pomierney od tey rzeczy bliſkośći, poznałem że to była bania biała, niezmierney wielkośći. Przyſtąpiwſzy do niey bliſko przez dotknienie doświadczyłem, że była bardzo miętka. Chodziłem o koło niey w koło uważaiąc ieżeliby gdzie nie było dziury; lecz żadney nie znalazłem, tak była gładka że oſądziłem za rzecz niepodobną, ażeby na nią można było wyleść. Okrągłość iey przynaymniey 50. zawierała w ſobie krokow.

Słońce iuż ſię miało w tenczas ku zachodowi,

wi, Niebo zachmurzyło ſię iakoby było wielką iaką zaſłonione chmurą, lecz ieżeli pochmurność owa ſprawiła mi podziwienie, w więkſzym ieſzcze miałem przyczynę zoſtawać podziwieniu gdym zobaczył, że ćiemność tę ſprawował ptak niezmierney wielkośći zbliżaiący ſię ku mnie. Przywiodłem ſobie na pamięć ptaka nazwanego *Skała* * o ktorym ſłyſzałem Fliſow rozmawiaiących, y domyśliłem ſię, że wielka owa bania, nad ktorą dziwiłem ſię, była tego ptaka iaiem. Jakoż ſpuśćił ſię ow ptak y położył ſię na tym iaiu, iakoby chcąc go wyſiadać. Widząc go ſpuſzczaiącego ſię przyćiſnąłem ſię bardzo bliſko do iaia, tak dalece, że bliſko mnie bardzo była noga tego ptaka, tak gruba, iak może bydź naygrubſze ktore drzewo. Przywiązałem ſię mocno do nogi tey płotnem, ktore było przy moim zawoiu; ſpodziewaiąc ſię, że ten ptak nazwany *ſkała*, nazaiutrz polećiawſzy, miał mię wynieść z opuſzczoney wyſpy; iakoż przepędziwſzy w tym ſtanie noc całą, iak tylko dzień zaiaśniał, ptak polećiał, y tak mię podnioſł wgorę, żem ledwie mogł widzieć źiemię, ſpuśćił ſię potym znagła z tak wielkim impetem, żem ſię bynaymniey nie czuł. Jak tylko ptak ow *ſkała* ſtanął na źiemi, odwiązałem czym prędzey węzeł, ktorym byłem przywiąza-

* Marek Paweł w ſwoich podrożach, y Xiądz Martyni w ſwoiey Hiſtoryi Chińſkiey maią mowę o tym ptaku, y twierdzą że porywa ſłonie nawet y iednorożce.

ny do iego nogi; ledwie com ſię rozwiązał, gdy dziubem ſwoim uderzył nie zmierney wielkośći węża, porwał go, y znim polećiał.

Mieyſce na ktorym mię zoſtawił była dolina arcy głęboka, otoczona ze wſzyſtkich ſtron gorami tak wyſokiemi, że wierzchołki ich ukrywały ſię w obłokach, y tak przykremi, że nie można było znaleść żadney drogi przez ktorąby ſię na nie można było wydrapać. Nowym to dla mnie było ambaraſſem, y komparuiąc mieyſce to do wyſpy opuszczoney, ktorą porzućiłem, uznałem żem bardzo mało zyſkał w przemianie.

Przechodząc ſię po dolinie, zobaczyłem że byłą cała napełniona dyamentami, z ktorych nie ktore były extraordynaryiney wielkośći: widowiſko to dziwnie mię ukontentowało, lecz uyzrzałem wkrotce inne obiekta, ktore nie mało ukontentowanie moie zmnieyſzyły, y na ktore bez boiaźni zapatrywać ſię nie mogłem. Te zaś nic inſzego nie były tylko niezmierna wężow tak długich y grubych mnogość, że żadnego z nich nie było, ktoryby nie mogł porzeć ſłonia. Ućiekali nadzień owi węże do iaſkiń, kryiąc ſię przed ptakiem nazwanym *ſkałą* ſwoim wielkim nieprzyiaćielem, a w nocy z nich wychodzili.

Przepędziłem dzień cały przechodząc ſię po dolinie, y odpoczywaiąc czaſami na mieyſcach, ktore mi ſię zdawały naywygodnieyſze. Tym czaſem ſłońce zaszło, na noc wlazłem w wydrą-

drążoną ſkałę, w ktorey rozumiałem że będę beſpieczny. Zamknąłem wchod tey ſkały ktory był bardzo niſki y ćiaſny, doſyć grubym kamieniem ktory lubo nie dobrze zaſłaniał ową dziurę nie był iednak tak rowny, żeby był żadnego nieprzypuśćił światła. Ziadłem na wieczerzę cokolwiek pozoſtałych żywnośći, w pośrzodku ſykania wężow zaczynaiących iuż pokazywać ſię. Sykania ich ſtraſzne napełniły mię boiaźnią y niedopuśćiły mi iako ſami miarkować możećie, przepędzić ſpokoynie nocy. Jak tylko dzień zaiaśniał węże do ſwoich iam pochowały ſię. Wtenczas wyſzedłem drzący z moiey iaſkini, y mowić mogę, żem długo deptał dyamenty, żadnego wnich niemaiąc upodobania. Nakoniec uſiadłem, y mimo moiey zgryzoty, ktora mię trapiła, ponieważ nie ſpałem przez noc całą, uſnąłem poſiliwſzy ſię powtornie. Ledwie com pierwſzy zaſypiał ſen, gdy rzecz iakaś upadaiąca z gory przy mnie wielkim mię ſwoim hałaſem przebudziła, zobaczyłem że to był wielki kawał mięſa ſwieżego; poſtrzegłem że ich więcey ſpadało z rożnych ſkał w rożne mieyſca.

Miałem zawſze za baieczkę zkoncypowaną dla rozrywki, wſzyſtko to cokolwiek ſłyſzałem od Fliſow y od innych Oſob, o dyamentowey dolinie, y dowćipney ſztuce, ktorey zażywaią nie ktorzy Kupcy w doſtawaniu tych ſzacownych kamieni. Wyperſwadowany byłem na ow czas, że mowili prawdę. Jakoż Kupcy ći, idą do tey doliny wten-

czas,

czas, gdy orły, maią małe dzieći. Rąbią mięſa ſztuki wielkie, y rzucaią ie w ow doł, dyamenty kończaſte lgną do mięſa. Orły ktore to w tym Kraiu ſą arcy mocne, biorą owe mięſo y zanoſzą ie do gniazda, na pokarm ſwoim dzieciom. Wtenczas Kupcy przybiegłſzy do gniazd krzykiem ſwoim odpędzaią orły, y zabieraią dyamenty przylepione do mięſa. Tey zażywaią ſztuki, niemasz albowiem innego ſpoſobu dobyćia dyamentow z tego tak nie zgruntowanego dołu.

Aż do owego czaſu mniemałem, że mi rzecz była niepodobna wyniść z tey przepaśći, na ktorą ſię iuż zapatrywałem, iako na moy grob; lecz odmieniłem natychmiaſt moy ſentyment, y rzecz nowa odemnie poſtrzeżona podała mi ſpoſob do zachowania moiego żyćia.

Gdy to mowiła *Szecherazada* dzień pokazuiący ſię nakazał iey milczenie. Nazaiutrz iednak tak kontynuowała tęż ſamę Hiſtoryą.

LXXIV. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, (rzekła maiąc zawſze mowę do Sułtana Indyiſkiego) *Syndbad* kontynuuiąc ſwoię drugą podroż: począłem, mowił, zabierać naywiękſze dyamenty, ktorekołwiek tylko znalazłem, y napełniłem niemi torbę ſkorzaną, w ktorey miałem moie prowianty. Wziąłem potym naywiękſzą ſztukę mięſa, y przywiązałem ſię do niey dobrze płotnem od mego zawoiu, y

tak

tak położyłem ſię brzuchem do źiemi, przywiązawſzy ſobie do paſa worek ſkurzany tak dobrze, że żadnym ſpoſobem odwiązać ſię nie mogł.

Ledwie com to uczynił, gdy orły przylećiały, każdy z nich porwał za ſztukę mięſa, a ieden z nich naymocnieyſzy porwał mię zkawałem mięſa do ktoregom był przywiązany, y zanioſł na wierzchołek gory do ſwoiego gniazda. Kupcy zaczęli wtenczas krzyczeć, dla zpędzenia orłow, y gdy iuż ich zpędzili z gniazd, ieden z nich zbliżył ſię do mnie: lecz ſtanął w zadumieniu iak tylko mię poſtrzegł. Przyſzedłſzy cokolwiek do ſiebie, zamiaſt informowania ſię, przez iaką bym awanturę znaydował ſię na owym mieyſcu: począł mię łaiać, pytaiąc mię ſię, dla iakieybym przyczyny odbierał mu iego profit. Będziesz zemną mowił daleko z więkſzą ludzkośćią, rzekłem do niego, gdy mię doſkonaley poznasz. Nie turbuy ſię, przydałem, mam dyamentow tyle, y dla ćiebie y dla mnie, ile ich wſzyſcy Kupcy razem zebrani nie maią. Jeżeli maią nie ktore te ſą tylko takie, iakie ſię im trefunkiem doſtały; lecz ia wybrałem wdolinie iakiem ſam chćiał, y mam ie w tey torbie, ktorą widzisz. To mowiąc pokazałem mu ſkorzaną torbę. Ledwie com ſkończył mowić, natychmiaſt wſzyſcy inni Kupcy obſtąpili mię w koło, dziwuiąc ſię, żem na owym zoſtawał mieyſcu, lecz bardziey ieszcze pomnożyłem ich podziwienie, gdym im całą moię opowiedział hiſtoryą. Nie tak im fortel moy ktoregom zażył

ſpra-

ſprawiał podziwienie, iako odwaga, żem ſię na tak wielkie podał niebeſpieczeńſtwo.

Wprowadzili mię do budynku w ktorym wſzyſcy razem mieszkali, tam gdym otworzył moią torbę w ich obecnośći, zadumiewać ſię poczęli nad wielkośćią dyamentow; twierdząc że na Dworze żadnego Krola nie widzieli żadnego tak wielkiego. Proſiłem Kupca, do ktorego należało gniazdo, do ktorego byłem od orła przenieſiony (każdy albowiem Kupiec miał ſwoie gniazdo) ażeby ſobie tyle wybrał dyamentow, ile by ſam pragnął: on kontentował ſię iednym tylko, y to ieszcze zprzymnieyſzych; a gdym proſił go uſilnie, ażeby wziął ſobie więcey bez boiaźni uczynienia mi krzywdy; nie uczynię tego, odpowiedział mi, doſyć mi ieſt na tym, ktory tak wielkiego ieſt ſzacunku, że nie potrzeba mi więcey fatygować ſię podrożami, dla polepſzenia moiey fortuny.

Przepędziłem noc zowemi Kupcami, ktorym drugi raz muſiałem powiadać moię hiſtoryą, a to dla ſatysfakcyi tych ktorzy iey nie ſłyſzeli. Niezmiernym napełniony byłem weſelem, gdym czynił reflexyą, żem z tak wielkich w ktorych zoſtawałem wybrnął niebeſpieczeńſtw. Rozumiałem że ſtan ſzczęśliwy w ktorym zoſtawałem, był ſnem tylko, y nie mogłem ieszcze ſpodziewać ſię, a żeby mi ſię co nie przytrafiło złego.

Przez kilkanaśćie iuż dni, Kupcy owi rzucali mięſo w tę dolinę, a że każdy iuż doſyć miał dyamen-

mentow, wyiechaliśmy na zaiutrz razem; w drodze tey przeiechaliśmy przez wiele wyfokich gor, na ktorych wiele bardzo znaydowało fię niezmierney wielkośći wężow, tych iednak wfzyftkich fzczęśliwie uchroniliśmy fię. Doftaliśmy fię do pierwfzego portu, zkąd udaliśmy fię na wyfpę nazwaną *Rocha*, na ktorey znayduie fię kanforowe drzewo tak grube, y rozłożyfte, że fto ludzi może wygodnie odpoczywać pod iego ćieniem. Sok z ktorego fię formuie kanfora, płynie przez otworzyftość, ktorą umyślnie robią fiekierą przy wierzchołku owego drzewa, y zćieka w naczynie, w ktorym nabiera gęftośći, y ftaie fię kanforą. Drzewo kanforowe, iak tylko zniego fok wfzyftek wyidzie ufycha.

Znayduią fię na teyże wyfpie iednorożce, zwierze cokolwiek mnieyfze od floniow, a więkfze od bawołow; ieden tylko maią rog nad nofem, na łokieć długi: rog ow ieft twardy, y wpośrzodku, od iednego aż do drugiego końca rozdwoiony. Na wierzchu tego rogu, znayduie fię białość reprezentuiąca poftać ludzką, iednorożec walczy uftawicznie z floniem, przebiwfzy mu częftokroć brzuch fwoim rogiem, dzwiga na fwoiey głowie; lecz krew y tłuftość flonia zalawfzy mu oczy, oślepia go, upada na źiemię a tym czafem (co każdemu fprawić powinno podziwienie) ptak nazwany *fkała*, przylećiawfzy porywa ich obydwoch w fwoie fzpony, y zanofi na żer dla fwoich dzieći.

Zamil-

Zamilczam inne na tey wyſpie znayduiące ſię ćiekawośći, boiąc ſię, ażebym ſię wam nie naprzykrzył. Zamieniłem nie ktore moie dyamenty za arcy pożyteczne towary. Ztamtąd poiechaliśmy na inne wyſpy, a na oſtatek obiechawſzy wiele bardzo Miaſt handlownych lądowych, przybiliśmy do *Balſory* z ktorey potym przyiechałem do *Bagdadu*. Rozdałem naypierwey w tym Mieśćie, wielkie ubogim iałmużny, y zażywałem uczćiwie reszty niezmiernych bogactw nabytych z tak wielką moią pracą y fatygą.

Tym ſpoſobem zakończył *Syndbad* relacyą o drugiey ſwoiey podroży. Rozkazał znowu dać *Hindbadowi* kieſę o ſtu cekinach; zapraſzaiąc go, ażeby przyſzedł na zaiutrz ſłuchać relacyi o trzećiey podroży.

Gośćie rozeszli ſię, każdy do ſiebie, y w dniu naſtępuiącym zeszli ſię znowu na tęż ſamę godzinę, przyſzedł też y Drążnik zapomniawſzy iuż prawie o ſwoiey przeſzłey nędzy. Uſiedli do ſtołu; po obiedzie *Syndbad* uproſiwſzy ſobie audyencyą, trzećią ſwoię podroż począł opowiadać.

TRZECIA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Łatwobym był zapomniał, rzekł do kompanii, o niebeſpieczeńſtwach y fatygach dwoch mo-

ich podroży; lecz że byłem w porze ſamey wieku, lubom opływał wroſkoſzach, zprzykrzyłem ſobie w prożnowaniu; y odważywſzy ſię na nowe ieszcze niebeſpieczeńſtwa, ruſzyłem ſię z *Bagdadu* z ſzacownemi kraiowemi towarami zprowadzonemi do *Balzory*. Ztamtąd albowiem wyiechałem z drugiemi Kupcami; długą mieliśmy żeglugę, w wielu byliśmy portach w ktorych wielki mieliśmy znaſzych handlow zarobek.

Dnia iednego gdyśmy byli na morzu, fala ſtraszna odprowadziła nas od drogi. Nawalność trwała dni kilka, y zapędziła nas do portu iedney wyſpy, do ktorey Kapitan okrętu naſzego nie życzył ſobie wſtępywać; przymuſzeni iednak byliśmy na nią wyśieść dla oſuſzenia ſię, gdy żagle zwiniono, Kapitan okrętu rzekł do nas: mieſzkańcy tey wyſpy y innych pobliſkich ſą obrośli włoſami; przyidą nas w krotce attakować. Lubo ſą wſzyſcy karłami, potrzeba iednak wyciąga, ażebyśmy bynaymniey im nie opierali ſię; ponieważ ich ieſt tak wiele iak ſzarańczy; y gdybyśmy z nich choć iednego zabili, rzuciliby ſię na nas wſzyſcy, y pewney nie uſzlibyśmy śmierci.

Dzień ktory oświecił apartament *Szachryara* nie pozwolił *Szecherazadzie* więcey mowić. Nocy naſtępuiącey zabrała głos w te ſłowa.

LXXV. NOC.

Dyſkurs Kapitana, mowił *Syndbad*, nie pomału zafraſował całą kompanią; y doznaliśmy w

krotce ſami, że ſłowa iego aż nadto były prawdziwe. Uyźrzeliśmy nieźliczoną mnogość dzikich owych ludzi, ſzpetnych, maiących okryte całe ćiało czerwonym włoſem, na dwie tylko ſtopy wyſokich. Rzućili ſię w pław w morze, y w krotkim czaſie, cały obſaczyli okręt. Mowili do nas; lecz my nierozumieliśmy ich ięzyka, chwyćili ſię brzegow okrętu y lin okrętowych, y powchodzili aż na ſztab ztak wielką prędkośćią, że nie można widzieć było ieżeliby czynili kroki.

Zapatrywaliśmy ſię na tę ich robotę z wielką iako ſobie miarkować możećie, boiaźnią, nie śmieiąc im bronić, ani żadnego dla odwrocenia ich od przedſięwzięćia, o ktorego ſzkodliwośći nie powątpiwaliśmy, wymowić ſłowa. Jakoż rozpuśćili żagle, ućięli łańcuch kotwicy nie morduiąc ſię nad iey wyćiąganiem, y przyprowadziwſzy okręt do lądu, rozkazali nam wyſieść. Odprowadzili potym okręt do wyſpy, z ktorey byli przyſzli. Wſzyſcy podrożni z wielkim ſtaraniem unikali tey wyſpy, na ktorey my zoſtawać byliśmy przymuſzeni, iakoż była arcy niebeſpieczna dla przyczyny, ktorą wam nie zabawem opowiem: potrzeba nam iednak było ćierpliwie znoſić ten los nieſzczęśliwy.

Oddaliliśmy ſię od brzegu, y chodząc po wyſpie, znaleźliśmy niektore owoce y ziołka, ktore ieść poczęliśmy dla przedłużenia cokolwiek oſtatniego życia naſzego momentu: wſzyſcy albowiem nie uchyloney oczekiwaliśmy śmierći. Cho-

dząc

dząc tu y owdzie, poſtrzegliśmy z daleka wielki budynek, do ktorego poczęliśmy dążyć. Był to Pałac piękny, y arcy wyſoki, maiący Bramę o dwoch ſkrzydłach, ktorą popchnąwſzy cokolwiek otworzyliśmy. Weſzliśmy na dziedziniec, na ktorym zobaczyliśmy na przećiwko nam wſpaniały apartament, z obſzernym przyſionkiem, w ktorym z iedney ſtrony był wielki ſtos ludzkich kośći, a zdrugiey nieźliczona mnogość rożnow. Zadrzeliśmy na te widowiſko, a żeśmy ſię zchodząc byli zfatygowali, nie czuliśmy pod ſobą nog, przerażeni śmiertelną boiaźnią, upadaliśmy na źiemię leżąc na niey długo iak nie żywi.

Słońce tym czaſem zachodziło, y gdyśmy w tym nieſzczęśliwym zoſtawali ſtanie, drzwi apartamentu znagła otworzyły ſię z wielkim trzaſkiem, y natychmiaſt uyźrzeliśmy wychodzącą ſtraſzną poczwarę, maiącą poſtać człowieka czarnego y wyſokiego, iak może bydź naywyżſze palmowe drzewo. W pośrzodku czoła ow murzyn iedne tylko miał oko, czerwone, y pałaiące iako rozpalony węgiel, zęby przednie arcy długie y oſtre, wychodzili mu z pyſka, ktory tak był wielki, iak u konia, a warga ſpodnia ſpuszczała mu ſię aż na pierſi. Uſzy podobne do ſłoniowych nakrywały mu ramiona, paznogćie miał nakrzywione, y tak długie, iako ſzpony naywiękſzego drapieżnego ptaka. Na weyźrzenie na tak ſtraſznego olbrzyma odeſzliśmy od wſzyſtkich zmysłow, podobni będąc do trupow.

Na oſtatek przyſzliśmy do ſiebie, y zobaczyliśmy go ſiedzącego pod przyſionkiem, y przypatruiącego ſię nam całym okiem. Przypatrzywſzy ſię nam dobrze, zbliżył ſię ku nam, położył na mnie rękę, wziął mię za kark y obracał mię ze wſzyſtkich ſtron, iako Rzeźnik obraca barana. Gdy mię iuż dobrze wymacał, żem był chudy poznawſzy, położył mię znowu. Wziął potym macać po iednemu drugich, a że Kapitan okrętu był nay-tłuśćieyſzy, z całey naſzey kompanii, trzymaiąc go iakobym ia trzymał wrobla, przeſadził przez niego rożen; rozpaliwſzy potym wielki ogień, upiekł go y ziadł na wieczerzę w ſwoim apartamenćie, do ktorego ſię udał. Po wieczerzy przyſzedł znowu pod przyſionek, układał ſię, y zaſnął chrapiąc z tak wielkim hałaſem, z iakim biią pioruny; ſen ten iego trwał aż na zaiutrz do poranku. Co ſię nas tycze, nie mogliśmy ſkoſztować ſnu ſłodyczy, y przepędziliśmy noc okrutnemi trapiąc ſię myślami, y nieſpokoynośćią. Gdy dzień naſtąpił, olbrzym obudził ſię, wſtał, y wyſzedł, nas zoſtawiwſzy w Pałacu.

Gdyśmy mogli ſądzić, że iuż od nas był daleko, przerwaliśmy okropne naſze milczenie, w ktorym trwaliśmy przez noc całą ieden drugiemu przydaiąc więcey utrapienia, napełniliśmy cały ow Pałac iękami y płaczem. Jakożkolwiek nas była wielka liczba, y lubo iednego tylko mieliśmy nieprzyiaćiela, nie przyszła nam nawet z początku, ani myśl uwolnienia ſię od niego przez zada-

nie mu śmierći, lubo albowiem przedſięwzięćie te byłoby nader ćiężkie do wypełnienia, naturalnie iednak powinniśmy ſobie go byli uformować.

Deliberowaliśmy długo iakiegośmy ſię mieli chwyćić ſpoſobu, na żaden iednak nie determinowaliśmy ſię; poddaiąc ſię więc pod to wſzyſtko cokolwiekby z nami Bogu podobało ſię uczynić, przepędziliśmy dzień cały chodząc po wyſpie, poſilaiąc ſię owocami y źiołkami, iako dnia przeſzłego. Koło wieczora ſzukaliśmy mieyſca, w ktorymbyśmy beſpieczni bydź mogli; lecz żadnego nie znalazłſzy, przymuſzeni byliśmy powroćić ſię do Pałacu.

Olbrzym nie omieszkał przyiść do niego, y zieść na wieczerzę iednego z naſzych kollegow, potym zaſnął y chrapał aż do dnia, w ktorym to czaſie wyſzedł, y zoſtawił nas tak iako był pierwey uczynił. Stan nasz tak ſię nam zdawał nieſzczęśliwy, że wielu z naſzych kollegow chćieli ſię raczey utopić w morzu, aniżeli z boiaźnią oczekiwać tak okrutney śmierći, zachęcaiąc także drugich, ażeby za ich poſzli radą. Lecz ieden z kompanii zabrawſzy głos: nie, rzekł, ieſt nam wolno odbierać ſobie żyćie; y choćby to ſię nam godziło, nie ieſt że iednak rzecz przyzwoitſza, y bardziey zgadzaiąca ſię z rozumem, ażebyśmy myśleli o iakim ſpoſobie zgładzenia ze świata tey okrutney poczwary, ktora na naſze dyba żyćie?

Spoſobu ktory mi przyſzedł w tey mierze na myśl kommunikowałem moim kollegom, kto-

rzy go approbowali. Braćia moi, rzekłem do nich, wiećie dobrze że iest dosyć drzewa około morza; posłuchayćie proszę moiey rady, pospaiaymy wiele dylow, ktoreby nas unieść mogły; y gdy iuż zakończemy to nasze dzieło, ukryiemy go tym czasem na ktorym mieyscu poty, poki do zażyćia go sposobnego nie znaydziemy czasu. Tym czasem wykonamy proiekt, ktorym wam podał, do pozbyćia się owego olbrzyma służący; ieżeli się nam uda, możemy bespiecznie czekać tu spokoynie, ażby przechodził ktory okręt, ktoryby nas wziąć mogł z tey fatalney wyspy, ieżeli zaś przećiwnie uydzie naszey ręki, ućiekniemy czymprędzey na nasze drzewa, y puśćiemy się na morze. Przyznaię, że spuszczaiąc się na dyskrecyą morskich bałwanow, na tak lichym statku, podaiemy w niebespieczeństwo nasze żyćie, lecz choćiażbyśmy też poginęli, nie ieśtże słodsza bydź pogrzebionemi w morzu, aniżeli w wnętrznośćiach bezecney poczwary, ktora iuż dwoch naszych pożarła kollegow. Rada moia podobała się wszystkim, y pozbiialiśmy tratwy, mogące na sobie unieść po trzy osoby.

Powroćiliśmy się przy końcu dnia do Pałacu, w krotce potym y olbrzym za nami przyszedł. Potrzeba ieszcze było sakryfikować iednego z naszych kollegow na pieczenię dla poczwary; lecz przećież zemśćiliśmy się za tak wielkie okrućieństwo. Ledwie co skończył swą przeklętą wieczerzę, położył się na znak y zasnął. Jak tylkośmy

śmy go chrapaiącego uſłyſzeli, dziewięćiu nayodważnieyſzych z nas, y ia, wzięliśmy po iednym rożnie, y rozpaliwſzy ich końce, utopiliśmy ie wſzyſtkie w iego oku, a tak oślepiliśmy go.

Olbrzym dla bolu wielkiego począł okrutne wydawać ięki. Wſtał zgniewem, y wyćiągnął ſwe długie ręce, chcąc niemi znas ktorego złapać; lecz my mieliśmy czas do oddalenia ſię od niego, y do upadania na źiemię w końćikach, w ktorych by nas nogami namacać nie potrafił. Naſzukawſzy ſię nas nadaremnie, znalazł omackiem drzwi, wyſzedł okrutnie rycząc.

Na tym mieyſcu, tey nocy ſtanęła *Szecherazada*, nazaiutrz tak też kontynuowała hiſtoryą.

LXXVI. NOC.

Wyszliśmy z Pałacu za olbrzymem, kontynuował daley *Syndbad*, y przyśliśmy do brzegu morſkiego, na ktorym były naſze tratwy. Zpućiliśmy ie na wodę, y czekaliśmy ażeby ſię pokazał dzień dla ućiekania na nich, ieżelibyśmy widzieli olbrzyma zbliżaiącego ſię ku nam, z ktorym ſwoiego rodzaiu powodyrem; Podchlebiliśmy ſobie, że ieżeliby ſię nie pokazał, po wzchodzie ſłońca, y ieżelibyśmy nie ſłyſzeli więcey iego rykow, ktore uſtawicznie obiiały ſię o naſze uſzy, ſądzić mieliśmy, iż go iuż nie było na świećie, w tey okoliczności proponowaliśmy ſobie zoſtawać raczey na tey wyſpie, a niżeli ſię puszczać na tra-

twach na morſkie fale. Lecz iak tylko pokazał ſię dzień, uyźrzeliśmy okrutnego naſzego nieprzyiaciela, w kompanii dwoch olbrzymow trochę od ſiebie niżſzych, ktorzy go prowadzili, y wielu innych ktorzy przednim prędko biegli.

Na te widowiſko, czym prędzey powſiadaliśmy na tratwy, y poczęliśmy ſię odpychać wiosłami. Olbrzymi to poſtrzegłſzy, porwali każdy znich wielki kamień, przybiegli do brzegu, y wſzedłſzy nawet w wodę wpoł ciała, tak dobrze owemi kamieniami rzucili, że wſzyſtkie inne tratwy oprocz moiey porozrywały ſię, y ludzie na nich będący potonęli.

Co do mnie y dwoch moich kollegow, ponieważ mocno robiliśmy wiosłami, oddaliliśmy ſię tak daleko na morze, że nas kamieniami doſięgnąć nie mogli.

Jak tylko wypłynęliśmy na morze, fale poczęły nami rzucać w tę y ową ſtronę, y przepędziliśmy całą noc naſtępuiącą w okrutney niepewności naſzego loſu, lecz na zaiutrz doſtało ſię nam ſzczęście przybicia do iedney wyſpy, na ktorą wyſiedliśmy z wielką radością. Znaleźliśmy tam arcy wyborne owoce, ktore nam niemało przywrociły ſił utraconych.

Nad wieczorem zaſnęliśmy przy brzegu morſkim; lecz ſzeleſt z ktorym ſię ſunął wąż długi, iak naywiękſze palmowe drzewo przebudził nas. Wkrotce tak ſię zbliżył do nas że pożarł iednego z moich kollegow mimo ięków y paſo-

wa-

wania ſię w wydzieraniu mu ſię z pyſka. Kilka razy go wpaszczę wziąwſzy y połknąwſzy wyćiął głową iego o źiemię, y połknął do reszty. Ućiekliśmy natychmiaſt ia y drugi moy kollega, y lubośmy doſyć byli zdaleka, uſłyſzeliśmy iednak w krotkim czaſie ſzeleſt, co nam dało do zrozumienia, że wąż ow wyrzucał z ſiebie kośći, nieſzczęśliwego naſzego kollegi, ktorego pożarł. Jakoż zobaczyliśmy to nazaiutrz z niewypowiedzianym żalem y wzdryganiem ſię. O BOZE! zawołałem na cożeśmy ſię odważyli; Cieſzyliśmy ſię, dnia wczorayſzego, żeśmy uſzli rąk okrutnego olbrzyma, y wydarli ſię falom morſkim, aż oto dnia dziſieyſzego wpadliśmy w nie mniey ſtraſzne niebeſpieczeńſtwo.

Znaleźliśmy przechodząc ſię po wyſpie drzewo iedne arcy grube, y wyſokie, umyśliliśmy na nim noc przepędzić, dla lepſzego beſpieczeńſtwa. Pożywiliśmy ſię znowu fruktami, iako dnia wczorayſzego y przy końcu dnia wleźliśmy na owo drzewo. Uſłyſzeliśmy natychmiaſt węża ſyczącego, ktory przyſzedł aż pod to drzewo na ktorym byliśmy, okręćił ſię około drzewa, y nalazłſzy moiego kollegę ktory był niżey iak ia, połknął go do razu, y odſzedł.

Zoſtawałem na tym drzewie aż do dnia, ktory gdy ſię pokazał, zlazłem podobnieyſzy do umarłego, aniżeli do żywego. Jakoż nie mogłem oczekiwać ſzczęśliwſzego loſu nad ten, ktory mieli dway moi kolledzy. Na ſame pomyśle-

nie o tym, wzdrygałem ſię y drzałem od boiaźni; uczyniłem iuż był kilka krokow, chcąc wſkoczyć w morze; lecz że miłe ieſt każdemu życie, y że każdy chćiałby go ſobie iak naywięcey przyczynić, dałem odpor owemu poruſzeniu we mnie pochodzącemu z rozpaczy, y ſpuśćiłem ſię na wolę Boſką, ktora według ſwego upodobania rozrządza naſzym żyćiem.

Nie omieszkałem ztym wſzyſtkim nazbierać wiele drobnych gałęźi, chruſtow, y ćierniow ſuchych. Zrobiłem z nich kilka wiązani, ktore związałem razem, otoczywſzy niemi całe drzewo, wlazłem na nie iak do iakiey forteczki, maiąc przynaymniey tę okropną poćiechę, żem niczego nie zaniedbał dla uchronienia ſię okrutnego loſu, ktoregom ſię obawiał. Wąż nie omieszkał przyiśćy chodzić o koło drzewa, chcąc mię pożrzeć, lecz nie mogł tego dokazać, dla owego wału, ktorym opaſałem ſię; nadaremnie na mnie wartował aż do dnia, iako kot na mysz w beſpiecznym zoſtaiącą mieyſcu, Na oſtatek gdy dzień dobrze zaiaśniał, odſzedł od drzewa: lecz ia nie śmiałem zliść z moiey fortecy poty, poki ſłońce nie zeszło.

Tak zfatygowałem ſię pracą w bronieniu ſię owemu wężowi, y takem w ſiebie nabrał zaraźliwego iego oddechu, żem śmierć przekładał nad moie życie; oddaliłem ſię od drzewa y nie pamiętaiąc na to żem ſię ſpuśćił doſkonale na wolę Boſką, dnia wczorayſzego, pobiegłem do mo-

rza,

rza, chcąc ſię w nim utopić. Na tych ſłowach *Szecherazada* poſtrzegłſzy dzień zaſtanowiła ſię, nazaiutrz iednak wrociła ſię do ſwoiey hiſtoryi, y rzekła do Sułtana.

LXXVII. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, *Syndbad* kontynuiąc relacyą o ſwoiey trzećiey podroży: Bog, rzecze, wzruſzony miłoſierdziem nademną, ſprawił, że gdym ſzedł rzucić ſię w morze, uyźrzałem okręt bardzo oddalony od brzegu. Począłem krzyczeć ze wſzyſtkich ſił, ażeby mię uſłyſzano, y rozwinąłem płotno z moiego zawoiu, ruſzaiąc nim na kiiu, ażeby mię łatwiey poſtrzeżono. Nie było to nadaremną rzeczą, cała kompania na okręćie znayduiąca ſię poſtrzegła mię y Kapitan okrętu przyſłał mi baćik. Gdym przyiechał do okrętu, Kupcy y Fliſi pytali mię ſię z wielką ćiekawośćią, przez iaką bym awanturę znaydował ſię na wyſpie tak opuszczoney, gdym im opowiedział wſzyſtko co mi ſię przytrafiło, ći ktorzy byli nayſtarſi powiadali mi, że ſłyſzeli od wielu że olbrzymi mieszkali na tey wyſpie, y że im iako rzecz pewną powiadano że to byli ludziżerce, ktorzy iadali ludzi tak ſurowych, iako y pieczonych. Przydali także że wężow na tey wyſpie było bardzo wiele, ktore ſię podczas dnia ukrywaią, a wnocy pokazuią. Oświadczywſzy ſwą radość, żem tak wielkich uſzedł niebeſpie-

ſpieczeńſtw, nie wątpiąc otym, żem był głodny, traktowali mię z wielką pilnośćią wſzyſtkim tym, cokolwiek mieć mogli naylepſzego, a Kapitan uważaiąc że moia ſuknia była podarta w paſy, rozkazał mi dać z ſiebie ſuknię

Płynęliśmy przez nieiaki czas pomorzu, przybiliśmy do kilku wyſp, a naoſtatek przypłynęliśmy do wyſpy *Salabat*, zkąd ſię wywozi nay-więcey drzewa ſandałowego arcy potrzebnego do lekarſtwa. Wiechaliśmy do portu y poczęliśmy w nim odpoczywać. Kupcy zaczęli wynośić z okrętu ſwe towary, ażeby iedne przedali, drugie wymieniali. Wtenczas Kapitan okrętu zawołał mię y rzekł: Braćie mam tu w depozyćie towary, ktore należały do iednego Kupca ktory płynął przez nieiaki czas na moim okręćie. Ponieważ ten Kupiec umarł, robiłem niemi, ażebym mogł dać rachunek iego krewnym, ieźli ktorego znaydę. Paki o ktorych mowił leżały iuż na ſztabie. Pokazał mi ie mowiąc otoż to te towary o ktorych mowiłem. Spodziewam ſię, że ſię podeymiesz handlować niemi pod kondycyą odebrania należytey zato nadgrody. Zezwoliłem nato chętnie, y podziękowałem, że mi nie dawał zoſtawać w prożnowaniu.

Piſarz okrętowy wpiſywał w regeſtra wſzyſtkie paki, z imionami Kupcow do ktorych należały. Gdy ſię pytał Kapitana, pod ktorymby rozkazał imieniem wpiſać te paki, ktore mi oddawał na zarobek, wpisz ie, odpowiedział mu Kapitan,

pitan,

pitan, pod imieniem *Syndbada Morſkiego.* Jak tylko uſłyſzałem moie imie, wielkie uczułem w ſobie poruſzenie radośći, y przypatrzywſzy ſię dobrze Kapitanowi, poznałem że to był ten ſam, ktory mię zoſtawił na wyſpie podczas drugiey moiey podroży, na ktorey zaſnąłem na brzegu iedney rzeczki. Nie mogłem go zpocżątku poznać dla tego że ſię dla długośći czaſu od ktorego nie widziałem go, na twarzy odmienił.

Ze zaś on nie mogł mię poznać, nie potrzeba ſię dziwować, ponieważ rozumiał, żem iuż umarł. Kapitanie, rzekłem do niego, zapewneż Kupiec ten do ktorego należą te paki nazywał ſię *Syndbadem Morſkim*; tak ieſt, odpowiedział mi, tym ſię nazywał imieniem; z *Bagdadu* był Miaſta, y wſiadł na moy okręt w *Balzorze.* Dnia iednego gdyśmy wyſiedli na iedną wyſpę, dla nabrania wody, y dla poſilenia ſię owocami, ktore ſię znaydowały na niey, przez zapomnienie rozkazałem rozwinąć żagle, nie uważaiąc, że go z drugiemi nie było na okręćie. Nie poſtrzegłem tego, ani ia, ani Kupcy, aż we 4. godziny potym. Wiatr mieliśmy z tyłu y tak ſprzyiaiący, że rzecz była niepodobna powracać ſię po niego. Rozumieſzże, rzekłem do niego, że on iuż umarł? bez wątpienia, odpowiedział mi. Otworz oczy Kapitanie, rzekłem do niego, y przypatrz mi ſię dobrze, uznasz że ia ieſtem ten *Syndbad*, ktoregoś ty zoſtawił na wyſpie opuszczoney. Zaſnąłem przy brzegu rzeki, y przebudziwſzy ſię żadne-

dnegom nie zobaczył z moich kollegow. Na te słowa Kapitan począł mi się przypatrywać.

Szecherazada w tym mieyſcu poſtrzegłſzy dzień, przeſtała mowić, nazaiutrz kontynuowała ſwą relacyą w ten ſpoſob.

LXXVIII. NOC.

Kapitan, mowił daley do kompanii *Syndbad*, przypatrzywſzy mi ſię dobrze, przećięż mię poznał, niechże będzie BOG pochwalony zawołał obłapiaiąc mię! że ćię zachował przy życiu, ćieſzę ſię mocno, że ſzczęśćie ſamo poprawiło nieiakim ſpoſobem moy błąd. Otoż ſą twoie towary, o ktorych miałem zawſze wielkie ſtaranie, y ktoremi we wſzyſtkich portach uſiłowałem handlować z naywiękſzym, iaki tylko bydź może, twoim pożytkiem; oddaię ći ie z zarobkowemi z nich pieniędzmi. Wziąłem owe paki oświadczaiąc za to przyzwoitą Kapitanowi wdzięczność.

Z wyſpy *Salabat* popłynęliśmy do drugiey, na ktorey nabrałem gwoździkow, cynamonu, y innych do przyprawy potraw ſłużących korzeniow. Gdyśmy ſię od niey oddalali, widzieliśmy żołwia na 20. łokći długiego, y teyże ſamey ſzerokośći: widzieliśmy także rybę podobną do krowy, maiącą mleko, y ſkorę tak twardą, że zniey ordynaryinie robią puklerze. Widziałem inną znowu rybę, y figurę y kolor wielbłąda maiącą. Na oſtatek po długiey żegludze, przyiechałem do

Bal-

Balzory, a ztamtąd powroćiłem ſię do *Bagdadu*, tak wiele maiąc Bogactw, żem ich ſam zrachować nie mogł. Rozdałem znowu znaczną ſummę na iałmużny, y przykupiłem wiele gruntow do tych, ktorem był pierwey nabył.

Tym ſpoſobem *Syndbad* zakończył relacyę o trzećiey ſwoiey podroży: rozkazał potym dać ſto cekinow *Hindbadowi*, zapraſzaiąc go nazaiutrz na ſłuchanie relacyi o czwartey podroży. *Hindbad* y inni gośćie rozeſzli ſię; a gdy nazaiutrz pozchodzili ſię, *Syndbad* przy końcu obiadu zaczął opowiadać ſwoie awantury.

CZWARTA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Roſkoſzy, rzekł, y rozrywki ktorych zażywałem po trzećiey moiey podroży, nie miały tyle mocy, ażeby we mnie żeglowania po morzu ugaſiły pragnienie. Dałem ieszcze raz zwyćiężyć ſię paſſyi, ktora ſię we mnie znaydowała do handlu y do widzenia co raz nowych rzeczy; ułatwiwſzy więc moie intereſſa, y zoſtawiwſzy Kupczykow, ktorzyby przedawali moie towary, wyiechałem. Udałem ſię ku Perſyi, obiechałem wiele iey Prowincyi, przyiechałem do portu morſkiego, przy ktorym wſiadłem na okręt. Puśćiliśmy

liśmy ſię na morze, y pominęliśmy iuż wiele portow należących do niektorych wyſp oryentalnych, gdy z nagła powſtał wiatr wielki, ktory był przyczyną, że Kapitan okrętu rozkazał zwinąć żagle, y wſzyſtko to uczynić, cokolwiek widział do oddalenia wiſzącego nad nami niebeſpieczeńſtwa bydź potrzebnego; lecz wſzyſtkie naſze zabiegi były niepożyteczne; żagle podarły ſię na kawałki, a okręt nie mogąc iuż więcey bydź rządzony y kierowany, uderzyło ſkałę y rozbił ſię ztak wielkim impetem, że wielka liczba Kupcow y Fliſow utonęła, y wſzyſtkie zginęły towary.

Szecherazada w tym mieyſcu hiſtoryi była, gdy ſię dzień pokazał. Zatrzymała ſię, a *Szachryar* wſtawać począł. W naſtępuiącey nocy tak kontynuowała czwartą podroż.

LXXIX. NOC.

Szczęśćiem przećię mowił *Syndbad* razem z innemi Kupcami, y Fliſami uchwyćiłem ſię deſzczki, zanioſła nas wſzyſtkich woda do będącey przed nami wyſpy. Znaleźliśmy niektore frukta, y zdroiową wodę ktorąśmy ſię znacznie pokrzepili. Odpoczywaliśmy tam przez noc całą, niewiedząc ieszcze cośmy mieli czynić; nieſzczęśliwość w ktorey zoſtawaliśmy, uczyniła nas do wzięćia przyzwoitych rezolucyi nieſpoſobnemi.

Na zaiutrz iak tylko ſłońce zeſzło, oddaliliśmy ſię od brzegu, y poczęliśmy chodzić po wy-

ſpie,

ſpie. Poſtrzegliśmy budynki y zbliżyliśmy ſię do owych budynkow, przybiegło do nas wielu murzynow: otoczyli nas w koło, zabrali nas wſzyſtkich, podzielili ſię nami y zaprowadzili nas do ſwoich domow.

Pięciu moich kollegow, y ia doſtaliśmy ſię na iedno mieyſce. Zaraz proſzono nas ſiedzieć, y dano nam iakieś ziołka, zachęcaiąc nas znakami, ażebyśmy ie iedli. Kolledzy moi, nie uważaiąc, że ći ktorzy nas na nie proſili ſami ich nie iedli, dogadzaiąc ſwemu głodowi rzućili ſię z wielką chćiwośćią na tę potrawę. Co do mnie poczuwaiąc w tym iakąś zdradę, nie chćiałem iey nawet pokosztować, co mi też na dobre wyſzło: w krotce albowiem poſtrzegłem, że kolledzy moi doſtali waryacyi, y że mowiąc do mnie nie wiedzieli co mowili.

Dano nam po tym ryż gotowany przyprawny oliwą kokuſową, kolledzy moi utraćiwſzy iuż rozum, iedli go z wielkim apetytem. Ja iadłem go także, lecz bardzo mało. Murzyni dali nam z początku owych ziołek dla przytłumienia naſzego rozumu, y dla zagrodzenia ſmutkowi y zgryzoćie, ktorąbyśmy mieć mogli reflektuiąc ſię nad nieſzczęśliwym naſzym loſem; ryż zaś nam dawali, ażeby nas utuczyli Ponieważ byli ludziżerce, intencya ich była pożrzeć nas, iak tylko byśmy byli utuczeni, co uczynili z moiemi kollegami niemogącemi przewidzieć przyſzłey ſwoiey zguby; ponieważ nie byli przy rozumie. Ja

żem przećię zoſtał ſię przy życiu miarkować możećie, że mi to do tego wielką było pomocą, iż zamiaſt utuczenia ſię wychudłem bardziey. Boiaźń śmierći, ktorą ſię uſtawicznie trapiłem obracała w trućiznę wſzyſtkie moie pokarmy. Wpadłem w chorobę, ktora mi ſię ſtała arcy pożyteczną; Murzyni albowiem pozabiiawſzy, y pożarłſzy moich kollegow, widząc mię wyſchłego, nie maiącego nic na ſobie mięſa, y chorego, śmierć moię na inny czas odłożyli.

Dawano mi wielką wolność, y żadney na ſprawy moie nie miano baczności. To dało mi okazyą, ażebym ſię oddalił od budynkow owych murzynow, y wydarł ſię z niewoli. Starzec ktory mię poſtrzegł, pomiarkowawſzy moy zamyſł, począł krzyczeć na mnie na cały głos, ażebym ſię powroćił; lecz ia bardziey ieszcze począłem ućiekać, tak dalece, żem go zoczow zgubił. Sam tylko ow ſtarzec był przy domoſtwach, wſzyſcy inni murzyni wyſzli byli, y aż w wieczor dopiero powroćić ſię mieli; co częſto zwykli byli czynić: przeto pewnym będąc, że iuż nie rychło im będzie zamną gonić, iak by ſię dowiedzieli o moiey ućieczce, ſzedłem aż do nocy, podczas ktorego to czaſu odpocząłem ſobie co kolwiek, y poſiliłem ſię żywnośćiami, ktorych ſobie na drogę przyſpoſobiłem; lecz udałem ſię w krotce w drogę, y ſzedłem przez ſiedm dni, unikaiąc zawſze tych mieyſc, ktore mi ſię zdawały bydź od ludzi mieſzkane. Drzewka kokuſowe utrzymywały

wały mię przy życiu, owoce albowiem ich, y za pokarm y za napoy mi ſłużyły.

Oſmego dnia przyſzedłem w bliſkość morza y poſtrzegłem zaraz ludzi, tak iako y ia białych, zbieraiących pieprz, ktorego tam było bardzo wiele. Zabawa ta ich, dała mi okazyą do dobrey nadziei, y zbliżyłem ſię do nich bez żadney boiaźni.

Szecherazada tey nocy mowić więcey nie chćiała; lecz nazaiutrz wroćiła ſię do ſwoiego dyſkurſu.

LXXX. NOC.

Ludzie owi zbieraiący pieprz mowił *Syndbad*, kontynuuiąc ſwoię hiſtoryą iak tylko mię poſtrzegli, ſpytali ſię mię, po Arabſku, kto bym był y zkąd bym ſzedł. Ukontentowawſzy ſię żem ich uſłyſzał mowiących moim ięzykiem, uczyniłem chętnie zadoſyć ich ćiekawośći; opowiedziawſzy im iakim ſpoſobem rozbił mi ſię okręt, y iakim ſpoſobem doſtałem ſię na tę wyſpę, na ktorey wpadłem w ręce murzynow; lecz murzyni ći, rzeką mi, iedzą ludzi, iakim że cudem uniknąłeś ich okrućieńſtwa? Uczyniłem im taką relacyą, iaką wam uczyniłem, ktora im wielkie ſprawiła podziwienie.

Bawiłem ſię z niemi poty, poki nie nazbierali tyle pieprzu, ile chćieli; po tym wzięli mię z ſobą na baćik ktorym byli przyiechali, y zaie-

chaliśmy do wyſpy, z ktorey oni byli. Prezentowali mię ſwoiemu Krolowi, bardzo dobremu Monarſze, tyle miał ćierpliwośći że wysłuchał całey moiey awantury, ktora go wielce zadziwiła. Rozkazał mi dać potym ſuknie, y zalećił ażeby o mnie miano ſtaranie.

Wyſpa na ktorey znaydowałem ſię była arcy ludna, y obfituiąca we wſzyſtkie rzeczy; Miaſto to ktore było rezydencyą Krolewſką, wielki prowadziło handel. Miła ta ućieczka poczęła mię ćieſzyć w moim nieſzczęśćiu, a dobroczynność tego wſpaniałego Monarchy, doſkonale mię rozweſeliła. Jakoż nikt w więkſzym u niego nademnie nie był reſpekćie, a zatym nie było nikogo ani w Mieśćie, ani u Jego Dworu, ktory by ſię o moię nie ſtarał przyiaźń; w krotce więc miano mię raczey za obywatela owey wyſpy, a niżeli za cudzoźiemca.

Jedna rzecz zdała mi ſię extra ordynaryiną; to ieſt że wſzyſcy, y Krol nawet ſam, iezdzili na koniu bez musztuka y bez kulbaki. Ośmieliłem ſię ſpytać Krola, dla czego by nie zażywał tak wygodnych rzeczy? odpowiedział mi, żem mowił z nim o rzeczach w Jego Kraiu prawie nieznanych.

Natychmiaſt poſzedłem do iednego Rzemieślnika, dałem mu deſſeń kulbaki, według ktorego mi ią zrobił, gdy mi zrobił ſiodło, wysłałem go ſam ſzerśćią, y obſzył ſkorą, tudzież przyozdobiłem go złotym haftem. Poſzedłem po-

tym

tym do Slusarza, y rozkazałem mu zrobić strzemiona według formy ktorą mu podałem.

Gdy iuż ze wszystkim gotowa była kulbaka, darowałem ią Krolowi, włożyłem ią na iednego przyprowadzonego konia. Monarcha ten gdy uśiadł na niey, tak mu się podobała moia inwencya, że darowaniem mi arcy bogatych prezentow oświadczył swoię radość. Musiałem zrobić kilkanaśćie kulbàk dla Jego Ministrow, y dla zacnieyszych Jego Dworzan, ktorzy to wszyscy, zawdzięczyli mi tę moię przysługę prezentami, ktore mię w krotkim czaśie zbogaćiły. Podarowałem tak-że po iedney kulbace zacnieyszym Miasta tego Obywatelom; co mi wielką u wszystkich ziednało miłość y powszechną estymacyą.

Ponieważ regularnie chodziłem na Krolewskie pokoie, dnia iednego, rzekł do mnie ten Monarcha: *Syndbadzie* kocham ćię, y wiem dobrze, że wszyscy moi poddani ktorzy ćię znaią, mo im przykładem wielki ku tobie maią affekt. Mam ćię o iednę rzecz prośić, ktorą chcę koniecznie, ażebyś mi uczynił. Nayiaśnieyszy Panie, odpowiedziałem, nic niemasz takiego, czego bym uczynić nie był gotow, dla pokazania iak doskonale iestem Waszey Krolewskiey Mośći posłuszny; możesz wszystko u mnie miłośćiwy Panie. Chcę ćię ożenić, odpowiedział Krol; a to dla tego, ażebym ćię przez to postanowienie, utrzymał w moim Państwie, y żebyś zapomniał o twoiey Oyczyznie. Gdym się nieśmiał oprzeć Je-

go dobroczynney woli, dał mi za Zonę Damę od ſwoiego Dworu Szlachetną, urodziwą, mądrą, y bogatą. Po ſkończonych ceremoniach weſelnych, przenioſſem ſię do Domu moiey Zony, z ktorą przez nieiaki czas żyłem w doſkonałey zgodzie. Nie byłem iednak bardzo kontent z moiego ſtanu, intencya moia była wymknąć ſię za naypierwſzą okazyą, y powrocić do *Bagdadu* moiey Oyczyzny, ktorey poſtanowienie moie, iakożkolwiek było pożyteczne, żadnym ſpoſobem nie mogło mi wygluzować z pamięći.

Wtych byłem myślach, gdy Zona iednego z moich ſąſiadow, z ktorym ścißą zabrałem był przyiaźń, zachorowawſzy umarła. Poſzedłem do niego dla dania mu iakiego poćieſzenia, y widząc go w wielkim żalu, przyſtąpiwſzy do niego rzekłem: niech ćiebie przynaymniey BOG konſerwuie, y da ći długie żyćie. Ah! iakimże ſpoſobem, odpowiedział mi, mogł bym otrzymać od BOGA tę łaſkę, ktorey mi życzysz? iednę tylko mam iuż godzinę żyć na świećie. Ah! nie przypuszczay ſobie, zawołałem na niego, tak niegodziwey myśli. Spodziewam ſię, że to nie naſtąpi, y że będę miał ieszcze ćieſzenia ſię z tobą przez długi czas ukontentowanie. Zyczę ći, odpowie mi płacząc, ażebyś żył iak naydłużey; co do mnie, iuż ſię ſtało; wiedz o tym, że mię dnia dziſieyſzego pochowaią w grobie razem z moią Zoną. Ten zwyczay zachowali zdawna naſi przodkowie, y my go nienaruſzenie zachowuie-

my; Mąż żyiący idzie do grobu z Zoną umarłą, y Zona żywa idzie do grobu z Mężem umarłym. Nikt mię od tego uwolnić nie może, wſzyſcy ludzie podlegaią temu prawu.

Gdy ze mną mowił o tym tak dzikim y grubiańſkim zwyczaiu, ktorego wiadomość okrutnie mię zatrwożyła, krewni y przyiaciele pozchodzili ſię dla pogrzebowey aſſyſtencyi. Ubrano trupa Zony w naybogatſze ſzaty, iakoby w dzień weſela, y włożono na nią wſzyſtkie ſzacowne iey kleynoty. Włożono ią potym w odkrytą trumnę, y zaczęto iść proceſſyą. Mąż ſzedł naypierwſzy przy pogrzebowey aſſyſtencyi za ciałem ſwoiey Zony. Szli ku wielkiey iedney gorze, do ktorey gdy przyſzli, podnieśli wielki kamień zamykaiący okno głębokiey iamy, ſpuszczono do owey iamy trupa, nie zdeymuiąc z niego ſzat y kleynotow. Gdy ſię to ſtało Mąż uściſkał ſwych krewnych, y przyiaciół, y bynaymniey nieopieraiąc ſię, położył ſię w trumnie prożney, wziąwſzy ſobie tylko dzbanek wody y ſiedm bułek chleba. Spuszczono go tak iako y Zonę do owey iamy; gora ta ciągnęła ſię wzdłuż tego kraiu y graniczyła morze, iama zaś była bardzo głęboka. Po ſkończoney ceremonii nakryto znowu kamieniem okno.

Nie potrzeba wam, moi Panowie, opowiadać, żem z niewypowiedzianym na ten pogrzeb zapatrywał ſię ſmutkiem. Wſzyſtkich innych znayduiących ſię przytym bynaymniey to nie

obeszło; ponieważ przyzwyczaili ſię byli do tego okropnego widowiſka. Ośmieliłem ſię dnia iednego otworzyć moie zdanie Krolowi względem tego grubiańſkiego zwyczaiu. Nayiaśnieyſzy Panie, rzekłem, nie mogę ſię nad tym wydziwić że w Pańſtwie Waſzey Krolewſkiey Mośći, tak okrutny zakopywania żywych z umarłemi panuie zwyczay. Przeſzedłem iuż wiele świata, byłem w wielu Narodach, a nie ſłyſzałem nigdy o tak okrutnym prawie. Coż chcesz czynić *Syndbadzie*, odpowie mi Krol, prawo to ieſt nam wſzyſtkim powſzechne: pochowanoby mię żyiącego z Krolową moią Zoną, gdyby mi broń BOZE umarła: lecz Nayiaśnieyſzy Panie, rzekłem do niego powtornie, chćiałbym ſię Waſzey Krolewſkiey Mośći ſpytać, ieżeliby cudzoźiemcy obligowani byli zachować to prawo? bez wątpienia, odpowiedział mi Krol uśmiechaiąc ſię, poznawſzy pytania mego przyczynę: nie ſą od tego prawa uwolnieni ieżeli ſię w tey wyſpie ożenili.

Ztą odpowiedzią powroćiłem ſię ſmutny do Domu. Boiaźń ażeby moia Zona pierwſza nie umarła, y żeby mię z nią żywego nie zakopano, okropne we mnie wzbudzała reflexye. Lecz coż miałem czynić? Potrzeba było ćierpliwie ten ćios fortuny znośić, y ſpuśćić ſię doſkonale na wolę Boſką. Ztym wſzyſtkim na naymnieyſzą ſłabość y niedyſpozycyą moiey Zony, drżałem z boiaźni, lecz nieſtetyż, boiaźń ta moia w krotce na naywyżſzym ſtanęła ſtopniu: zachorowała mi Zona śmiertelnie, y w kilka dni umarła.

Te wymowiwſzy ſłowa *Szecherazada* zakończyła ſwoy dyſkurs, nazaiutrz tak go kontynuowała.

LXXXI. NOC.

Sądzić możećie mowił *Syndbad* do kompanii, iak wielka w ſercu moim wznieciła ſię boleść? nie mniey mi ſię okrutną zdawało rzeczą bydź żywo zakopanym, niżeli pożartym od ludziżerców. Potrzeba mi iednak było rezolwować ſię na to. Krol otoczony całym ſwoim Dworem obecnośćią ſwoią pogrzeb ow przyozdobił, y oſoby naygodnieyſze czyniąc mi honor aſſyſtowały mi do moiego pogrzebu.

Gdy wſzyſtkie rzeczy do pogrzebu należące były przygotowane, ćiało Zony moiey ubrane w bogate ſzaty y kleynoty, włożono w trumnę; zaczęto wychodzić. Ja iako drugi aktor tey okropney tragedyi, ſzedłem przy ſamey trumnie moiey Zony, rzewne łzy wylewaiąc, y opłakuiąc moy los nieszczęśliwy. Nimeśmy przyſzli do gory, chćiałem nakłonić do miłoſierdzia wſzyſtkich przy pogrzebie przytomnych ludzi. Obroćiłem ſię naypierwey do Krola, a potym do wſzyſtkich, ktorzy byli około mnie, y ukłoniwſzy ſię przed niemi niſko, aż ku źiemi, upraſzałem pokornie, ażeby na demną mieli politowanie. Zważćie, mowiłem do nich, że ieſtem cudzoziemiec, a przeto, nie powinienem podlegać tak ſurowemu

prawu, y że mam inſzą ieszcze Zonę * y Dzieći w moiey Oyczyznie. Na daremnie ſtarałem ſię wymawiać zwielkim żalem te ſłowa, nikogo nie poruſzyłem do miłoſierdzia, przećiwnie ſtarano ſię iak nayprędzey ſpuśćić ćiało moiey Zony w iamę, y w moment potym włożywſzy mię w inną trumnę otwartą z dzbanem wody, y z ſiedmią bułkami chleba, ſpuszczono mię za nią; gdy tę tak okropną dla mnie ceremonią zakończono, przykryto okno iamy wielkim kamieniem, mimo moiey boleśći y żałoſnych ięków.

Im bardziey zbliżałem ſię do dna tym bardziey maiąc cokolwiek ieszcze światła zgory, poznawałem naturę tego podziemnego mieyſca. Jeſt to iaſkinia ſzeroka, na pięćdzieſiąt przynaymniey łokći głęboka. Uczułem natychmiaſt wielki fetor ktory wychodził z wielkiey mnogośći trupow, ktore y po prawey y po lewey leżały ſtronie; zdawało mi ſię, żem nawet ſłyſzał, iż niektorzy niedawno żywo tam ſpuszczeni oſtatnie wydawali ięki, y wzdychania. Z tym wſzyſtkim iak tylko ſtanąłem na dnie, wyſkoczyłem prędko z trumny, y oddaliłem ſię zdaleka od trupow zatkawſzy ſobie nos. Rzućiłem ſię na źiemię, y leżałem długo łzy wylewaiąc. Wtenczas czyniąc reflexyą nad moim nieſzczęśliwym loſem, prawda ieſt, mowiłem ſam do ſiebie, że BOG rozrządza nami według wyrokow ſwoiey Opatrznośći;

* *Syndbad* był Mahometan, a Mahometanom ieſt pozwolona wielość Zon.

ści; lecz przećie nieſzczęśliwy *Syndbadzie*, nie ſam żeś temu winien, że umierasz tak śmierćią niezwyczayną; O dałby był BOG, żebyś był zginął podczas ktorego rozbićia na morzu, z ktoregoś tyle razy wyrwał ſię! nie umierał byś był teraz, śmierćią tak powolną, y ze wſzelkich miar okrutną! zaſłużyłeś ſobie na nią, przez przeklęte twoie łakomſtwo. Ah! nędzny człowiecze, nie powinienżeś był zoſtawać iuż w Domu, y ſpokoynie zażywać ſłodkich owocow twoiey pracy?

Takie były niepożyteczne moie lamenta y żale, ktoremi napełniałem całą iaſkinię, biiąc ſię w głowę, y wbrzuch z rozpaczy, y trapiąc ſię okrutnemi myślami. Jednakże prawdę mowiąc, zamiaſt życzenia ſobie śmierći, w tym nieſzczęśliwym ſtanie, miłość żyćia odezwała ſię we mnie, y była przyczyną, żem ſię ſtarał przedłużyć cokolwiek dni wieku mego; poſzedłem o macki, zatkawſzy ſobie nos, po chleb y wodę będącą w moiey trumnie, y poſiliłem ſię cokolwiek.

Lubo ćiemność panuiąca w tey iaſkini tak była gruba, że niemożna było rozeznać dnia od nocy, znalazłem iednak moię trumnę; y zdało mi ſię, że iaſkinia ta była więkſza y więcey miała w ſobie trupow, aniżeli pierwey. Zyłem przez kilka dni moim chlebem y wodą; lecz na oſtatek, gdy mi tych żywnośći nie ſtało, gotowałem ſię na śmierć. . . . . .

Szecherazada na tym mieyſcu przeſtała mowić. Wnaſtępuiącey zaś nocy tak do ſwoiey wroćiła ſię relacyi. LXXXII.

LXXXII. NOC.

Oczekiwałem iuż śmierći, kontynuował *Syndbad*, gdym uſłyſzał że odeymowano kamień. Spuszczono trupa y oſobę żyiącą, umarły ow był mężczyzna. Naturalna ieſt rzecz chwytać ſię oſtatnich rezolucyi w oſtatnich niebeſpieczeńſtwach; wtenczas gdy ſpuszczano kobietę zbliżyłem ſię ku temu mieyſcu, na ktorym miała ſtanąć iey trumna, y poſtrzegłſzy że przykrywano iuż okno iaſkini, uderzyłem nędzną tę białogłowę dwa lub trzy razy wielką, ktorą znalazłem, kośćią. Ogłuſzyłem ią, albo raczey zabiłem, a że ten nieludzki uczynek iedynie dla tego popełniłem ażebym doſtał chleba y wody znayduiącey ſię w trumnie, miałem na kilka dni żywnośći. Gdy mi iuż nie ſtawało tego poſiłku, ſpuszczono znowu żonę umarłą, y człowieka żyiącego, zabiłem go tymże ſpoſobem; a że na moie ſzczęśćie choroba iakaś podobna do powietrza panowała w Mieśćie nie zbywało mi na żywnośćiach, ponieważ odbierałem zawſze życie tym ktorych ſpuſzczano żywych, y zabierałem chleb y wodę.

Dnia iednego gdym zabiwſzy iednę żonę powracał od okna iamy, uſzłyſzałem rzecz iaką chodzącą. Szedłem natychmiaſt w ſtronę z ktorey ten wychodził ſzeleſt, y ſłyſzałem, że na moie zbliżenie ſię bardziey ieszcze dmuchała, y zdawała mi ſię nawet przedemną ućiekać. Szedłem za nią, iako za iakim ćieniem, zdawała mi

ſię

ſię nieco odpoczywać y dmuchała uſtawicznie ućiekaiąc; iak tylkom ſię do niey zbliżał, gnałem za nią tak długo y tak daleko, żem naoſtatek zpoſtrzegł światło podobne do gwiazd. Po tym świetle kontynuowałem moię podroż, gubiąc go częſto z oczow dla przeſzkod ktore mi go zaſłaniały; lecz zawſzem go odzyſkiwał, a na oſtatek poznałem, że światło to było słoneczne oświecaiące iaſkinią przez rozpadłość ſkały ktora to tak była ſzeroka że można było nią wyćiſnąć ſię.

Po tym tak ſzczęśliwym wynalazku, zatrzymałem ſię przez nieiaki czas dla wypocznienia ſobie, ponieważ idąc prędko dla powziętey ocalenia życia nadziei, bardzom ſię był zmordował; po tym zbliżywſzy ſię do tey dziury wylazłem przez nią y uyźrzałem ſię na brzegu morſkim. Możećie ſami dorozumieć ſię, iakwielka była moia ztąd radość; przyznaię ſię wam, żem ſię tak niezmiernie ukontentował, iż począłem powątpiwać, ieżeliby to nie było iakim przywidzeniem ſię. Gdym doſkonale był na umyśle przekonany, że to com widział było prawdziwą rzeczą, gdym zupełnie przyſzedł do zmyſłow, dorozumiałem ſię że rzecz ta dmuchaiąca, za ktorą gnałem, nic innego nie była, tylko iakie morſkie zwierzątko przyzwyczaione wchodzić do iaſkiń, dla napaſienia ſię trupami.

Przypatrzyłem ſię gorze, y poznałem że położona była między Miaſtem y morzem, że nie miała żadney na ſobie drogi, ponieważ tak była

przy-

przykra, że natura sama czyniła ią nieprzystępną. Padłem na twarz przy brzegu morskim, dziękuiąc BOGU za uczynione mi dobrodzieystwo. Powróciłem się potym do iaskini po chleb ktory wyniosszy sobie na brzeg, iadłem przy świetle słońca z takim apetytem, iakiego nigdy nie miałem mieszkaiąc w ciemnościach. Powróciłem się powtornie do iaskini, dla zabrania o macki dyamentow, rubinow, pereł, brasseletek złotych znayduiących się w trumnach, cokolwiek namacałem reką, czyli złoto, czyli srebro, czyli bogatą iaką materyą wyniosłem na brzeg morski. Związałem z tych wszystkich rzeczy kilka pak, okrępowawszy ie należyćie powrozami, na ktorych spuszczano trumny, y ktorych to w iaskini niezmierna była mnogość. Zostawiłem te paki na brzegu, czekaiąc dobrey okazyi; nie boiąc się bynaymniey, ażeby im deszcz nie zaszkodził ponieważ w tey częśći Roku, niepotrzeba było obawiać się deszczu.

Przy końcu dwoch, albo trzech dni, postrzegłem okręt, ktory dopiero prawie odbiiał od portu, y miał płynąć blisko tego mieysca, na ktorym zostawałem, zrobiłem chorągiewkę z płotna moiego zawoiu, y żeby mię usłyszano ze wszystkich sił krzyczeć począłem. Usłyszano mię przećie, y posłano po mnie baćik. Gdy Flisi pytali mię się coby mię za nieszczęśćie zapędziło na te mieysce, odpowiedziałem że po rozbićiu okrętu, przed dwoma dniami, salwowałem

się

ſię na ten brzeg z towarami ktore widzieli. Szczęściem przećie, ludzie ći nie roztrząſaiąc na ktorym zoſtawałem mieyſcu, y ieżeliby to com im powiadał było prawdą, ukontentowali ſię tą moią odpowiedzią, y zawieźli mię z pakami moiemi do okrętu.

Jak tylko przyiechaliśmy do okrętu, Kapitan ukontentowany, że mi ginącemu dał ratunek, y zabawny rządzeniem okrętu, uſpokoił ſwoię ćiekawość w wypytywaniu ſię mię, iak tylkom mu powiedział, o mniemanym rozbićiu okrętu. Ofiarowałem mu niektore drogie kamienie, lecz niechćiał ich przyiąć.

Przeiezdzaliśmy około wielu wyſp, y między innemi około *Cloches* oddaloney o dzieſięć dni iazdy przy dobrym wietrze od wyſpy *Serendyb*, a o ſześć dni iazdy od wyſpy *Kela* do ktorey przybiliśmy. Znayduie ſię na tey wyſpie ołow, cynamon Indyiſki, y przednia kanfora.

Krol wyſpy *Kela*, ieſt arcy potężny y bogaty, ktorego Panowanie rozćiąga ſię, aż do wyſpy *Cloches*, na ktorey obiechanie, trzeba dwa dni ſtrawić, y ktorey to mieszkańcy tak ſą ieszcze grubiańſcy, że ſię ludzkim karmią ćiałem. Naprzedawawſzy na tey wyſpie y nakupowawſzy wiele towarow, popłynęliśmy daley, y przybiliśmy do wielu innych portow. Na koniec doſtałem ſię ſzczęśliwie do *Bagdadu*, z niewypowiedzianemi bogactwy, ktore wam wſzczegulnośći opiſywać za rzecz ſądzę niepożyteczną. Na po-

podziękowanie BOGU za świadczone mi dobrodzieyſtwa, wielkie rozdałem iałmużny, tak na utrzymanie przy ſwoiey wſpaniałośći wielu Meczetow, iako też na zapomożenie ubogich; potym z krewnemi moiemi y zprzyiaćiołmi zacząłem zażywać roſkoſzy y rozrywek.

Syndbad na tym ſkończył relacyą czwartey ſwoiey podroży, ktora więcey aniżeli trzy przeſzłe ſprawiła ſłuchaczom podziwienia. Rozkazał na nowo dać *Hindbadowi* ſto cekinow, proſząc go y wſzyſtkich innych gośći nazaiutrz do ſiebie, na tęż ſamę godzinę dla uſłyſzenia piątey iego podroży. *Hindbad* y inni gośćie pożegnali ſię z nim y rozeſzli ſię. Nazaiutrz gdy ſię wſzyſcy pozchodzili, uſiedli do ſtołu, a przy końcu obiadu ktory nie dłużey trwał nad przeſzłe, *Syndbad* zaczął opowiadać piątą ſwoię podroż.

PIATA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Roſkoſzy y delicye nie miały ieszcze y teraz tyle w ſobie wdzięków, ażeby mię długo przy ſobie zatrzymać mogły, y zagubiły we mnie chęć żegłowania po morzu. Przeto pozkupowałem towary, rozkazałem ie poukładać w paki; pokłaść na bryki, y poiechałem z niemi do naybliżſzego

ſzego morſkiego portu; Tam niechcąc dependować od żadnego Kapitana, rozkazałem ſobie robić okręt włáſnym kosztem. Jak tylko był ſkończony naładowałem go towarami, a że dosyć było ieszcze na nim mieyſca, przyiąłem nań wielu Kupcow z rożnych Narodow, z ich towarami. Puśćiliśmy ſię na morze iak tylko nam posłużył wiatr. Po długiey żegludze przybiliśmy naypierwey do wyſpy opuszczoney, na ktorey znaleźliśmy iaie ptaka nazwanego *Skała*, tak wielkie iakie było to, o ktorym wam powiadałem, miało w ſobie tego ptaka dziećię, maiące ſię iuż wykluć, gdyż ſię iuż dziub iego pokazywał.

Na tych słowach *Szecherazada* zamilkła, ponieważ iuż dzień w apartamenćie Sułtana zaiaśniał, w naſtępuiącey nocy zaczęła na nowo ſwoię relacyą.

LXXXIII. NOC.

Syndbad Morſki, rzekła, kontynuuiąc relacyą ſwoiey piątey podroży: Kupcy, (mowił do kompanii) ktorzy byli na moim okręćie ſtłukli to iaie uderzywſzy go kilka razy ſiekierą, y zrobiwſzy ſobie w nim dziurę, wyćiągnęli ptaka tego małego, nazwanego *Skała* po kawałku, y piekli go ſobie. Napominałem ich, a żeby tego nie czynili, lecz mię nie usłuchali.

Ledwie co ſkończyli ieść tę pieczenię, gdy pokazały ſię na powietrzu dwie grube chmury,

Kapitan ktoregom naiął był do moiego okrętu, wiedząc z praktyki co to znaczyło, zawołał że to byli Oyćiec y Matka tego małego ptaka nazwanego *Skała*, y przymuſił nas żeśmy iako nayprędzey powſiadali na okręt, dla uniknienia nieſzczęśćia, ktore on przewidział, rozwinęliśmy żagle y zwielką pilnośćią ućiekaliśmy.

Tym czaſem przylećiały te dwa ptaki ſtraſzny wydaiąc krzyk, ktory to bardziey ieszcze pomnożyły, iak tylko poſtrzegły rozbite iaie y że w nim nie było ich dziecka Chcąc ſię zemśćić odlećiały w tęż ſtronę, z ktorey były przylećiały, y zniknęły na nieiaki czas z naſzych oczow, przez ktory czas my pragnąc uniknąć tego nieſzczęśćia, ktore ſię nam potym przytrafiło, nie omięszkaliśmy prędko płynąć.

Powroćiły ſię, y poſtrzegliśmy że w ſzponach ſwoich trzymały kamień niezmierney wielkośći. Gdy iuż były nad moim okrętem zatrzymały ſię, y zawieſiwſzy ſię na powietrzu, wypuśćiły z ſzponow ſwoich wielki kamień, lecz dla doſkonałośći Sternika, ktory umiał ſztucznie odwroćić okręt upadł w wodę, ktora tak ſię rozſtąpiła, żeśmy prawie dno morſkie zobaczyli. Drugi ptak na naſze nieſzczęśćie, tak dobrze w ſam śrzodek okrętu rzućił kamień, że go pokruſzył na drobne kawałki. Fliſi y podrożni iedni byli zabići tym kamieniem, a drudzy potonęli. Ja ſam zanurzyłem ſię iuż był w wodzie, lecz wypłynąwſzy na wierzch ſzczęśćiem, uchwyćiłem

ſię

ſię kawałka okrętu. Tak tedy raz iedną robiąc, drugi raz drugą ręką, zapomocą ſprzyiaiącego mi wiatru, y unoſzącey wody, przypłynąłem przećie do iedney wyſpy, ktorey brzegi bardzo były przykre. Przezwyćiężyłem iednak wſzelką trudność, y wygramoliłem ſię na źiemię.

Uſiadłem na trawie, dla odpocznienia ſobie cokolwiek, po fatydze; potym wſtałem, poſzedłem daley na wyſpę, dla poznania coby był za kray. Zdało mi ſię żem był w arcy roſkosznym ogrodzie, widziałem wſzędzie drzewa iedne obćiążone źielonemi ieszcze fruktami, a drugie, doyźrzałemi, znalazłem ſtrumyki wody ſłodkiey, y czyſtey. Jadłem te owoce, y piłem wodę ktora dla ſwoiey czyſtośći ſama pić rozkazywała ſię.

Gdy noc nadeſzła, położyłem ſię na murawie dość w wygodnym mieyſcu lecz y godziny ſpać nie mogłem, y boiaźń uſtawiczna, ztąd żem ſię ſam na opuſzczoney znaydował wyſpie, ten krotki moy ſen przerywała. A tak więkſzą część nocy ſtrawiłem nudząc ſię, y wyrzucaiąc ſobie na oczy nieroſtropność, żem ſię udał w tę podroż, a nie raczey w Domu zażywał roſkoſzy. Te reflexye do tego mię iuż były przyprowadziły, żem ſobie chćiał ſkroćić życie, lecz dzień zaiaśniawſzy rozpędził tę moię roſpacz iako iaką chmurę. Wſtałem y nie bez wielkiey boiaźni, przechodziłem ſię pomiędzy drzewami.

Gdym ſię nieco daley na wyſpę zapędził, poſtrzegłem ſtarca, ktory mi ſię zdawał bardzo

iuż wiekiem znurzony. Siedział przy brzegu iedney rzeczki; mniemałem z początku że to był iaki człowiek, ktory ſię tak iako y ia rozbił z okrętem. Zbliżyłem ſię ku niemu y przywitałem go, na co on głowy mi tylko nakłonił. Spytałem go ſię coby tam robił; lecz zamiaſt dania mi odpowiedzi, dał mi znak, ażebym go wziął na ramiona, y przenioſł na drugą ſtronę rzeczki, daiąc mi do zrozumienia, że chćiał ſobie narwać fruktow.

Rozumieiąc, że tego potrzebował, ażebym mu tę uczynił przyſługę, wziąwſzy go na ſiebie przenioſłem go przez rzeczkę. Zleź, rzekłem do niego wtenczas, nachyliwſzy ſię, ażeby mu było łatwiey z ſtąpić na źiemię, lecz zamiaſt ſpuszczenia ſię na źiemię (nie mogę ſię wſtrzymać od śmiechu ile razy ſobie to przypomnę) ſtarzec ten, ktory mi ſię zdawał bydź zgrzybiały, wyſkoczył ſzypko na moy kark, ſpuśćiwſzy mi na pierſi ſwoie nogi, ktore tak były zaroſłe włoſami, iak krowia ſkora, tak mi począł potym śćiſkać ſzyię, iż rozumiałem że mię chce uduſić. Wtenczas wielka mię opanowała boiaźń w ktorey zemdlałem.

Szecherazada muſiała na tych ſłowach ſwoy przerwać dyſkurs; lecz przy końcu naſtępuiącey nocy powróćiła ſię do niego.

LXXXIV.

LXXXIV. NOC.

Nie uważaiąc na tę moię mdłość, mowił *Syndbad* niewygodny ſtarzec, ſiedział na moim karku, rozkraczył był tylko trochę nogi, ażebym łatwiey był przyſzedł do ſiebie. Jak tylkom ſię otrzyźwił iedną nogą niemiłoſiernie mię w bok bić począł, przymuſzaiąc mię, ażebym wſtał mimo moiey woli. Gdym ſtanął na nogach, rozkazał mi chodzić pod drzewami; przymuſzał mię zaſtanowić ſię, ażeby mogł ſobie rwać, y ieść owoce na ktoreśmy napadli; przez dzień cały niedawał mi ſpoczynku; a gdym chćiał w nocy ſobie ſpocząć, kładł ſię ze mną na źiemi, trzymaiąc ſię zawſze moiego karku. Każdego dnia rano trącał mię, ażeby mię przebudził; potym rozkazywał mi wſtać y chodzić, ſpinaiąc mię ſwoiemi nogami. Imaginuyćie ſobie Panowie moi, iak w wielkim zoſtawałem żalu y boleśći, żem ſię tego nie mogł pozbawić ćiężaru.

Dnia iednego znalazłem na drodze wiele tykw ſuchych, ktore poopadały zdrzewa, podigłem iednę z nich naywiękſzą, y w dobrze wyczyſzczoną, wyćiſnąłem kilka gron wina, ktorego na tey wyſpie wielka była obfitość, gdyż na każdey drodze pełnośmy go widzieli. Napełniwſzy pełną tykwę ſokiem, poſtawiłem ią w pewnym mieyſcu, na ktore w kilka dni potym przyſzedłem, nioſąc na ſzyi ſtarca. Tam wziąwſzy tykwę, napiłem ſię wybornego wina, ktorego dziel-

ność ſprawiła, żem przynaymniey na iaki czas o śmiertelnym moim zapomniał ſmutku! Nabrałem ſił, y w tak weſołym zoſtawałem humorze, żem zaczął śpiewać y podſkakiwać chodząc.

Starzec poznawſzy dzielność tego napoiu, w moiey oſobie, zwłaszcza żem go lżey wtenczas nad zwyczay niośł, dał mi znakiem ſwoim do zrozumienia, że ſię także napić pragnął wina: dałem mu tykwę, wziął ią w ręce, a że likwor ten arcy mu przypadł do guſtu, wychylił go do oſtatniey kropelki; Było zaś doſyć wina dla upoienia go, iakoż dobrze ſobie podchmielił, y w krotce gdy go dzielność tego likworu rozmarzyła, począł śpiewać, iak umiał, y podſkakiwać na moich ramionach. Co było mu potym przyczyną, do ciekcyi; począł coraz wolniey trzymać mię nogami, tak dalece, że poczuwſzy, że mię nic nie trzymał ſię rzućiłem go na źiemię, na ktorey leżał iak nie żywy, wtenczas wziąwſzy wielki kamień ſtłukłem mu na miazgę głowę.

Ukontentowałem ſię niezmiernie, żem ſię pozbył przeklętego tego dziada, y poſzedłſzy ku brzegowi morſkiemu, znalazłem ludzi z okrętu, ktorzy tam zarzućili kotwice dla nabrania wody y dla wzięćia iakiego poſiłku. Zadziwili ſię bardzo zobaczywſzy mnie, zwłaszcza gdym im obſzernie opowiedział całą moię awanturę. Wpadłeś był, rzekli do mnie, w ręce dziada morſkiego, y pierwſzy ty podobno ieſteś, ktorego on nie zaduſił. Nie opuśćił nigdy tych, ktorych tylko

kiedy

kiedy dostał, chyba ich zamordowawszy, y wyspę tę sławną uczynił znaczną liczbą zabitych od siebie ludzi. Flisi y Kupcy wstępuiący na tę wyspę, nie śmieią się na nią daley zapędzać, chyba w wielkiey kompanii.

Te dawszy mi informacye, zaprowadzili mię z sobą do okrętu, ktorego Kapitan miał sobie za ukontentowanie, przyiąć mię, iak tylko się dowiedział co mi się przytrafiło. Kazał rozpuśćić żagle, y po kilkudniowey żegludze, przybiliśmy do portu wielkiego iednego Miasta, ktorego Domostwa były murowane z pięknego kamienia.

Jeden z Kupcow okrętowych z ktorym zabrałem przyiaźń, prosił mię, ażebym z nim poszedł, zaprowadził mię do Domostwa wyznaczonego na schronienie się cudzoźiemcom. Dał mi wielki wor; potym zarekomendowawszy mię niektorym ludziom tego Miasta, maiącym także wory, y prosiwszy ich, ażeby mię z sobą brali, idąc na zbieranie kokusowego owocu; idź rzekł do mnie, trzymay się ich, y czyń to co y oni, nie odłączaiąc się nigdy od nich, bo byś mogł w iakie wpaść niebespieczeństwo. Dał mi na dzień cały żywnośći y poszedłem z tymi ludzmi.

Przyśliśmy do wielkiego lasu maiącego drzewa arcy wysokie, y proste, ktorych pniaki tak były gładkie, że arcy było ćiężko wyliść na nie ku wierzchołkowi na ktorym był owoc, same tylko w tym lesie były kokusowe drzewa, ktorych to chćieliśmy rwać frukt, y napełniać niemi na-

ſze wory. Wſzedłſzy do laſu, zobaczyliśmy wielką liczbę wielkich y małych małp, ktore iak tylko nas zobaczyły, natychmiaſt ućiekać poczęły, wyſkakuiąc z niewypowiedzianą ſzypkośćią na wierzchołki drzewa.

Szecherazada chćiała daley ieszcze ćiągnąć ſwoy dyſkurs; lecz dzień zbliżaiący ſię, nie pozwolił iey więcey mowić. Przeto naſtępuiącey nocy, tak znowu zaczęła ſwoy dyſkurs.

LXXXV. NOC.

Kupcy z ktoremi byłem (kontynuował daley *Syndbad*) nazbierali kamieni, y poczęli niemi rzucać na małpy na wierzchołkach drzew ſiedzące. Czyniłem toż ſamo ich przykładem, y poſtrzegłem, że małpy natychmiaſt z prędkośćią rwały owoce kokuſowe y rzucały niemi na nas z geſtami wyrażaiącemi wielki ich gniew. Zbieraliśmy kokos a rzucaliśmy coraz kamieniami, dla rozdrażnienia małp. Sztuką tą napełnialiśmy naſze wory tym owocem, ktorego innym ſpoſobem nie można było doſtać.

Gdyśmy iuż mieli pełne wory, powroćiliśmy do Miaſta, Kupiec ktory mię był poſłał do laſa zapłaćił mi wor kokuſowego owocu, ktory przynioſłem; kontynuuy rzekł do mnie twoie prace, y chodź co dzień do laſu, poki ſobie nie zarobisz, oczym byś mogł powroćić ſię do Domu, podźiękowałem mu za tę iego radę; iakoż, tak

wiele

wiele nazbierałem kokuſu, żem znaczną przedawſzy go zgromadził pieniędzy ſummę.

Okręt na ktorym przyiechałem, był odiechał z Kupcami, ktorzy go naładowali kokuſowym owocem nazkupowanym: czekałem innego okrętu ktory w krotce przybił do portu Miaſta, dla zkupowania tegoż owocu. Rozkazałem zanieść na ten okręt, wſzyſtek moy ktory tylko miałem kokos, y gdy iuż miał odbiiać od lądu, poſzedłem na pożegnanie do tego Kupca, ktoremum wielką miał obligacyą. Nie mogł albowiem ieszcze iechać z nami dla nie zakończonych ſwoich intereſſow.

Odbiliśmy od lądu, y popłynęliśmy ku wyſpie na ktorey naywięcey rośnie pieprzu. Ztamtąd poiechaliśmy do wyſpy nazwaney *Komari*, na ktorey rośnie naywybornieyſze drzewo Alòéſowe, y ktorey mieszkańcy obowiązali ſię prawem, nie pić nigdy wina, y niećierpieć w kraiu ſwoim żadney roſpuſty. Na tych dwoch wyſpach zamieniłem frukt kokuſowy za pieprz, y Alòéſowe drzewo, y poiechałem zdrugiemi Kupcami na połow pereł; naiąłem ſobie nurkow, ktorzy mi ich bardzo wiele wielkich y ſzacownych nałowili. Wſiadłem potym na okręt, ktory ſzczęśliwie przybił do *Balżory*, z ktorego to portowego Miaſta, powroćiłem do *Bagdadu* zebrawſzy wielką ſummę pieniędzy, za pieprz, y za drzewo Alòéſowe, y przywiozſzy z ſobą wiele pereł. Rozdałem na ubogich dzieſiątą część moiego zyſku,

tąk iako powroćiwſzy ſię z pierwſzych moich podroży, y rozrywałem ſię po fatydze wſzelkiego rodzaiu roſkoſzami.

Syndbad te zakończywſzy słowa, rozkazał dać *Hindbadowi* ſto cekinow, ktory natychmiaſt z innemi gośćiami wyſzedł. Nazaiutrz taż ſama kompania przyſzła do bogatego *Syndbada*, ktory według zwyczaiu ſwego utraktowawſzy ią, tak iako y w dniach przeſzłych, zabrał głos y począł opowiadać ſzoſtą ſwoię podroż.

SZOSTA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Panowie moi, mowił daley do kompanii, w podziwieniu podobno zoſtaiećie, iakim ſpoſobem rozbiwſzy ſię pięć razy na morzu, y tyle wyćierpiawſzy niebeſpieczeńſtw odważyłem ſię ieszcze kuſić fortunę, y nowey iey ſzukać niełaſki. Sam ſię temu dziwić nie przeſtaię, ile ſobie razy to przypominam, nie inaczey muſiały mię do tego nieuchronne moie wyroki przymuſzać. Cokolwiek bądź, przy końcu Roku moiego ſpoczynku, nagotowałem ſię na ſzoſtą podroż, mimo perſwazyi y gorącey proźby moich krewnych, y przyiaćioł, ktorzy cokolwiek tylko mogli czynili dla zatrzymania mnie w Domu.

Zamiaſt udania ſię na morze przez odnogę Perſką, poiechałem pierwey przez wiele Prowincyi Perſkich, y Indyiſkich, y przyiechałem do portu morſkiego, u ktorego zabrałem ſię z towarami na okręt, ktorego Kapitan na długą puszczał ſię żeglugę, iakoż w ſamey rzeczy trwała długo; lecz oraz tak była nieſzczęśliwa, że y Kapitan y Sternik zgubili drogę, y niewiedzieli na ktorym zoſtawaliśmy mieyſcu. Pomiarkowali na oſtatek w ktorey części zoſtawaliśmy świata, lecz wſzyſcy podrożni nie mieliśmy ztąd przyczyny ćieſzenia ſię, y owſzem, wielką nam to ſprawiło boiaźń, y zadumienie, gdyśmy poſtrzegli, że Kapitan porzućiwſzy wſzyſtko ſerdeczne począł wydawać ięki, rzućił zawoy z głowy, rwał ſobie włoſy w brodzie, y bił głową o okręt, iako człowiek ſzalciący z roſpaczy. Spytaliśmy ſię go dla czego by ſię tak trapił: opowiadam wam, odpowiedział, że ieſteśmy na mieyſcu na całym morzu nayniebeſpiecznieyſzym. Woda byſtra ćiągnie nasz okręt y we czterech godzinach wſzyſcy poginiemy. Prośćie BOGA, ażeby nas od tego bronił niebeſpieczeńſtwa, nie uydziemy go ieżeli ſię nad nami nie zmiłuie. To wymowiwſzy rozkazał obroćić żagle; lecz liny wſzyſtkie porwały ſię w oka mgnieniu, y okręt nas z zapędził ſię pod wyſoką arcy gorę, o ktorą rozbił ſię, tak iednak, że mogliśmy ſalwować y żyćia naſze, y wyratować żywności y niektore ſzacownieyſze towary.

To

To gdy ſię ſtało, Kapitan rzekł do nas, uczynił BOG z nami co mu ſię podobało; możemy tu ſobie wykopać każdy dla ſiebie grob, y oſtatnią ſobie oddać waletę; ieſteśmy albowiem w mieyſcu tak niebeſpiecznym, że żaden człowiek z tych ktorzy przed nami kiedy ſię doſtali, nie powroćił ſię z niego do ſiebie. Dyſkurs ten niezmiernie nas zafraſował, poczęliśmy ſię obopolnie śćiſkać, wylewaiąc łzy y opłakuiąc ſtan nasz nieſzczęśliwy.

Gora ta pod ktorą zoſtawaliśmy, była brzegiem arcy długiey, y obſzerney wyſpy. Wiele bardzo znaydowało ſię przy niey drzewa, z rozbitych okrętow; mnogość zaś kośći ludzkich, ktoreśmy nie bez wzdrygania ſię tu y owdzie leżące widzieli, dała nam do zrozumienia, że przy niey nie mało zginęło ludzi. Co zaś prawie rzeczą nie podobną do wiary, ieſt to, żeśmy znaleźli na tey gorze niezmierną obfitość ſzacownych towarow. Bogactwa te iednak na to ſię tylko nam przydały, że ſię pomnożył bardziey ieszcze śmiertelny nasz ſmutek. Lubo ze wſzyſtkich innych gor rzeki płynąc ſwoiemi korytami w padaią w morze, na tey iednak gorze przećiwna rzecz dała ſię nam widzieć; woda albowiem ſłodka wielkim korytem oddzielaiąc ſię od morſkiey wody, w pływa w gorę przez otworzyſtość wielkiey ſkały. Co zaś nayoſobliwſzego może bydź na tey gorze, zdaie mi ſię to, że wſzyſtkie kamienie ktorekolwiek na niey ſię znayduią, ſą albo rubiny,

biny, albo krzyształ, albo inne szacowne kleynoty, widzieliśmy nawet na niey rzekę, ktorey woda podobna iest do smoły, albo raczey do kleiu. Rzeka ta wpływa w morze, rybę zaś porywawszy wyrzuca ią potym z siebie przemienioną w przedni burztyn, ktory potym fale wyrzucaią na brzeg. Rośnie na niey wiele bardzo drzew, naywięcey iednak drzewa Alòésowego, nad ktore, lepsze się nie znayduie na wyspie *Komari.*

Ażebym w krotkich słowach opisał to mieysce, dosyć mi iest powiedzieć; że iest przepaśćią; nie iest albowiem rzecz podobna, ażeby okręt raz zbliżywszy się do niego, mogł się powrocić. Jeżeli y wiatr y bystrość sama wody ku tey gorze popędzaią ktory okręt, wtenczas y wiatr y bystrość wody, przyczynia się do iego zguby; ieżeliby zaś wiatr był w inną stronę ktoryby przećię mogł do ocalenia okrętu dopomodz, wysokość gory nie daie mu odpychać okrętowych żagłow, czyni go niepożytecznym, a tym czasem bystrość sama wody ćiągnie okręt w tę stronę, w ktorey się koniecznie rozbić musi. Na dopełnienie zaś naszych nieszczęśliwośći, gora ta tak była wysoka, że nie można było żadnym sposobem, na iey dostać się wierzchołek, dla salwowania swego życia.

Siedzieliśmy na brzegu morskim iako ludzie bez rozumu y co dzień oczekiwaliśmy śmierći. Z początku zaraz podzieliliśmy między siebie rowno żywnośći, a tak każdy żył mniey lub

dłu-

dłużey nad drugiego, podług ſwego temperamentu, y oſzczędnośći w iedzeniu pokarmow.

Szecherazada przeſtała mowić poſtrzegłſzy dzień. Nazaiutrz tym ſpoſobem powróciła ſię do ſwoiey relacyi.

LXXXVI. NOC.

Ci ktorzy poumierali pierwſi (kontynuował *Syndbad*) pochowani byli od drugich; co do mnie uczyniłem tę oſtatnią przyſługę wſzyſtkim moim kollegom; czemu nie potrzeba ſię dziwować: nie tylko albowiem oſzczędzałem lepiey a niżeli oni moie żywnośći, ktore mi ſię doſtały przez podział, miałem oprocz tego inne ieſzcze, ktorem mocno chował przed moiemi kollegami. Ztym wſzyſtkim, gdym pochował oſtatniego, tak iuż mało miałem prowiantow, żem y oſądził, iż żyćie moie nie miało bydź długie; wykopałem ſobie ſam grob, rezolwowawſzy ſię ſkoczyć w ow doł, nikogo albowiem iuż nie było, ktoby mi ſprawił pogrzeb. Prawda ieſt, że tą zabawiaiąc ſię pracą, wyrzucałem ſobie na oczy, żem ſobie ſam do zguby był przyczyną, dla tego, żem ſię odważył na tę oſtatnią podroż. Niedoſyć mi było żem ſię trapił temi tak martwiącemi reflexyami, zbroczyłem krwią moie ręce, kąſaiąc ie zębami, y o małą rzecz ſzło, żem ſobie nie odebrał żyćia.

Lecz BOG zlitował ſię ieszcze nademną, y

podał mi myśl, ażebym poszedł ku rzece wpływaiącey w wydrążoność skały; tam przypatrzywszy się iey z wielką pilnośćią rzekłem sam w sobie, rzeka ta ukrywaiąca się tak w tey gorze, musi z niey ktorędy wychodzić. Zrobiwszy sobie tratwy y usiadłszy na nie, może, że wypłynę nią do iakiey źiemi od ludzi mieszkaney; ieżeli zginę, odmienię tylko rodzay śmierći, ieżeli zaś przećiwnie wyrwę się z tego fatalnego mieysca nie tylko uniknę nieszczęśliwego, ktory się na kollegach moich wypełnił, wyroku, lecz nad to może bydź, że do wielkich przyidę bogactw. Ktoż wie, ieżeli fortuna nie czeka na mnie za tą gorą, ażeby mi nadgrodziła z profitem za szkodę ktorą poniosłem przez rozbićie się okrętu.

Nie omieszkanie począłem pracować koło tratew, zrobiłem ie z grubych dylow, powiązawszy ie linami, na ktorych mi nic zbywało. Gdym ten dosyć gruntowny skończył statek, napełniłem go rubinami, szmaragdami, bursztynem szarym, krzyształem, y bogatemi materyami. Ułożywszy te wszystkie rzeczy na tratwach rowno, a żeby iedna strona nie była ważnieysza nad drugą, y przywiązawszy ie dobrze, wsiadłem sam, y nagotowawszy sobie dosyć nie wielkich wioseł, puśćiłem się ową rzeką spuszczaiąc się zupełnie na wolę Boską.

Jak tylko wpłynąłem w tę iaskinią, nic widziałem światła, a woda niosła mię tak, żem nic wiedział w ktorą miałem wypłynąć stronę. Błąkałem

kałem ſię dni kilka w tych ćiemnośćiach, nie widząc nigdy naymnieyſzego słonecznego promienia. Jaſkinia ta w niektorych mieyſcach tak była niſka, iż o małą rzecz ſzło, że mię nie raniła: przeto na wielkiey miałem ſię oſtrożnośći. Przez cały ten czas tyle tylko zażywałem żywnośći, ktorych mi ieszcze cokolwiek było pozoſtało, ile potrzeba było, ażebym ſię zatrzymał przy żyćiu. Lecz z iakążkolwiek żyłem oſzczędnośćią, nie ſtało mi żywnośći. Wtenczas nie mogłem ſię oprzeć ſnowi. Nie mogę wam powiedźieć ieżelim ſpał długo; lecz przebudziwſzy ſię uyźrzałem ſię z podziwieniem na obſzernym polu, przy brzegu rzeki, do ktorey tratwy moie były przywiązane, otoczony będąc wielką liczbą Murzynow. Jak tylkom ich zobaczył wſtałem, y niſki uczyniłem im ukłon. Zaczęli do mnie mowić, lecz ia nie rozumiałem ich ięzyka.

Wtenczas w takiey zoſtawałem radośći, żem począł powątpiwać, ieżelim ſpał, albom prawdziwie z temi Murzynami rozmawiał. Wyperſwadowawſzy ſobie, żem nie ſpał, wymowiłem głośno te słowa po Arabſku. *Wzyway Wſzechmocnośći Boſkiey, a przyidzie ku twoiemu ratunkowi: Nie potrzeba ażebyś ſię o iaką rzecz troſkał. Zamknyi powieki twoie, a w tym czaſie, w ktorym ty będzieſz zaſypiał, BOG przemieni nieſzczęśćie twoie w ſzczęśćie.*

Jeden z Murzynow uſłyſzawſzy mnie mowiącego po Arabſku zbliżywſzy ſię ku mnie, y

zabra-

zabrawſzy głos, rzekł: nie dziwuy ſię, że nas tu widzisz, mieszkamy tu na tych, ktore oglądasz, polach, przyſzliśmy dnia dziſieyſzego polewać grunta naſze wodą z rzeki wychodzącey z pobliſkiey gory. Poſtrzegliśmy że woda iakąś rzecz nioſła; przybiegliśmy prędko, dla zobaczenia coby było, uyźrzeliśmy że to były te tratwy; natychmiaſt ieden z nas rzućiwſzy ſię w pław, przyprowadził ie do brzegu, zatrzymaliśmy ie, y przywiązali iako widzisz, czekaiąc ażbyś ſię przebudził. Upraſzamy ćię pokornie, ażebyś nam opowiedział twoię hiſtoryą, ktora muſi bydź wielce extraordynaryina. Opowiedz nam iakim ſpoſobem odważyłeś ſię puśćić na tę wodę, y zkąd płyniesz. Odpowiedziałem im, ażeby mi pierwey dali ieść, y że poſiliwſzy ſię miałem uczynić zadoſyć ich ćiekawośći.

Ofiarowali mi kilka potraw, a ia uśmierzywſzy głod, zacząłem im opowiadać wiernie wſzyſtko, cokolwiek mi ſię przytrafiło. Słuchali mię z wielkim podziwieniem, iak tylko ſkończyłem moy dyſkurs, otoż, rzekli przez tłomacza, ktory im explikował to wſzyſtko, cokolwiekem opowiedział, otoż iedna z hiſtoryi naydziwnieyſzych! potrzeba koniecznie, ażebyś ią ſam opowiedział naſzemu Krolowi; rzecz ta tak ieſt extraordynaryina, że koniecznie ieſt potrzeba, ażeby Mu ią ten ſam opowiedział, ktoremu ſię przytrafiła; odpowiedziałem im, żem gotow był wſzyſtko uczynić czego by odemnie chćieli.

Murzyni poſłali czym prędzey po konia, ktorego w krotce przyprowadzono. W ſadzili mię na niego, iedni ſzli przedemną, pokazuiąc mi drogę, drudzy zaś więcey maiący nad drugich ſił, wzięli na ramiona tratwy na ktorych płynąłem z pakami, ktore na nich były, y ſzli za mną.

Szecherazada na tych słowach ućięła ſwoy dyſkurs; albowiem pokazał ſię iuż był dzień, Nazaiutrz od tego na czym była ſtanęła zaczęła na nowo mowić.

LXXXVII. NOC.

Szliśmy wſzyſcy razem (kontynuował *Syndbad*) aż do Miaſta *Serendit*, na tey albowiem wyſpie znaydowałem ſię. Murzyni prezentowali mię ſwoiemu Krolowi. Zbliżyłem ſię do Tronu na ktorym ſiedział, y oddałem mu ukłon tym ſpoſobem, iakim go oddaią Krolom Indyiſkim; to ieſt upadłem przed Jego nogami, y pocałowałem źiemię. Monarcha ten rozkazał mi ſię podnieść, y mile mię przywitawſzy, kazał mi ſię do ſiebie zbliżyć, y przy ſobie ſtanąć; pytał mię ſię naypierwey, iakbym ſię nazywał: gdym Mu odpowiedział, żem ſię nazywał *Syndbadem* przezwanym *Morſkim*, dla wielu podroży, ktorem odprawił na morzu, przydałem żem był Obywatelem Miaſta *Bagdadu*. Jakim żeś ſpoſobem, rzecze Krol, doſtał ſię do moiego Państwa? ktorędyś do niego trafił?

Nie ukrywaiąc nic przed Krolem, opowiedziałem Mu rzecz całą, co Mu tak wielkie ſprawiło podziwienie, y ukontentowanie, iż natychmiaſt rozkazał ażeby moię awanturę wypiſano złotemi literami, ażeby była konſerwowana w Archiwum Jego Kroleſtwa. Przynieſiono potym tratwy, y otworzono paki w Jego obecnośći. Wydziwić ſię nie mogł mnogośći alôéſu y bursztynu ſzarego; lecz oſobliwie rubinom y ſzmaragdom; nie miał albowiem żadnego w ſwoim ſkarbcu, ktoryby do nich był podobny. Gdym poſtrzegł że ſię pilnie y z wielkim ukontentowaniem przypatrywał moim kleynotom, biorąc z nich przednieyſze w ręce ieden po drugim klęknąłem przed nim, y rzekłem: Nayiaśnieyſzy Panie, nie tylko ſię ſam oddaię na uſługi Waſzey Krolewſkiey Mośći, ale też y tratwy tę ze wſzyſtkiemi towarami, upraſzam ćię pokornie Miłośćiwy Panie, ażebyś niemi tak dyſponował, iak właſnym dobrem. Odpowiedział mi uśmiechaiąc ſię; *Syndbadzie*, niech mię BOG broni, ażebym miał tego pragnąć, albo żebym ći co miał z tego odbierać, czego ći BOG użyczył. Nie tylko nie umnieyſzę twoich bogaſtw; lecz ie ieszcze pomnożę, y niechcę ażebyś wychodził z moiego Pańſtwa, bez odebrania wſpaniałośći moiey dowodow. Odpowiedziałem na te ſłowa błogoſławiąc tego Monarchę, y wyſławiaiąc dobroć Jego y wſpaniałość ſerca. Obligował iednego z ſwoich Urzędnikow, ażeby o mnie miał ſtaranie, y dał mi ludzi, ktorzyby mi

Jego kosztem ſłużyli. Urzędnik ten pilnie wypełnił rozkazy ſwoiego Pana, y rozkazał przenieść wſzyſtkie paki ktore ſię znaydowały na tratwach do tego, ktory naznaczył apartamentu.

Chodziłem dnia każdego o pewnych godzinach na Krolewſkie pokoie, resztę zaś dnia trawiłem na przypatrywaniu ſię w Mieśćie tym nayćiekawſzym rzeczom.

Wyſpa *Serendyd* położona ieſt, przy ſamey połnocney linii, dla czego dni y nocy dwanaśćie w ſobie zawſze zawieraią godzin. Miaſto iey Stołeczne, ieſt przy końcu ślicżney doliny, pod gorą, ktora ieſt w pośrzodku wyſpy, a naywyżſzą ſię może nazwać w całym świećie. Jakoż widać ią z morza po trzech dniowey od niey żegludze. Ma w ſobie ta gora rubiny, y wiele minerałow; a ſkały iey wſzyſtkie ſą ſzmergielowe, ktorego to kamienia kruszcowego zażywaią do murowania. Znayduią ſię na tey gorze rożne rodzaie drzew y latorośli, ale nadewſzyſtko cedry y kokoſowe drzewa. Poławiaią ſię także w niektorych tey wyſpy rzekach perły, y przy brzegach morſkich. Nie ktore zaś iey doliny maią w ſobie wiele dyamentow. Zadoſyć czyniąc memu nabożeńſtwu, odprawiłem podroż do tego mieyſca gory, na ktore Adam był wygnany z Raiu, y z ćiekawośći na ſamym iey byłem wierzchołku.

Gdym ſię powroćił do Miaſta, upraſzałem Krola, ażeby mi pozwolił iechać do moiey Oy-

czyzny; pozwolił mi natychmiaſt z oświadczeniem mi ſwoiey dobroczynności, y zwielkim moim honorem rozkazał mi dać ſzacowny prezent, z ſwoiego ſkarbcu; a gdym ſię z nim żegnał, dał mi drugi prezent daleko droższy, y liſt do Rządcy *Wiernych* naſzego Monarchy, mowiąc do mnie: proſzę ćię, ażebyś odemnie oddał ten prezent, y liſt *Kalifie Harounowi Alraſzydowi*, y upewnił go o moiey ku Niemu przyiaźni. Wziąłem prezent ten y liſt znależytym reſpektem, obiecuiąc temu Monarſze, żem miał punktualnie iego wypełnić rozkazy. Nim wſiadłem na okręt, rozkazał Krol zawołać doſiebie Kapitana okrętu, y Kupcow, ktorzy ze mną iechać mieli, y przykazał im, ażeby mi wſzelką oświadczali ludzkość y względy.

Liſt Krola wyſpy *Serendyd* piſany był na ſkorze pewnego zwierzątka, arcy ſzacownego, dla ſwoiey rzadkości; kolor tey ſkorki był żołtawy; litery tego liſtu były lazurowe, ten zaś ſens w ięzyku Indyiſkim zawierał.

Krol Indyiſki, przed ktorym chodzi tyſiąc ſloniow, ktory mieszka w Pałacu maiącym na ſobie dach iaśnieiący ſto tyſiącami rubinow, y ktory w ſkarbie ſwoim dziedziczy dwadzieśćia tyſięcy Koron napełnionych dyamentami, *Kalifie Harounowi Alraſzydowi.*

Lubo prezent ten ktory Wam poſyłamy ieſt doſyć licby, raczćie go iednak przyiąć, po Braterſku, y po przyiaćielſku; maiąc wzgląd

na tę przyiaźń, ktora ku Wam w naſzym zawſze zoſtaie ſercu, y ktorey Wam życzemy kiedyżkolwiek oświadczyć dowody. Proſiemy Was, ażebyśćie Nam z Waſzey ſtrony wzaiemnie nie ubliżali przyiaźni, zwłaſzcza, że ſię iey zdaiemy bydź godni, ponieważ rowną Waſzey godnośći zaſzczycamy ſię rangą. Oto Was upraſzaiąc uſilnie, wſzelkich Wam życzymy pomyślnośći.

Prezent zawierał w ſobie; naczynie z iednego wyrobione rubinu, ktorego pedeſtał był wyſoki na iednę geometryczną ſtopę, a gruby na cal; napełnione było to naczynie perłami okrągłemi, z ktorych każda ważyła poł drachmy. *Powtore* ſkorę wężową, ktorey łuſczka, tak była wielka, iak czerwony złoty, y ktora tę miała cnotę, że ći ktorzy na niey ſypiali, wolni byli od wſzelkich chorob. *Po trzećie* pięćdzieſiąt tyſięcy drachm nayprzednieyſzego Aloëſowego drzewa, y trzydzieśći ſztuk kanfory extraordynaryiney wielkośći, naoſtatek przy tych wſzyſtkich rzeczach była Niewolnica rzadkiey pięknośći, maiąca na ſobie ſzaty drogiemi okryte kamieniami.

Okręt odbił od lądu, y po długiey y arcy ſzczęśliwey żegludze przypłynęliśmy do *Balzory*, zkąd powroćiłem ſię do *Bagdadu*. Za naypierwſzy miałem interes wypełnienie zleconego mi poſelſtwa.

Szecherazada na tym mieyſcu mowić przeſtała, dla pokazuiącego ſię dnia. Nazaiutrz tym ſpoſobem powroćiła ſię do ſwoiego dyſkurſu.

LXXXVIII.

LXXXIII. NOC.

WZiąłem liſt Krola wyſpy *Serendyd* (kontynuował *Syndbad*) y poſzedłem prezentować ſię w Bramie Rządcy *Wiernych*, maiąc za ſobą przedziwney urody. Niewolnicę, y naybliżſzych moich krewnych nioſących prezenta. Opowiedziałem intereſſ, a natychmiaſt mię zaprowadzono przed Tron *Kalifyy*. Ukłoniłem ſię Mu upadłſzy na twarz, y powiedziawſzy do Niego krotki komplement, oddałem Mu liſt, y prezent. Przeczytawſzy to co ſię w nim znaydowało, ſpytał mię ſię, ieżeliby w ſamey rzeczy Krol wyſpy *Serendyd* był tak potężny y bogaty, iak w ſwoim liśćie wyrazał? Upadłem powtornie przed nim na źiemię, y powſtawſzy: Rządco *Wiernych*, odpowiedziałem, mogę upewnić Twoy Maieſtat, że nie przyczynia ſwoich bogactw, y ſwoiey wſpaniałości; ieſtem albowiem mu w tey mierze świadkiem. Nic nie może bydź w świećie cudownieyſzego, nad wſpaniały Jego Pałac. Gdy Monarcha ten chce ſię pokazać publicznie, wyſtawiaią mu Tron na ſłoniu, zaſiada go, y wpośrzodku dwoch rzędow Miniſtrow, Faworytow, y innych Dworzan, iedzie; przed nim na tymże ſłoniu ieden z Urzędnikow trzyma złoty proporzec, a za Tronem drugi ſtoiąc, nieſie złotą kolumnę, na ktorey wierzchołku leży ſzmaragd długi na geometryczną ſtopę, a gruby na cal. Idzie przed nim tyſiąc Zołnierzy bogato od złota, y iedwabiu

przybranych, na ſłoniach przepysznie przyſtroionych.

Gdy Krol iedzie, Urzędnik ſtoiący przed nim na tymże ſłoniu, woła przeſtaiąc przez nieiaki czas wielkim głoſem: *Oto wielki Monarcha, potężny y ſtraſzny nieprzyiaćiołom Sułtan Indyiſki, ktorego Pałac okrywaią ſto tyſięcy rubinow, y ktory dziedziczy dwadzieśćia tyſięcy dyamentowych Koron. Oto Monarcha więkſzy y potężnieyſzy niżeli był niegdyś Solima* * *y Wielki Michrag.* §.

Gdy te kończy słowa Urzędnik będący za Tronem woła także: *Ten Monarcha tak Wielki y tak potężny umrzeć kiedykolwiek muſi.* Urzędnik na przedzie ſtoiący odpowiada na te iego słowa wołaiąc: *Chwała niech będzie temu ktory zawſze żyie a nigdy nie umiera.*

Oprocz tego Krol wyſpy *Serendyd* ieſt tak ſprawiedliwy, że żadnych w Mieśćie Jego Stołecznym y w całym Państwie nie masz ſędziow. Poddani albowiem Jego bynaymniey ich nie potrzebuią. Znaią ſię doſkonale ſami, y regularnie zachowuią wſzelkie ſprawiedliwośći prawa, nie ubliżaiąc w niczym ſwoiey powinnośći. Przeto Trybunały y Magiſtraty ſą dla nich nie potrzebne. Dyſkurs moy niezmiernie ukontentował *Kalifę*. Mądrość tego Krola, rzekł, wydaie ſię w Jego liśćie

śćie

* Salomon § Dawny Krol wyſpy tegoż Imienia będący w Indyach arcy ſławny u Arabow dla ſwoiey mądrośći y potęgi.

ście a wyſłuchawſzy twoiey mowy przyznać potrzeba, że mądrość Jego ieſt godna Jego poddanych, y poddani Jego mądrośći. Te wyrzekłſzy do mnie ſłowa, pożegnał ſię ze mną, y odeſłał mię do Domu, dawſzy mi ſzacowny prezent.

Syndbad zakończył ſwoy dyſkurs, y ſłuchaiący go rozeſzli ſię; lecz *Hindbad* wziął pierwey ieszcze ſto cekinow. Powroćili ſię wſzyſcy nanowo, nazaiutrz do *Syndbada*, ktory im natychmiaſt po ſkończonym obiedzie, zaczął opowiadać ſiodmą a oſtatnią ſwoię podroż.

SIODMA Y OSTATNIA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Powroćiwſzy ſię z ſzoſtey moiey podroży zarzekłem ſię iuż więcey żeglować, po morzu, nietylko dla tego, że wiek moy iuż podeſzły przyzwoitego potrzebował ſpoczynku, iako też że niebeſpieczeńſtwa w ktorych tyle razy znaydowałem ſię, dały mi ſię iuż były we znaki; przeto na roſkoſzach y rozrywkach, przepędzałem mile reſztę dni moiego żyćia. Dnia iednego, ktorego traktowałem wielu moich przyiaćioł, ieden z mo-

ich ludzi oznaymił mi że Dworzanin *Kalify* szedł do mnie. Porwałem śię od stołu, y wyszedłem przećiwko niemu. *Kalifa*, rzekł do mnie, rozkazał mi opowiedźieć ći, że chce z tobą mowić; poszedłem natychmiast do Pałacu za tym Dworzaninem; prezentowałem śię Monarsze, oddałem Mu ukłon, upadłszy do nog Jego. *Syndbadzie*, rzekł do mnie: potrzebnyś mi iest. Musisz mi iednę uczynić przysługę: to iest zawieść respons moy, y prezenta Krolowi wyspy *Serendyd*. Sprawiedliwa iest rzecz, ażebym Mu za ludzkość Jego zawdzięczył.

Rozkaż *Kalify* raźił mię, iako piorun. Rządco *Wiernych*, rzekłem, gotow iestem wypełnić to wszystko, co kolwiek na mnie Twoy Majestat włożył; lecz pokornie ćię upraszam, ażebyś chćiał zważyć że zmurzony iuż iestem niewypowiedzianemi fatygami. Poprzyśiągłem nawet nigdy więcey, nie wyieżdzać z *Bagdadu*. Tu począłem mu szeroko opowiadać wszystkie moie awantury, ktorych on z wielką słuchał ćierpliwośćią.

Jak tylko przestałem mowić, przyznaię rzekł, że wszystkie te ktore ći śię przytrafiły awantury, są extraordynaryine, z tym wszystkim nie powinny mieć tyle w sobie mocy, ażebyś dla nich nie odważył śię iednę ieszcze dla pozyskania moiey łaski odprawić podroż. Niczego od ćiebie nie żądam, tylko ażebyś zaiechawszy na wyspę *Serendyd* wypełnił zlecone sobie odemnie poselstwo. Wolno ći będzie potym powroćić śię zaraz

raz do *Bagdadu*, koniecznie potrzeba, ażebyś to uczynił. Ponieważ sam widzisz że ani ludzkości, ani godności moiey iest przyzwoita, ażebym Krolowi tey wyspy był co winien. Postrzegłszy że *Kalifa* koniecznie tego odemnie domagał się, odpowiedziałem żem był gotow wypełnić Jego rozkaz. Ućieszył się niezmiernie, y rozkazał mi dać na expens podroży tysiąc cekinow.

W kilka dni wybrałem się w drogę, y iak tylko mi oddano prezenta *Kalify*, y list własną iego pisany ręką, odiechałem do *Balzory*, gdzie wsiadłem do okrętu. Zegluga moia była arcy szczęśliwa: przyiechałem do wyspy *Serendyd*. Tam opowiedziałem Ministrom przyczynę moiego Poselstwa, y upraszałem ażeby mi nieodwłocznie wyiednali u Krola audyencyą. Nie omieszkali mi uczynić tey przysługi, zaprowadzili mię z wielkim honorem do Pałacu. Oświadczyłem Krolowi powinny respekt, upadłszy według zwyczaiu przed nim na twarz.

Monarcha ten poznał mię natychmiast, y osobliwszą swoię z przyiazdu mego oświadczył radość: Ah! *Syndbadzie* bardzom kontent z twoiego przybyćia. Rzetelnie ći powiadam że po twoim wyieździe, częstom bardzo o tobie myślał. Szczęśliwy nader iest ten dzień dla mnie, w ktorym ćię raz ieszcze oglądać mogę. Powiedziałem z moiey strony do Krola komplement, y podziękowawszy Mu pokornie za Jego ku mnie dobrotliwość, oddałem prezent y list *Kalify*,

liſy, ktory on z oświadczeniem wielkiey radośći przyiął.

Kalifa przyſłał Mu przezemnie całe łożko z złotey lamy, koſztuiące 1000. cekinow: 50. ſzat z drogiey materyi: 100. innych ſzat z płotna białego arcy przedniego wyrabianego w *Kairze*, w *Sues* * w *Kuzie* ** y w *Alexandryi*, łożko drugie karmazynowe, y trzećie innym ieszcze faſonem; naczynie Achatkowe ſzerſze w ſobie, aniżeli głębſze, grube na palec a maiące w ſobie otworzyſtośći na puł geometryczney ſtopy. Na pedeſtale iego wyryſowany był człowiek klęczący na źiemi, y wypuszczaiący złuku ſtrzałę do lwa: naoſtatek poſłał mu przezemnie bogaty ſtoł, ktorego że ieszcze wielki *Salomon* zażywał była tradycya. Liſt *Kalify* zawierał w ſobie ten ſens.

Zdrowia y wſzelkiey pomyślności imieniem naywyżſzego przewodnika prawdziwey drogi, potężnemu y ſzczęśliwemu Sułtanowi *Abdallah Haroun Alraſzyd* dziedziczący po świętey pamięći Przodkach ſwoich mieyſce honoru, życzy.

Odebraliśmy liſt Waſz z niezmiernym Naſzym ukontentowaniem, y raczyliśmy naradziwſzy ſię z radą naſzey Porty, ktora to nazwać ſię może ogrodem rozumow byſtrych, odeſłać Wam reſpons. Spodziewamy ſię, że przeczytawſzy go pilnie, poznaćie Naſzą ku Wam

przy-

* Port na morzu czerwonym.
** Miaſto Arabſkie.

przychylność, ktora rozumiem będzie Wam arcy miła &c.

Krol wyspy *Serendyd* nie zmiernie się ukontentował, gdy zobaczył, że *Kalifa* Jego korrespondował przyiaźni. W krotce potym po audyencyi naprzykrzałem się o naznaczenie mi czasu do moiego wyiazdu, wczym wiele zażyłem trudnośći. Pozwolono mi na ostatek wyiechać, y Krol żegnaiąc się zemną dał mi znaczny prezent, wsiadłem natychmiast na okręt z intencyą powrocenia się do *Bagdadu*; lecz nie byłem tak szczęśliwy, ażebym się do niego dostał tak iakom żądał; BOG albowiem inaczey rozrządził.

We trzy albo we cztery dni po naszym wyiezdzie attakowani byliśmy od Korsarzow, ktorzy tym mniey mieli trudnośći w odebraniu nam okrętu, im mniey był obronny. Niektorzy będący na okręćie, chćieli im dać odpor, lecz śmiałość tę swoię zapłaćili żyćiem, ia zaś y ći ktorzy rostropnie poddali się Korsarzom byliśmy zaprowadzeni w niewolą.

Dzień pokazuiący się nie pozwolił *Szecherazadzie* więcey mowić. Nazaiutrz tym sposobem zaczęła kontynuować swą historyą.

LXXXIX. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie (rzekła do Sułtana Indyiskiego) *Syndbad* kontynuuiąc awantury ostatniey swoiey podroży, gdy nas, rzekł odarli ze

wszyst-

wſzyſtkiego Korſarze, przyodziawſzy nas wliche ſzaty zawieźli nas na iednę wielką y oddaloną wyſpę, y tam nas przedali.

Doſtałem ſię iednemu Kupcowi bogatemu, ktory zaprowadziwſzy mię do ſiebie, y ſtroił mię y żywił dość przyſtoynie na Niewolnika. W kilka dni potym, ponieważ niewiedział ieszcze ktobym był, ſpytał ſię ieżelibym iakiego nie umiał rzemieſła; odpowiedziałem mu, żem nie był żadnym Rzemieślnikiem; lecz Kupcem, y że mię Korſarze, zabrawſzy mi wſzyſtkie towary, przedali. Lecz powiedz mi proſzę rzecze, ieżelibyś nie umiał ſtrzelać z łuku? odpowiedziałem że ſtrzelanie złuku było oſobliwſzą w młodym wieku moią zabawą, y żem go ieszcze nie zapomniał. Wtenczas dawſzy mi łuk y ſtrzały, y poſadziwſzy mię za ſobą na ſłoniu, zawiozł mię do laſu oddalonego od Miaſta na kilka godzin iazdy. Weſzliśmy daleko wlas, y gdy iuż poſtrzegł naznaczone mieyſce, rozkazał mi zſięść y rzekł do mnie, wliź na te wielkie drzewo, y ſtrzelay złuku do przechodzących tędy ſłoniow, albowiem ich tu wielka ieſt liczba. Jeżelibyś ktorego zabił daway mi znać.

To wyrzekłſzy, zoſtawił mi żywności, powrócił ſię do Miaſta, a ia zoſtałem ſię na drzewie czatuiąc na ſłonie przez noc całą

Przez cały ten czas żadnegom nie zobaczył, lecz iak tylko nazaiutrz zeſzło ſłońce, wielka ich pokazała ſię liczba. Wypuściłem do nich ſtrzał

kilka-

kilkanaśćie, y przećież zabiłem iednego. Inne rozſkoczyły ſię, y dali mi czas do oznaymienia moiemu Panu, żem ubił zwierza. Za przynieſienie mu tey nowiny, wielkie odebrałem pochwały, y oświadczenia, y należyćiem ſobie podiadł. Poſzliśmy potym razem do laſu, wykopaliśmy doł wielki, y wnim zakopaliśmy zabitego ſłonia. Pan albowiem moy miał intencyą, wtenczas kiedyby zwierz ten zgnił w źiemi, zabrać iego zęby y niemi handlować.

Kontynuowałem moie łowy przez całe dwa Mieſiące, y żadnego niebyło dnia, ktoregobym nie położył iednego ſłonia. Nie zawſze na iednym ukrywałem ſię drzewie; wyłaziłem raz na iedne, drugi raz na drugie. Jednego poranku, gdym czekał, ażby przechodzili ſłonie, poſtrzegłem z niewypowiedzianym moim podziwieniem, że zamiaſt tego, coby mieli przechodzić przedemną wzdłuż laſu według ſwego zwyczaiu, zatrzymały ſię, y ſzły ku mnie z ſtrasznym hałaſem, y w tak wielkiey liczbie, że źiemia cała zdawała ſię bydź niemi okryta, y trząść ſię pod ich nogami. Poſtrzegli drzewo te na ktorym ia byłem, y otoczyły go w koło wlepiwſzy we mnie oczy. Na te widowiſko ſtanąłem iak nie żywy, y dla wielkiey boiaźni wypuśćiłem z ręku y ſtrzały.

Jakoż nie prożna była moia boiaźń, ſłonie albowiem owe dobrze mi ſię przypatrzywſzy przez nie iaki czas, z nich naywiękſzy obłapił nogami ſwemi y trąbą drzewo, y tak nim począł

trząść,

trząść, że go z korzeniem wyrwał, y położył na źiemi. Upadłem zdrzewem na źiemię; lecz zwierz ten wziął mię ſwoią trąbą, y rzućił mię na ſwoy grzbiet, na ktorym uſiadłem podobny raczey do umarłego, aniżeli do żywego człowieka, maiąc zawieſzony przy boku ſaydak. Zaczął potym iść przed innemi, ktore za nim ſzły trzodą, przynioſł mię na pewne mieyſce, y na nim mię położywſzy ſam z innemi odſzedł. Pomiarkuyćie w iakim na ow czas znaydowałem ſię ſtanie, rozumiałem, że to ſnem tylko było, a nie prawdziwą rzeczą. Na oſtatek leżąc przez długi czas na źiemi, a nie widząc żadnego ſłonia, wſtałem, y zobaczyłem ſię na pagorku doſyć długim, y obſzernym, napełnionym kośćiami, y ſłoniowemi zębami. Wyznać muſzę, że rożne mi przychodziły ztąd reflexye. Nie mogłem doſyć wydziwić ſię tych zwierząt dowćipowi. Nie powątpiwałem, że mieyſce to było ich cmentarzem, y że mię nie dla czego innego tam zanieśli, tylko, ażebym ich przeſtał prześladować, maiąc obfitość zębow, dla ktorych ich iedynie zabiiałem. Nie bawiłem ſię na tym pagorku; poſzedłem natychmiaſt ku Miaſtu, y po iednego dnia y nocy podroży, przyſzedłem do moiego Pana. Nie napadłem w drodze na żadnego ſłonia, co mi dało do mniemania, że umyślnie ſię daley wlas oddaliły, ażebym z wſzelką wolnośćią mogł chodzić do tego pagorka.

Pan moy poſtrzegłſzy mię zawołał o nędzny

Syndbadzie, bardzom ſię fraſował, żem nie wiedział gdzieś ſię mi był podział. Byłem w leſie: y znalazłem w nim drzewo nowo wyrwane, tudzież łuk y ſtrzały na źiemi leżące, y gdym ćię nadaremnie przez długi czas ſzukał, zwątpiłem, ażebym ćię kiedy mogł zobaczyć. Opowiedz mi, proſzę, co ſię z tobą działo. Przez iakie dobrodzieyſtwo żyiesz ieszcze? Uczyniłem zadoſyć iego ćiekawośći, a nazaiutrz poſzedłſzy ze mną do wzwyż rzeczonego pagorka, poznał że ſłowa moie były prawdziwe. Nakładliśmy na ſłonia, na ktorym przyiechaliśmy byli, tyle, ile mogł unieść zębow y gdyśmy powroćili do Miaſta, Braćiszku moy, rzekł do mnie, nie mogę albowiem ćię nazywać teraz moim Niewolnikiem, odebrawſzy od ćiebie te dobrodzieyſtwo, ktore mię do wielkich przyprowadzi bogactw. Niech ći BOG da wſzelkie pomyślnośći, y błogoſławi ćię w całym twoim żyćiu. Swiadczę ſię tymże ſamym Bogiem, że ćię daruię wolnośćią. Niechćiałem ći tego powiadać co ći teraz opowiem.

Słonie znayduiący ſię w leſie, wiele nam każdego Roku gubią niewolnikow, ktorych my poſyłamy na zbieranie ich zębow. Jakieżkolwiek im dawaliśmy przeſtrogi, traćili iednak żyćie ſztuką dowćipnych tych zwierząt. BOG uwolnił ćię od ich zaiadłośći, y tobie tylko ſamemu tę wyświadczył łaſkę. Znak to ieſt, że ćię kocha, y że ćię potrzebuie ieszcze, ażebyś był światu pożyteczny. Niewypowiedzianąś mi uczynił łaſkę,

ſzukaliśmy do tych czas ſłoniowych zębow, przez utratę, y wydanie na rzeź tym okrutnym zwierzom naſzych Niewolnikow; a teraz przyſługa twoia, ktorąś mi uczynił, zbogaći bez żadney ſzkody całe naſze Miaſto. Nie rozumiey, ażebym mniemał, żem ći doſyć nadgrodził darowawſzy ći wolność; przydam ći ieszcze do tego znaczne bogactwa. Mogł bym przymuśić całe naſze Miaſto, do dania ći nadgrody za tę twoię wielkiey wagi czynność, lecz ſam ztąd mieć pragnę chwałę y honor.

Na ten tak obliguiący dyſkurs, odpowiedziałem: Panie, niech ći BOG nadgrodzi; wolność ktorąś mi oddał, doſyć dla mnie wielką ieſt zapłatą, y w nadgrodę za przyſługę, ktorą uczyniłem tobie y całemu twoiemu Miaſtu, oto ćię tylko proſzę, ażebyś mi pozwolił powroćić ſię do moiey Oyczyzny. Dobrze więc, odpowiedział mi, przyidą w krotce okręty po ſłoniowe zęby, wśiądziesz na nie, wziąwſzy odemnie na drogę pieniędzy; zaiedziesz do Oyczyzny. Podziękowałem mu powtornie za wolność, y za nowe oświadczenia. Zoſtawałem przez nieiaki czas u niego, czekaiąc, ażby ſprzyiaiący wiatr naſtąpił, przez ktory to czas tyleśmy razy powroćili od pagorka z ſłoniowemi zębami, żeśmy całe napełnili ſklepy. Wſzyſcy Kupcy tego Miaſta w krotce toż ſamo uczynili; ponieważ to przed niemi długo ukryć ſię nie mogło.

Na tych ſłowach *Szecherazada* poſtrzegłſzy dzień,

dzień, zakończyła dyskurs. Lecz w następuiącey nocy wróciła się do niego, tak do Sułtana Indyiskiego mowiąc:

XC. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie, *Syndbad* kontynuuiąc relacyą o siodmey swoiey podroży: okręty, rzekł, na ostatek przyszły, y Pan moy wybrawszy z nich sam ieden, naładował go słoniowemi zębami, kazał mi na niego wsieść, oświadczywszy że połowa tego towaru do mnie należała. Nie zapomniał oprocz tego dać mi na okręt bardzo wiele żywności, y przymusił mię prawie, ażebym od niego przyiął arcy drogie prezenta. Podziękowawszy mu iak tylkom mogł za tę iego ku mnie dobroczynność, wsiadłem na okręt. Odbiliśmy od brzegu, a że awantura będąca przyczyną moiey wolności, była arcy extraordynaryina, ustawiczniem o niey myślił.

Zabawiliśmy się na niektorych wyspach, dla wzięćia potrzebnych spoczynkow. Gdy okręt nasz przybił do portu lądowego Miasta w Indyi, dla uniknienia niebespieczeństw morskich, rozkazałem z okrętu powynosić słoniowe zęby, y inne do mnie należące towary, postanowiwszy lądem powracać do *Bagdadu*. Zebrałem wielką summę za słoniowe zęby, y nakupowałem bardzo wiele rzadkich rzeczy na prezenta, y ułatwiwszy moie interessa, przyłączyłem się do wielkiey

kompanii iadących Kupcow. Zoſtawałem długo w drodze, y wielem wyćierpiał biedy; lecz przypomiàiąc ſobie żem ſię niemiał przyczyny obawiać, ani nawałnośći, ani wężow, ani innych niebeſpieczeńſtw ktorychby mi ſię obawiać potrzeba było na morzu, ćierpliwiem znoſił wſzelkie przykrośći.

Wſzelkie te nakoniec fatygi ſkończyły ſię, przyiechałem ſzczęśliwie do *Bagdadu*: poſzedłem natychmiaſt prezentować ſię *Kaliſie*, ſprawuiąc ſię mu z moiego poſelſtwa. Monarcha ten oświadczył ſię, że bawienie ſię moie w drodze, wielką mu ſprawiało troſkliwość; ſpodziewał ſię iednak że mię BOG nigdy opuśćić nie miał.

Gdym mu opowiedział moię awanturę, w wielkim zoſtawać począł żadumieniu, y nigdyby mi był nie uwierzył, gdyby mu moia ſzczerość nie była wiadoma. Hiſtorya ta moia y inne ktorem opowiedział, tak mu ſię zdały bydź ćiekawe, że rozkazał natychmiaſt Sekretarzom ſwoim, złotemi ie wypiſać charakterami, ażeby mogły bydź w Archiwum Jego zachowane dla potomnośći. Odſzedłem od Niego zwielkim honorem, y z ſzacownemi prezentami; potym ćieſzyć począłem ſię w Domu z familią, moią krewnemi, y przyiaćiołmi.

Na tym *Syndbad* zakończył relacyą o ſiodmey y oſtatniey ſwoiey podroży, y obroćiwſzy ſię potym do *Hindbada*; ſłyſzałżeś kiedy, Przyiaćielu, rzecze: ażeby kto tyle, ile ia ućierpiał, albo

ieżeli

ieżeli ktory człowiek nademnie znaydował się w większych niebespieczeństwach? Nie iest że rzecz sprawiedliwa, ażebym po tylu pracach miłego y spokoynego zażywał życia? Gdy to mowił, *Hindbad* zbliżywszy się ku niemu, y pocałowawszy go w rękę, rzekł: przyznaię Panie, żeś w wielkich zostawał niebespieczeństwach. Prace moie nie mogą iść w porownanie z twoiemi. Jeżeli mię z iedney strony, cokolwiek trapią, cieszą mię z drugiey strony, iakimkolwiek profitem, ktory mi przynoszą. Nie tylko zasłużyłeś sobie na spokoyne życie, ale też arcy godzien iesteś wszystkich tych bogactw, ktore dziedziczysz, ponieważ ich tak dobrze zażywasz, y iesteś tak wspaniałym. O gdyby ci BOG pozwolił żyć w radości, y ukontentowaniu, aż do ostatniego momentu życia.

Syndbad rozkazał mu dać ieszcze sto cekinow, y przyiął go w liczbę swoich przyiacioł, y zakazał mu bawić się professyą Drążnika; tudzież prosił go ażeby zawsze przychodził do iego stołu, y niewypuszczał go nigdy z pamięci.

Szecherazada widząc, że ieszcze nie był dzień zaczęła nową Historyą.

TRZY JABŁKA

Nayiaśnieyszy Panie, rzekła, miałam iuż honor opowiadać Waszey Cesarskiey Mości o iednym nocnym wyiściu z Pałacu *Kalify Haruun Alra-*

Alraſzyda, dnia dziſieyſzego zechcę Waſzey Ceſarſkiey Mośći opiſać, Jego drugie nocne wyiśćie. Monarcha ten, rozkazał Wielkiemu Wezyrowi *Giafarowi*, ażeby ſię znaydował na noc naſtępuiącą w Pałacu. Wezyrze, rzekł do niego, pragnę obeyść Miaſto, y informować ſię o czym ludzie moi mowią, ieżeli ſą kontenći z moich Urzędnikow. Jeżeli znaleźliby ſię ktorzy nieſprawiedliwi, złożemy ich z Urzędu, a innych poſtanowiemy, ktorzyby pilniey ſwoie wypełniali powinnośći. Jeżeliby zaś znaydowali ſię tacy ktorzy, z ktorychby poddani moi byli kontenći, będziemy na nich mieli te względy, na ktore ſobie zaſługuią. Wielki Wezyr przyſzedłſzy do Pałacu, na naznaczoną godzinę, *Kalifa* z nim y z *Mezruerem* przełożonym nad Rzezańcami przebrawſzy ſię, ażeby nie byli poznani, wyſzedł z Pałacu.

Przeſzli przez wiele ulic, y przez wiele placow, gdy weſzli w iednę ćiaſną uliczkę, zobaczyli po świetle Mieſiąca, ſtaruszka z ſiwą brodą, dobrego wzroſtu, nioſącego na głowie ſieć; miał na ramieniu kosz pełny palmowych liśćiow, y laſkę w ręce. Staruſzek ten, rzekł *Kalifa*, nie zdaie mi ſię bydź bogaty. Zbliżmy ſię ku niemu, y ſpytaymy ſię, ktoby był. Staruſzku, rzekł do niego Wezyr, kto ty ieſteś? Panie, odpowiedział ſtarzec, ieſtem Rybak, lecz nayubożſzy, y naynędznieyſzy ze wſzyſtkich Rybakow. Wyſzedłem odemnie zaraz po południu na ryby, y

od

od tego czaſu, aż do tey godziny, żadney nie ułowiłem rybki. A przećie mam Zonę y małe dzieći, ktorych niemam czym wyżywić.

Kalifa wzruſzony miłoſierdziem rzecze do Rybaka; chceszże powroćić ſię do rzeki, y zarzućić ieszczę raz twoie ſieći? Damy ći ſto cekinow za to, cokolwiek wyćiągniesz. Rybak na tę propozycyą, zapomniawſzy o ćiężkiey ſwoiey całego dnia fatydze, uchwyćił *Kalifę* za ſłowko, y ſzedł natychmiaſt z nim y z *Giafarem* y *Mezruerem* ku rzece *Tygrowi*, mowiąc ſam w ſobie: Panowie ći zdaią mi ſię wſpaniali, y grzeczni; a zatym niezechcą nadaremnie moiey fatygi, y chociażby mi tylko ſetną dali cząſtkę tego co mi obiecuią, wieleby to dla mnie ieszcze było.

Przyſzli na brzeg *Tygra*, Rybak zarzućił ſieći, potym wyćiągnąwſzy ie, znalazł w nich ſkrzynią dobrze zamkniętą, y arcy ćiężką. *Kalifa* rozkazał Wielkiemu Wezyrowi wyliczyć mu ſto cekinow, y kazał mu iść do Domu. *Mezruer* wziął ſkrzynię na ramiona, y nioſł ią do Pałacu z rozkazu *Kalify*, ktory wielką pałał chęćią dowiedzenia ſię, coby w niey było. Jak tylko otworzono ſkrzynkę, naleziono w niey wielki kosz napełniony palmowemi liśćiami, zamknięty dobrze, y zawiązany czerwonym wełnianym ſznurkiem. Dla zadoſyć uczynienia ćiekawośći *Kalify*, nie bawiono ſię nad rozwiązywaniem tego ſznurka, przerznięto go nożem, y wyćiągniono z koſza pakę obwinioną w ſtary kobierzec, y związaną ſznu-

rem. Gdy sznur przerznięto, y pakę rozwiniono, widzieć się dało nie bez wzdrygania się zapatruiących, młodey Damy ciało, białe iak śnieg porznięte na sztuki.

Szecherazada na tym mieyscu postrzegłszy dzień, przestała mowić. Nazaiutrz zabrała głos w ten sposob.

XCI. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie, miarkować Wasza Cesarska Mość możesz, że nie potrafię wyrazić słowy podziwienia, w ktorym dla zapatrywania się na tak straszne widowisko zostawał *Kalifa*. Lecz z podziwienia wpadł w krotce w cholerę, y poyźrzawszy na Wezyra niemiłosiernym okiem, ah! nędzny człowiecze, rzekł do niego, y takież to na sprawy ludu mego masz oko? za twego Ministrostwa tak bezkarnie w Stołecznym moim Mieście popełniaią się zaboystwa, y rzucaią poddanych moich do *Tygru*, ażeby mi potym w dzień sądu nieznośne czynili zarzuty? Jeżeli się nie zemścisz za śmierć tey kobiety, przez stracenie zaboycy, poprzysięgam przez czcigodne BOGA moiego Imie, że cię rozkażę z czterdziestą twoiemi krewnemi powiesić. Rządco *Wiernych*, rzecze Wielki Wezyr, suplikuię Waszey Cesarskiey Mości, o pozwolenie mi cokolwiek czasu do wyszukania zaboycy. Trzy dni ci tylko pozwalam, odpowie *Kalifa*. Myślże o tym dobrze.

Wiel-

Wielki Wezyr niezmiernie zafraſowany.poſzedł do ſwoiego Domu. Ah! nieſtetysz: iakimże ſpoſobem w tak obſzernym y ludnym Mieście iakie ieſt *Bagdad*, będę mogł wynaleść zaboycę, ktory podobno potaiemnie te uczynił zaboyſtwo, y wyſzedł z Miaſta? kto inny podobno będąc na moim mieyſcu, kazałby wziąć ktorego Niewolnika zwięźienia, y zabić go dla ukontentowania *Kalify;* lecz ia niechcę kazić cherchelem moiego ſumnienia, y wolę umrzeć, aniżeli tak niegodziwym fortelem ocalić moie życie.

Rozkazał Urzędnikom przeſtrzegaiącym porządku, y ſprawiedliwośći, ktorzy mu byli arcy poſłuszni, ſzukać pilnie winowaycy. Rozeſłali na tychmiaſt ludzi po wſiach y po polach, y ſami poiechali ſzacuiąc ſobie bardziey życie Wielkiego Wezyra, aniżeli ſwoie właſne. Lecz wſzyſtkie ich ſtarania były nie pożyteczne, iakożkolwiek pilnie ſzukali niemogli wynaleść autora zaboyſtwa, y Wezyr oſądził, że bez oſobliwſzego cudu Boſkiego, potrzeba mu było pożegnać ſię z światem.

Jakoż iak tylko dzień trzeći przyſzedł, odzwierny pokazał ſię w progach nieſzczęśliwego tego Miniſtra, y rozkazał mu iść za ſobą. Poſzedł za nim natychmiaſt Wezyr, y gdy go *Kalifa* ſpytał, ieżeliby wynalazł zaboycę: Rządco *Wiernych*, odpowiedział mu łzy wylewaiąc, nikogom nie znalazł, ktoryby mi naymnieyſzą o nim mogł dać wiadomość. *Kalifa* rozgniewa-

ny, uczyniwſzy doſyć zaiadłośći ſwoiey, przez wyrzucanie mu na oczy w Urzędzie iego niedbalſtwa, rozkazał go z czterdzieſtą *Barmecydami* * iego krewnemi powieſić przed Bramą Pałacu.

Gdy ſtawiano ſzubienicę, y brano *Barmecydow* z ich Pałacow, Woźny publiczny z rozkazu *Kalify* obwoływał po wſzyſtkich rogach Miaſta. *Kto chce widzieć wiſzącego Wielkiego Wezyra Giafara, y czterdzieſtu Barmecydow iego krewnych, niech przychodzi na plac ktory ieſt przed Pałacem.*

Gdy wſzyſtko iuż było gotowe, Sędzia kryminalny, y wielka liczba Dworſkich Zołnierzy, przyprowadzili Wielkiego Wezyra, y czterdzieſtu *Barmecydow*; poſtawili każdego pod ſzubienicą na ktorey z nich każdy miał wiſieć, y założono im na ſzyie ſtryczki, lud ktory cały ten plac napełnił, nie mogł zapatrywać ſię na te tak okropne widowiſko bez żalu, y wylewania łez, Wielki albowiem Wezyr z *Barmecydami* ſwoiemi krewnemi, na wielką ſobie przez cnoty wyſokie, zaſłużył miłość y reſpekt. Wſpaniałość tey Familii, y nieſzukanie właſnego intereſſu, nie tylko w *Bagdadzie*, ale też w całym Państwie *Kalify* ſłynęło.

Nie było to iednak pobudką *Kalifie* okrutnemu

tnemu

* Barmecydowie była to familia Perſka z ktorey pochodził Wezyr Giafar; możeſz zobaczyć Bibliotekę oryentalną P. Herbelot pod ſłowem Barmekian.

tnemu, ażeby ſwoy odwołał dekret, iuż miano odbierać życie nayzacnieyſzym w całym Mieśćie Mężom, gdy Młodzieniec urodziwy y bardzo ślicznie przybrany, począł rozpychać gmin, przyſtąpił do Wezyra, y pocałowawſzy go w rękę, rzekł: Naywyżſzy Wezyrze, Głowo wſzyſtkich Dworſkich Emirow, wſpomożyćielu ubogich, nie popełniłeś wyſtępku, za ktory ieſteś na tym mieyſcu, oddal ſię ztąd a pozwol niech ia zginę za zabićie Damy wrzuconey do *Tygru*. Ja ieſtem iey zaboyca, y godzien ieſtem, ażebym był ſkarany.

Lubo ten dyſkurs niezmierną Wezyra napełnił radośćią, wzruſzył ſię iednak litośćią nad Młodzieńcem, ktorego fiziognomia nie tylko nie wyrażała w ſobie nic okrutnego; lecz nad to każdego do ſiebie poćiągała ſerce; gdy chćiał do niego mowić, człowiek ieden wielkiego wzroſtu w podeſzłym iuż będący wieku, przećiſnąwſzy ſię przez tłum ludu, y przyſtąpiwſzy do Wezyra, rzekł: Panie niewierz temu co ći ten Młodzieniec powiada, ia nie kto inny zabiłem Damę znalezioną wſkrzynce. Ja powinienem za to odebrać karę. Ah! przez Imie Boſkie zaklinam ćię, nie karz niewinnego za winowaycę. Panie, rzecze Młodzieniec do Wezyra, poprzyśięgam ći żem ia ſam ten ſzkaradny popełnił wyſtępek; nikt ſię do niego nie przyczyniał. Synu moy, przerwał mu mowę ſtarzec, rozpacz ćię ſprowadziła na te mieyſce, chceſz ſobie ſkroćić życie, co do mnie, doſyć długo żyłem na świećie, nie potrzeba,

ba, ażebym moie ocalał życie. Pozwolże mi Panie, ażebym za ciebie umarł, przydał obroćiwſzy ſię do Wezyra, powtornie ći powiadam że ieſtem zaboyca, rozkaż mię powieſić, y nie odwłaczay moiey śmierći.

Natręctwo tego ſtarca, y Młodzieńca było przyczyną, że ich Wezyr *Giafar* rozkazał obydwoch zaprowadzić przed *Kalifę*, na co Sędzia kryminalny, kochaiący ſerdecznie Wezyra, chętnie zezwolił. Przyſzedłſzy przed oblicze tego Monarchy, pocałował ſiedm razy źiemię, y w te mowić zaczął słowa: Rządco *Wiernych*, przyprowadzam Waſzey Ceſarſkiey Mośći tego ſtarca, y tego Młodzieńca, z ktorych każdy powiada, że ieſt zaboycą Damy. Tu ſpyta ſię *Kalifa* oſkarzonych, ktory by z nich, tak okrutnie zamordował Damę, y wrzućił do *Tygru*? Młodzieniec twierdzi że on nie kto inny; lecz ſtarzec przećiwną rzecz utrzymywał, rozkaż rzekł *Kalifa* do Wezyra obydwoch powieſić. Lecz, Nayiaśnieyſzy Panie, rzecze Wezyr, ieżeli ieden tylko ieſt winowayca, nieſprawiedliwość by była gubić drugiego. Na te słowa Młodzieniec, przyſięgam na Imie Wielkiego BOGA, ktory ſtworzył wyſokie Nieba, że ia zabiłem Damę, porznąłem ią na ſztuki, y iuż od czterech dni wrzućiłem ią w rzekę *Tygrys*. Niechcę mieć częśći z ſprawiedliwemi w dzień oſtatniego ſądu, ieżeli to co mowię nie ieſt prawda, a więc mnie potrzeba ukarać śmierćią. *Kalifa* zadumiał ſię nad tą iego przy-

ſięgą,

ſięgą, y uwierzył iego słowom, zwłaszcza że ſtarzec więcey nic nie mowił. Przeto obroćiwſzy ſię do tego Młodzieńca, niegodziwy człowiecze, rzekł do niego, z iakieyże przyczyny popełniłeś tak okrutny wyſtępek? y co ćię pobudziło do tego, że ſię ſam ofiaruiesz na śmierć? Rządco *Wiernych*, odpowie Młodzieniec, gdyby opiſano to wſzyſtko, co ſię między mną y tą Damą działo, mowić mogę, że awantury te wſzyſtkie były by pożyteczną dla potomnośći hiſtoryą. Opowiedz nam więc twoię hiſtoryą, rzecze *Kalifa*: ta ieſt moia wola. Młodzieniec był natychmiaſt posłuszny, y tak zaczął relacyą.

Szecherazada chćiała kontynuować ſwoy dyſkurs; lecz dla dnia pokazuiącego ſię muſiała go odłożyć na noc przyſzłą.

Szachryar uprzedził Sułtanowę, ſpytał ſię co Młodzieniec powiedział *Kalifie Harounowi Alraſzydowi*. Nayiaśnieyſzy Panie, odpowiedziała *Szecherazada*, zabrał głos y mowił w te słowa,

XCII. NOC.

HISTORYA O DAMIE ZABITEY Y O MŁODYM JEY MĘZU

Rządco *Wiernych*, wiedzieć masz że Dama ta zabita była moią Zoną, a Corką tego starca ktorego widzisz, ktory iest moim Stryiem. Nie miała nad 12. lat, gdy mi ią dał za Zonę, a 11. iuż minęło od tego czasu, w ktorym pobraliśmy się. Miałem z niey trzech Synow, ktorzy ieszcze żyią; y przez sprawiedliwość przyznać iey muszę, że mi naymnieyszey do gniewu nie dała nigdy przyczyny; była mądra, obyczayna, y usiłuiąca podobać mi się. Zmoiey strony, kochałem ią serdecznie, y nie tylkom się iey nie sprzećiwiał pragnieniom; alem też ie umiał częstokroć poprzedzić.

Około dwoch będzie Miesięcy, iak mi zachorowała. Wszelkie o niey miałem staranie y niczegom nie opuścił, cobym mogł uczynić dla przywrocenia iey zdrowia. Przy końcu Miesiąca, poczęła do siebie przychodzić, zachćiało się iey

iść

iść do łaźni. Nim wyſzła z Domu, rzekła do mnie, Braćiſzku moy, tak mię albowiem nazywała przez poufałość, wielkie mam pragnienie do iabłek, niezmiernie byś mię ukontentował, gdybyś ſię mi o nie poſtarał. Od dawnego iuż czaſu te we mnie trwa pragnienie, y przyznam ći ſię, że tak ieſt extra ordynaryine, że ieżeli go nie ugaſzę, boię ſię, ażeby mi ſię ztąd co nie przytrafiło. Bardzo dobrze, odpowiedziałem, będę ſię wſzelkiemi ſtarał ſpoſobami, ażebym ćię ukontentował.

Chodziłem natychmiaſt po wſzyſtkich rynkach, y ſklepach; lecz nie znalazłem żadnego, choćiaż za iedno obiecywałem dać czerwony złoty. Powroćiłem ſię do Domu nie ukontentowany będąc żem ſię nadaremnie fatygował. Zona zaś moia powroćiwſzy ſię z łaźni, a nie zobaczywſzy iabłek, tak ſobą nudziła, że przez noc całą ſpać nie mogła Wſtałem bardzo rano, y poſzedłem po wſzyſtkich ogrodach; lecz nie więcey wſkorałem, iako dnia wczorayſzego. Potkałem ſię tylko z iednym ſtarym Ogrodnikiem, ktory mi powiedział, że iakożkolwiek bym ſię fatygował nie miałem ich nigdzie znaleść, procz w ogrodzie Waſzey Ceſarſkiey Mośći w *Balzorze*.

Ponieważ kochałem paſſyami moię Zonę, niechćiałem nic popełniać, coby iey mogło bydź przyczyną, do wyrzucenia mi na oczy, żem zaniedbał dogodzić iey pragnieniu, wziąłem na ſiebie ſuknie podrożne y opowiedziawſzy iey moię intencyą poſzedłem, do *Balzory*. Tak pilnie od-

pra-

prawiłem moię podroż, żem przy zchyłku dwoch Niedziel powrocił się do Domu. Przyniosłem troie iabłek z ktorych każde kosztowało mnie ieden cekin. Nie było ich więcey w ogrodzie, y Ogrodnik nie chciał mi ich taniey spuścić. Powrociwszy dałem ie moiey Zonie; lecz ią iuż wtenczas ominęło to pragnienie. Kontentowała się iednak odebrać ie odemnie. Tym czasem ustawicznie chorowała, y niewiedziałem co iey iuż miałem radzić.

Wkilka dni po moiey podroży będąc w moim sklepie, na publicznym rynku, na ktorym przedaią się rożne rodzaie materyi, zobaczyłem w chodzącego wielkiego wzrostu Niewolnika Murzyna, maiącego w ręku iabłko, ktore poznałem że było iedne z przyniesionych odemnie z *Balzory*. Nie mogłem o tym wątpić; ponieważ wiedziałem dobrze, że żadnego nie było w całym *Bagdadzie*, y w żadnym w okolicy ogrodzie. Zawołałem na Niewolnika. Dobry człowiecze, rzekłem: powiedz mi proszę zkąd dostałeś tego iabłka; Prezent to iest, odpowiedział mi, uśmiechaiąc się, ktory mi dała moia kochanka. Byłem dnia dzisieyszego u niey y zastałem ią trochę chorą. Zobaczyłem trzy iabłek, około niey y spytałem się zkąd by ich dostała: odpowiedziała mi, że iey Mąż ie przyniosł, po dwochniedzielney podroży, ktorą odprawił szukaiąc ich. Pogadaliśmy z sobą razem, a odchodząc od niey wziąłem te iedne sobie iabłko, ktore widzisz.

Na

Na dyſkurs ten odſzedłem od zmyſłow, porwałem ſię z tego na ktorym ſiedziałem mieyſca, y zamknąwſzy ſklep, poſzedłem czym prędzey do pokoiu moiey Zony. Począłem natychmiaſt patrzyć iabłek, a dwa ich tylko zobaczywſzy ſpytałem ſię, gdzieby było trzećie. Na ow czas Zona moia obroćiwſzy głowę ku iabłkom, y dwa ich tylko zobaczywſzy, odpowiedziała mi oźięble, moy Braćiszku, niewiem gdzie ſię iedno podziało. Tę iey odebrawſzy odpowiedź łatwom uwierzył temu, co mi powiedział Niewolnik: y natychmiaſt wpadłſzy w ſzalony gniew porwałem za noż będący u paſa y zatopiłem go w garle nędzney, nieſzczęśliwey moiey Zony. Oderznąłem iey potym głowę, y porznąłem ćiało iey na ſztuki; uwinąłem go potym w pakę, y włożyłem w kosz, ktory zaſznurowawſzy czerwonym wełnianym ſznurkiem, zamknąłem w ſkrzynkę; tę wziąwſzy na ramiona, zanioſłem do rzeki *Tygrys* y wrzućiłem ią w wodę.

Dway mali Synowie moi, położyli ſię iuż byli, y ſpali dobrze, a trzećiego nie było w Domu: powracaiąc ſię zobaczyłem go ſiedzącego w Bramie Domoſtwa, rzewne łzy wylewaiącego. Spytałem ſię go o przyczynę płaczu. Tatuniu, rzekł do mnie, wziąłem dnia dziſieyſzego rano Matuni iabłko iedne z tych trzech ktoreś iey przynioſł. Chowałem go długo; lecz gdym ſię nim bawił na ulicy z moiemi maleńkiemi Braćiszkami, wielki iakiś Niewolnik przechodzący wydarł mi go

zrąk; biegłem za nim daleko, prośząc ażeby mi go oddał, lecz nadaremnie; powiedziałem mu że te iabłko było moiey Matki chorey, żeś dwoch niedzielną odprawił podroż ſzukaiąc go, wſzyſtkie te ſłowa moie były niepożyteczne. Niechćiał mi go oddać, a gdym gonił za nim krzycząc; wroćił ſię do mnie y obił mię, a potym począł ućiekać ze wſzyſtkich ſił z ulicy do ulicy, tak dalece, żem go z oczow zgubił. Od tego czaſu bawiłem ſię za Miaſtem, y czekałem na ćiebie Tatuniu, chcąc ćię proſić, ażebyś przeproſił Matunię, boiąc ſię, ażeby bardziey ieszcze nie zachorowała. Te wymowiwſzy ſłowa obfitſze ieszcze począł wylewać łzy.

Mowa moiego Syna w śmiertelny mię rzućiła ſmutek. Poznałem na ow czas ſzkaradność moiego wyſtępku, y żałowałem ćiężko, lecz po niewczaſie, żem łatwo uwierzył impoſturom przeklętego niewolnika, ktory z tego co uſłyſzał od moiego Syna, z kleiił baieczkę, ktorą ia nieſzczęśliwy wziąłem za rzecz prawdziwą. W tym Stryi moy ktory tu ieſt przytomny, nadſzedł, chcąc nawiedzić ſwoię Corkę; lecz zamiaſt zobaczenia iey żywey, dowiedział ſię odemnież ſamego że iuż w podźiemnym była grobowcu; nie ukrywałem albowiem przed nim niczego, y nieczekaiąc iego dekretu, oſądziłem ſię ſam za naywiękſzego ze wſzyſtkich ludzi złoczyńcę. Z tym wſzyſtkim, zamiaſt przydania mi żalu przez ſprawiedliwe ſwoie uſkarzania ſię, y wyrzuty, złączył łzy ſwoie z

ie z moiemi, y obydwa razem przez całe trzy dni płakaliśmy bez przyięcia żadney poćiechy; on opłakiwał śmierć Corki, ktorą ſerdecznie zawſze kochał, a ia ſtratę nayukochańſzey moiey Zony, ktorey ſamo chcąc pozbawiłem ſię, ſpoſobem tak arcy okrutnym, dla łatwo daney wiary kłamliwemu Niewolnikowi.

Masz Rządco *Wiernych* ſzczere y rzetelne wyznanie, ktoregoś odemnie żądał. Wiesz teraz wſzyſtkie okoliczności moiey zbrodni, proſzę Cię pokornie Miłościwy Panie, ażebyś wydał na mnie dekret, choćiażby był nayſurowſzy y nayokrutnieyſzy, nie będę ſię na przykrość iego uſkarzał; y owſzem poczytam go za nader łagodny. *Kalifa* w wielkim zoſtawać począł zadumieniu.

Szecherazada te zakończywſzy słowa, poſtrzegła dzień, y przeſtała mowić. Lecz w naſtępuiącey nocy wróciła ſię ieszcze do ſwoiego dyſkurſu.

XCIII. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, rzekła, dyſkurs Młodzieńca, *Kalifę* w wielkie w prowadził podziwienie. Monarcha ten iednak ſprawiedliwy, oſądziwſzy że bardziey był ten człowiek nieſzczęśliwy godzien politowania, aniżeli wyſtępny, y godzien kary, ulitował ſię nad nim, uczynek ten młodemu temu człowiekowi y BOG łatwo przepuści, y ludzie

dzie nie ćiężko darować powinni. Przeklęty Niewolnik ieſt tylko przyczyną tego zaboyſtwa; iego więc potrzeba koniecznie ukarać śmierćią. Przeto obroćiwſzy ſię do Wezyra rzekł: trzy dni ći pozwalam na wynalezienie go. Jeżeli mi go w tym terminie nie przyſtawisz, na iego mieyſcu będziesz ſkarany.

Nieſzczęśliwy *Giafar*, ktory rozumiał że iuż wybrnął z niebeſpieczeńſtwa, nowym rozkazem *Kalify* był przerażony; lecz ponieważ nieśmiał nic odpowiedzieć temu Monarſze, ktorego dobrze znał humor, zſzedł mu z oczow, y poſzedł do ſiebie zalawſzy ſię łzami, przekonanym będąc, że trzy dni tylko miał żyć na świećie. Tak albowiem był wyperſwadowany, że nie miał znaleść rzeczonego Niewolnika, że nawet go y ſzukać niechćiał; nie ieſt rzecz podobna, mowił ſam w ſobie, ażeby w tak wielkim Mieśćie, iakie ieſt *Bagdad*, w ktorym znayduie ſię niezmierna liczba Niewolnikow Murzynow, można poznać tego, ktory ieſt winny: ieżeli mi BOG nie wyda go tak iako mi wydał zaboycę, nic mię uwolnić nie potrafi od śmierći.

Przepędził całe dwa dni trapiąc ſię z całą ſwoią Familią, ktora rzewliwie płakała, ſtoiąc około niego, uſkarzaiąc ſię y placząc na ſurowy *Kalify* dekret. Gdy trzeći dzień zbliżył ſię, dyſponował ſię na śmierć z niewypowiedzianą ſtałośćią umyſłu, iako ſprawiedliwy y nie czuiący ſię do niczego Miniſter. Przywołał do ſiebie Kady-

ſow,

ſow, y świadkow, ktorzy wſzyſcy podpiſali napiſany w obecnośći ich teſtament. Potym pożegnał ſię z ſwoią Zoną, y dzieciom ſwoim oſtatnią oddał walctę. Cała Familia żałoſne wydawała ięki, tak dalece, że mowić można, iż widowiſko to z naydzikſzego ſerca łzy wyćiſnąć potrafić by mogło. Na oſtatek przyſzedł Dworſki Zołnierz, opowiadaiąc mu że *Kalifa* był wzłym humorze, iż żadnych ani o nim, ani o Niewolniku Murzynie, ktorego mu ſzukać kazał, nie miał wiadomośći. Strapiony Wezyr, zabierał ſię iuż iść z Zołnierzem przed Tron ſwoiego Monarchy; lecz gdy wychodził, przyprowadzono mu maleńką Coreczkę, nie maiącą więcey nad pięć lat. Niewiaſty maiące o niey ſtaranie, przyprowadziły ią do Oyca, ażeby ſię z nią raz oſtatni naćieſzył

Ze kochał ſerdecznie owe dziecko, proſił Zołnierza, ażeby ſię choć moment ieden mogł ieszcze zatrzymać. Na ow czas zbliżył ſię do ſwoiey Coreczki, wźiął ią na ręce, y kilka razy pocałował. Całuiąc ią, poſtrzegł że miała za pazuchą rzecz iakąś grubą, y wydaiącą z ſiebie zapach. Moie dziećie, rzekł do niey, coż to masz za pazuchą? ukochany Oycze, odpowiedziała, iabłko, na ktorym wypiſane ieſt imie *Kalify*, naſzego Monarchy; Ryhan * nasz Niewolnik przedał mi go za dwa cekiny.

* Słowo to w Arabſkim ięzyku znaczy bazylikę ziołko pachnące; Arabi daią te imie Niewolnikom, iako Francuźi lokaiom ordynaryinie daią imie Jaśminu.

Na ſłowo te Niewolnik, Wielki Wezyr *Giafar* zawołał, wyrażaiąc wielkie ſwoie podziwienie y radość, o BOZE! iak ieſteś broniący niewinnych! y natychmiaſt włożył rękę za pazuchę dziecka, y wziął iabłko. Rozkazał przywołać Niewolnika nie daleko będącego; iak tylko go uyźrzał, hultaiu, rzekł do niego, zkąd żeś wziął tego iabłka? Panie, odpowie Niewolnik, gotow ieſtem przyſiądz, żem go nie ukradł ani u ćiebie, ani w ogrodzie Rządcy *Wiernych*. Dnia iednego przechodząc na iedney ulicy około troyga, lub czworga, zabawiaiących ſię dzieći, iednemu z nich, ktore go trzymało w ręku, wyrwałem go, y zchowałem. Dziecko biegło za mną, wołaiąc, że iabłko to nie było iego, ale iego Matki, ktora była chora; że Oyćiec iego dla zadoſyć uczynienia pragnieniu, ktore miała Matka do iabłek, daleko ieździł, y trzy tylko przywiozł: y że to iabłko było iedne z tych trzech, wzięte od niego tak że Matka nie widziała. Nadaremnie mnie proſił, ażebym mu go oddał, przynioſłem go do Domu, y przedałem za dwa cekiny maleńkiey Damie twoiey Corce. Wſzyſtkom ći Panie powiedział, com uczynił.

Giafar, nie mogł ſię wydziwić, że żarćik Niewolnika, był przyczyną śmierći niewinney Zony. Wziął z ſobą Niewolnika, y ſtanąwſzy przed *Kaliſą*, rzecz całą temu Monarſze doſkonale opowiedział; co mu powiedział Niewolnik, y iakim trefunkiem dowiedział ſię że on był winowaycą.

Ni-

Nigdy w więkſzym iak na ow czas nie był *Kalifa* podziwieniu. Nie mogł ſię z początku wſtrzymać od śmiechu. Na oſtatek, pokazał twarz ſurową, rzekł do Wezyra: że ponieważ Niewolnik iego był przyczyną tak wielkiey zbrodni, godzien był, ażeby go, przykładnie ſkarano. Nie mogę temu przeczyć, Nayiaśnieyſzy Panie, odpowiedział Wezyr, lecz wyſtępek iego ieſt iednak taki, że go można darować. Umiem przedziwną iednę Hiſtoryą o Wezyrze Kairſkim nazwanym *Nureddyn Ali*, y o *Bedreddynie Haſſan*. Ponieważ Waſza Ceſarſka Mość, rad ſłuchasz podobnych hiſtoryek, będę miał honor powiedzieć ią Waſzey Ceſarſkiey Mośći, tę ſobie wypraſzaiąc kondycyą, ażebyś Panie Miłościwy, ieżeli uznasz ſam, że ieſt dziwnieyſza nad tę ktora mi daie okazyą do mowienia, darował niewolnikowi moiemu winę: pozwalam na to odpowiedział *Kalifa*, lecz na wielką ſię rzecz kaſzesz, nie rozumiem, ażebyś mogł ocalić twoiego Niewolnika, Hiſtorya albowiem o trzech iabłkach ieſt arcy dziwna, y ćiekawa. *Giafar* zabrawſzy głos w te ſłowa zaczął relacyą.

HISTORYA
O
NUREDDYNIE ALI
Y
BEDREDDYNIE HASSAN,

Rządco *Wiernych*, Egipt miał niegdyś Sułtana bardzo kochaiącego się w sprawiedliwości, dobrze czyniącego poddanym swoim, miłosiernego, wspaniałego a dla męstwa y odwagi extra ordynaryiney wszystkim Sąsiadom strasznego. Kochał ubogich, y wielką uczonym ludziom dawał protekcyą, do naywyższych ich przypuszczaiąc Urzędow. Sułtana tego Wezyr był Mąż rostropny, mądry, przenikaiący, y we wszystkich wyzwolonych sztukach y umieiętnościach wysoce wyćwiczony. Minister ten, miał dwoch bardzo pięknych synow, obydwoch wstępuiących w iego ślady, starszy nazywał się *Szemzedyn Mohammed*, a młodszy *Nureddyn Ali*. Młodszy osobliwie wszystkie miał potrzebne talenta. Gdy Wezyr ich Oyciec umarł, Sułtan rozkazał ich do siebie przywołać, y rozkazawszy ich przybrać w Wezyrskie szaty, wyżałować nie mogę dosyć, rzekł do nich, tey ktorąście ponieśli straty. Nie mniey mnie ona, iak was obchodzi. Zechcę wam to pokazać przez moie sprawy; a że wiem dobrze, że razem z sobą mieszkacie y wdoskonałey żyie-

ćie

ćie zgodzie, obydwoch was iednąż przyodziewam godnośćią. Nużeż! naśladuyćie waſzego Oyca.

Dway nowi Wezyrowie, podziękowali za tę Sułtanowi łaſkę, y odeſzli do ſwoiego Domu dla ſprawienia ſwoiemu Oycu pogrzebu. Przy końcu Mieſiąca, zaczęli ſwoy Urząd, pierwſzy raz poſzli na mieyſce rady Sułtana; y od tego dnia znaydowali ſię na niey regularnie; kiedykolwiek ſkładaiący ią zgromadzili ſię. Gdy Sułtan wyieżdzał na łowy, bierał z ſobą zawſze iednego z tych dwoch Braći, ktorym na przemianę ten czynił honor. Starſzy dniem przedtym nim miał iechać z Sułtanem na łowy, rozmawiaiąc o rożnych rzeczach z Bratem ſwoim młodſzym, rzekł: Braćiſzku ponieważ ieſteśmy ieszcze Kawalerami, a żyiemy z ſobą tak w wielkiey zgodzie y po Braterſku, przychodzi mi ztąd myśl iedna. Ożeńmy ſię obydwa w iednym dniu, wybrawſzy ſobie z iedney ktorey Familii z ktoreyby ſię nam podobało dwie Sioſtry. Coż ſądzisz o tey moiey myśli? Sądzę Braćiszku moy, odpowiedział *Nureddyn Ali*, że ieſt rzetelnym ſkutkiem tey, ktora nas ściśle łączy przyiaźni. Przyiaźń taka iaka ieſt naſza, nie może nikomu inſzey podać do ſerca myśli, bądź wyperſwadowany o mnie, że ſię doſkonale zgadzam z twoią wolą. Niedoſyć ieſt ieszcze natym, rzecze *Szemzeddyn Mohammed*, imaginacya moia daley mię ieszcze prowadzi; ieżeliby naprzykład Zony naſze poczęły pierwſzey weſela nocy, y iednegoż potym dnia zległy, twoia

wydaiąc na świat Syna, a moia Corkę dzieći te iak tylko przyidą do lat, oboie złączymy. Ah! y na to, zawołał *Nureddyn Ali*, chętnie zezwalam, wyznać muſzę że proiekt ten twoy ieſt arcy rozumny. Maryaż ten ukoronuie naſzą przyiaźń. Lecz, Braćiſzku moy, przydał, daymy to, żebyśmy te dzieći naſze złączyli, pretendowałże byś, ażeby moy Syn zapiſał co twoiey Corce? Spodziewam ſię tego nieomylnie, odpowiedział ſtarſzy, y wyperſwadowany ieſtem, że procz ordynaryiney intercyzy weſelney, łatwo byś iey zechćiał ieszcze zapiſać przynaymniey 3000. cekinow, troie wioſek, y trzech Niewolnikow. To ieſt, na co ia ſię nie zgadzam, odpowiedział młodſzy, nie ieſtżeśmy Braćia, y kolledzy, y iednąż zaſzczycaiący ſię godnośćią? Oprocz tego ponieważ Mężczyzna zawſze ieſt godnieyſzy nad białogłowę nie do ćiebież to raczey należy ażebyś dał Corce twoiey poſag. Widzę dobrze, że ſobie tylko ſamemu ſprzyiasz, y z cudzym uſzczerbkiem chcesz pomnożyć ſwoię ſubſtancyę.

Lubo *Nureddyn Ali* uśmiechaiąc ſię te wymowił ſłowa, Brat iednak iego, nie będąc dobrego charakteru, rozgniewał ſię mocno. Biada twoiemu Synowi! odpowiedział z gniewem, ponieważ śmiesz go przekładać nad moię Corkę. Dziwuię ſię nawet nad twoią odwagą, żeś go oſądził za godnego moiey Corki. Utraćiłeś podobno rozum, że ſię mi czynisz rownym; mowiąc żeś moim kollegą: wiedzże o tym lekkomyślny

czło-

człowiecze, że dla tego twoiego niewſtydu, nie dałbym za twoiego Syna Corki moiey; choćiażbyś iey wſzyſtkie twoie darował bogactwa. Smieſzna ta dwoch Braći kłutnia o Maryaż dzieći, ktorych ieszcze nie mieli, mocno ſię roſtarła. *Szemzeddyn Mohammed* tak ſię rozgniewał, że grozić począł Bratu: gdybym, rzekł: dnia iutrzeyſzego nieiechał z Sułtanem, odebrał byś odemnie ten, na ktoryś ſobie zaſłużył traktament; powroćiwſzy iednak nauczę ćię, że nie powinieneś tak zuchwale mowić z twoim ſtarſzym Bratem. To wymowiwſzy udał ſię do ſwoiego apartamentu, a Brat iego poſzedł ſpać do ſwoich pokoiow. *Szemzeddyn Mohammed* wſtał bardzo rano nazaiutrz, y poſzedł z Sułtanem za Kair ku Piramidom. *Nureddyn* zaś *Ali*, przepędził noc całą w wielkich nieſpokoynośćiach, y pomiarkowawſzy, że nie mogł dłużey zoſtawać z Bratem, tak go pogardzaiącym, uformował oddalenia ſię od Domu proiekt. Rozkazał ſobie przygotować mocnego muła, nabrał doſyć pieniędzy, kleynotow, y żywnośći, y powiedziawſzy ludziom ſwoim, że chćiał ſam dwoch lub trzech dniową odprawić podroż, wyiechał.

Wyiechawſzy za Kair, udał ſię przez puſte mieyſca do *Arabii*. Lecz w krotce, gdy mu muł zdechł w drodze, muſiał iść piechotą. Szczęśćiem Kurier iadący do *Balzory* ſpotkawſzy go, wziął go za ſiebie na konia. Jak tylko Kurier przyiechał do *Balzory*, *Nureddyn Ali* zſiadł z konia,

nia, y podziękował mu za te dobrodzieyſtwo. Chodząc po ulicach dla wynalezienia ſobie goſpody, poſtrzegł iednego Pana idącego z wielką aſſyſtencyą, ktoremu wſzyſcy Miaſta tego mieszkańcy wielki czynili honor, zatrzymuiąc ſię przez reſpekt aż by koło nich przeſzedł. *Nureddyn Ali* zatrzymał ſię tak iako inni. Był to Wielki Wezyr Sułtana *Balzorskiego*, ktory umyślnie przechodził ſię po Mieśćie, ażeby go widząc Obywatele, trwali w poſſuſzeńſtwie y zgodzie.

Miniſter ten rzućiwſzy trefunkiem oczy na tego Młodzieńca, bardzo ſobie ulubił iego fizyognomią: przypatrywał mu ſię z wielkim ukontentowaniem, przechodząc koło niego, a widząc go w podrożney ſukni, zatrzymał ſię y ſpytał, kto by był, y zkądby iechał. Panie odpowiedział *Nureddyn Ali*, ieſtem z Egiptu, urodzony w Kairze; porzućiłem właſną Oyczyznę, maiąc ſprawiedliwy żal ku iednemu z moich krewnych, y umyśliłem woiażować po całym świećie, y umrzeć raczey, aniżeli do niey powroćić. Wielki Wezyr będący iuż w ſędziwym wieku uſłyſzawſzy te iego słowa, rzekł: Synu, broń ćię BOZE, ażebyś te wykonał przedſięwzięćie. Sama tylko na świećie znayduie ſię nędza, y niewiesz ieszcze, iakie ći przyidzie ponoſić przykrośći. Idź za mną, ſprawię to, że zapomnisz o tym, co ćię przymuſiło opuśćić Oyczyznę.

Nureddyn Ali poſzedł za Wielkim Wezyrem *Balzorskim*, ktory poznawſzy ſię wkrotce na iego talen-

talentach, tak go ukochał, że dnia iednego rozmawiaiąc z nim partykularnie, rzekł: *Synu moy!* widzisz że iuż ieſtem w podeſzłym wieku, y że niemasz żadnego podobieńſtwa, ażebym żył długo. Niebioſa iednę tylko dały mi Corkę, ktora nie mniey ieſt od ćiebie piękna, y ktora iuż ieſt na wydaniu. Nayzacnieyſi y naymożnieyſi Dworu naſzego Panowie, proſili mię iuż o nią dla ſwoich Synow, lecz nie mogłem ſię ażebym ią im dał, rezolwować. Co do ćiebie, tak ćię ſerdecznie kocham, y tak ćię mam za godnego moiey Corki, że pominąwſzy wſzyſtkich tych, ktorzy mię o nią proſili, gotow ieſtem przyiąć ćię za moiego Zięćia. Jeżeli przyimiesz z ukontentowaniem ten moy dar, opowiem Sułtanowi moiemu Monarſze, że ćię chcę ſobie przywłaszczyć przez ten Maryaż, y wyproſzę ſobie u niego dożywoćie na godność Wielkiego Wezyra, w Kroleſtwach *Balzory*. A ponieważ ſamego tylko w ſtarośći moiey pragnę ſpoczynku, nie tylko w ręce twoie złożę wſzyſtkie moie dobra, ale też ſprawowanie publicznych Państwa tego intereſſow.

Ledwie co Wielki Wezyr *Balzorski* zakończył pełne dobroczynnośći, y wſpaniałośći ſłowa, *Nureddyn Ali* rzućił ſię do nog iego, y w ſłowach wyrażaiących obfitość radośći, y wdzięcznośći obowiązanego ſerca, oświadczył, że gotow był wſzyſtko uczynić, cokolwiek by mu rozkazał. Wtenczas Wielki Wezyr przywołał przedznieyſzych Dworu ſwego Urzędnikow, rozkazał im

przyozdobić wielką Pałacu ſwego ſalę, y na wſpaniały przygotować ſię bankiet. Záproſił Dworu, iako też y w Mieśćie znayduiących ſię Panow. Gdy ſię iuż wſzyſcy zeſzli, ponieważ *Nureddyn Ali* informował iuż był Wezyra o ſwoim urodzeniu, uſpakaiaiąc niejako tych, ktorym dać nie chćiał ſwoiey Corki, rzekł: Panowie moi, chcę wam opowiedzieć teraz rzecz iednę, ktorą do tychczas trzymałem w ſekrećie. Mam Brata iednego, ktory ieſt Wielkim Wezyrem Sułtana Egipſkiego, iako ia mam honor bydź nim w tym Kroleſtwie. Brat ten moy iednego tylko maiąc Syna, nie chćiał go żenić przy Dworze Egipſkim, ale go przyſłał do mnie, ażebym go ożeniwſzy z moią Corką, złączył razem śćiśle dwie linie. Syn ten ktoregom ia uznał za moiego Synowca, iak tylko do mnie przyiechał, y ktorego teraz czynię moim Zięćiem, ieſt ten młody Kawaler ktorego widzićie, y ktorego ia waſzey rekomenduię przyiaźni. Spodziewam ſię, że zechcećie maiącemu ſię dnia dziſieyſzego obchodzić aktowi iego weſelnemu przytomnośćią waſzą uczynić honor. Zaden z tych Panow niemaiąc mu tego za złe, że Synowca ſwego przenioſł nad wſzyſtkie partye, ktore ſię trafiały dla iego Corki, odpowiedzieli wſzyſcy iednoſtaynym głoſem, że ſłuszną miał przyczynę do ſkleienia tego Maryażu: że chętnie znaydować ſię chćieli na weſelnym akćie, y że życzyli, ażeby mu BOG użyczył lat długich dla oglądania ſzczęśliwego złączenia tego owocu. Na-

Natym mieyſcu *Szecherazada* poſtrzegłſzy dzień przerwała ſwoię narracyą, wroćiła ſię iednak do niey w naſtępuiącey nocy.

XCIV. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, rzekła, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuuiąc Hiſtoryą, ktorą powiadał *Kaliſie*: Panie, (mowił) ktorzy ſię byli zeſzli do Wielkiego Wezyra *Balzorskiego*, ledwie co ſię oświadczyli, że mieli ſię znaydować z ukontentowaniem na weſelu Corki iego z *Nureddynem Ali*, dano znać do ſtołu, u ktorego długo ſiedziano. Na końcu ſtołu dano konfitury, ktorych gdy każdy według zwyczaiu wziął tyle ile mogł, kadys wſzedł z intercyzą weſelną. Przednieyſi Panowie podpiſali ſię na niey, potym cała rozeſzła ſię kompania.

Gdy iuż ſami tylko domowi znaydowali ſię ludzie, Wielki Wezyr rozkazał Urzędnikom maiącym ſtaranie o łaźni, ażeby ią przygotowali y zaprowadzili do niey *Nureddyna Ali*, ktory znalazł w niey bieliznę tak ćienką y piękną, iakiey nigdy ieszcze nie zażywał, y wſzyſtkie potrzebne rzeczy tak bogate y przyſtoyne, że cały był napełniony ukontentowaniem. Gdy go doſkonale omyto zbrudow, chćiał wziąć ſuknią z ktorey ſię był rozebrał, lecz mu natychmiaſt prezentowano inną arcy wſpaniałą. Przybrawſzy ſię więc w inną y napuśćiwſzy wybornemi drogiemi oley-

kami,

kami, poſzedł do Wielkiego Wezyra ſwoiego Teſzcza, ktory poſtrzegłſzy iego piękność, niezmiernie ſię ukontentował, y poſadziwſzy go około ſiebie: Synu moy, rzekł, opowiedziałeś mi, kto ieſteś, y iaką u Egipſkiego Dworu zaſzczycałeś ſię rangą, namieniłeś mi nawet, żeś miał z Bratem ſwoim iakąś kłutnią, y że dla tego iedynie odaliłeś ſię od Oyczyſtego Kraiu; proſzę ćię, ażebyś z wielką poduſałośćią informował mię o przyczynie waſzey zwady. Powinieneś doſkonałą do mnie mieć poduſałość, y nic mi w tey mierze nie ukrywać.

Nureddyn Ali, opowiedział mu wſzyſtkie kłutni ſwoiey z Bratem okoliczności. Wielki Wezyr nie mogł dyſkurſu iego ſłuchać bez śmiechu: rzecz ta, rzekł, ieſt bardzo ćiekawa! czy ieſt że rzecz podobna, Synu moy, ażeby was Maryaż ten chimeryczny do takiey przyprowadził zwady? Zal mi ćię, żeś ſię z Bratem ſtarſzym pokłoćił, dla tak małey bagateli; widzę iednak, że on ieſt winien, iż ſię uraźił oto, coś ty mu tylko żartem powiedział; lecz dziękuię BOGU za tę kłutnią, ktora mię takim iakim ty ieſteś, uſzczęśliwiła Zięćiem. Daleko iuż ieſt w noc, przydał, ſtarzec, czas ieſt, ażebyśmy poſzli ſpać. Idź, Corko moia a twoia Zona czeka na ćiebie. Dnia iutrzeyſzego będę ćię prezentował Sułtanowi, ſpodziewam ſię że ćię tak przyimie iż obydwa ſłuszną będziemy mieli ćieſzenia ſię przyczynę.

Nureddyn Ali wyſzedł od ſwego Teſzcza, y poſzedł

poſzedł do apartamentu ſwoiey Zony. W tym zaś to ieſt nayćiekawſzą rzeczą, mowił Wielki Wezyr *Giafar*, że w tenże ſam dzień, ktorego obchodziło ſię weſele w *Balzorze*, *Szemzeddyn Mohammed* żenił ſię w Kairze, weſele zaś iego tak ſię miało.

Gdy *Nureddyn Ali* wyiechał z Kairu, z intencyą nigdy niepowrocenia ſię, *Szemzeddyn Mohammed* ſtarſzy Brat iego, ktory był z Sułtanem Egipſkim na łowach, powroćiwſzy ſię w Mieſiąc, Sułtan albowiem uwiedziony paſſyą ku polowaniu, przez cały ten czas bawił ſię, pobiegł czym prędzey do apartamentu *Nureddyna Ali*; lecz zadziwił ſię, gdy ſię dowiedział, że pod pretextem dwoch lub trzech dniowey podroży, wyiechał z Domu na mule, zaraz po iego wyiezdzie na łowy, y że go od tego czaſu nie widziano. Bardzo go to obeſzło, zwłaszcza, że nie powątpiwał, iż nie dyſkretne iego słowa były przyczyną iego oddalenia ſię. Wyſłał czymprędzey Kuryera, ktory poiechał przez Damaſk aż do Alepu; lecz *Nureddyn* był iuż na ow czas w *Balzorze*. Gdy Kuryer powroćiwſzy ſię opowiedział, że żadney o nim nie powziął wiadomośći, *Szemzeddyn Mohammed* poſłał ſzukać go ieszcze w innych mieyſcach, a tym czaſem poſtanowił ożenić ſię. Wziął Corkę iednego z naypierwſzych y znaymożnieyſzych Panow Kairſkich, tegoż ſamego dnia, ktorego Brat iego ożenił ſię z Corką Wielkiego Wezyra *Balzorskiego*.

Nie doſyć ieszcze na tym, mowił *Giafar* Rządca *Wiernych*, tak ſię rzecz nadała, że przy końcu dziewięćiu Mieſięcy, Zona *Szemzeddyna Mohammeda* urodziła w Kairze Corkę, a Zona *Nureddyna* w *Balzorze* wydała na świat Syna, ktorego nazwano *Bedreddynę Haſſan*. Wielki Wezyr *Balzorski* okazał ztąd radość ſwoię przez wielkie podarunki, y bale publiczne, ktore w dzień urodzenia ſwoiego Wnuczka dawał całemu Miaſtu. Potym chcąc oświadczyć Zięćiowi ſwemu, że arcy z niego był kontent, poſzedł do Pałacu, y upraſzał Sułtana, ażeby *Nureddynowi Ali* konferował Wezyrſką Jego godność. Zyczę ſobie, mowił, Nayiaśnieyſzy Panie, mieć ieszcze przed śmierćią to ukontentowanie, ażebym oglądał na moim mieyſcu Zięćia mego Wielkim Wezyrem. Sułtan ktory zukontentowaniem ſwoim iuż był widział *Nureddyna Ali*, gdy mu go po weſelu prezentowano, y o ktorym od tego czaſu zawſze z wielką pochwałą ſłyſzał, chętnie uczynił tę łaſkę, o ktorą dla niego proſzono, z niezmiernym nawet ſwoim ukontentowaniem. Rozkazał go natychmiaſt w ſwoiey obecnośći przyodziać w Wielkiego Wezyra ſzatę.

Radość Teszcza pomnożyła ſię nazaiutrz, gdy zobaczył ſwoiego Zięćia na ſwoim mieyſcu prezyduiącego na Radzie, y ſprawuiącego wſzyſtkie funkcye Wielkiego Wezyra. *Nureddyn Ali*, tak chwalebnie wypełniał ſwoy Urząd, że ſię zdawało, iż do niego był urodzony. Chodził za-

wſze potym prezydować na Radzie, ile razy ſłabość y podeszłość wieku nie pozwalały znaydować ſię na niey iego Teszczowi. Sędziwy ten ſtarzec umarł we cztery lata po tym Maryażu, maiąc ſatysfakcyą oglądać Familii ſwoiey latorośl, ktora ią w długie utrzymywać obiecywała lata.

Nureddyn Ali uczynił mu oſtatnią przyſługę, z oświadczeniem rzetelney przyiaźni, y wdzięczności; y iak tylko Syn iego *Bedreddyn Haſſan* miał lat 7. oddał go wręce doſkonałego Nauczyciela, ktory zaczął natychmiaſt przyzwoitą iego urodzeniu dawać mu edukacyą. Prawda że znalazł w tym dziecku dowćip żywy, przenikaiący, y ſpoſobny do poięcia by też y nayćięższych nauk.

Szecherazada chćiała daley kontynuować, lecz poſtrzegłszy dzień, ſkończyła ſwoy dyſkurs wroćiła ſię do niego w naſtępuiącey nocy y rzekła do Sułtana Indyiſkiego.

XCV. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, Wielki Wezyr *Giafar*, kontynuuiąc hiſtoryą, ktorą opowiadał *Kalifie*: we dwa Roki potym, rzekł, *Bedreddyn Haſſan* nauczył ſię doſkonale czytać, y na pamięć umiał *Alkoran. Nureddyn Ali* Oyćiec iego, oddał go ieszcze innym Nauczyćielom, ktorzy go do tey przyprowadzili doſkonałośći, że w dwona-

naſtym Roku, iuż ich niepotrzebował. Wtenczas, iako znatury ſwoiey był piękny, y urodziwy, tak wſzyſtkich na ſiebie ściągnął oczy y podziwienie.

Dotąd *Nureddyn Ali*, niechcąc go odrywać od nauk, nie pokazywał go światu. Zaprowadził go do Pałacu, ażeby miał honor oświadczenia głębokiey rekognicyi Sułtanowi, ktory przyiął go bardzo mile; ći ktorzy go naypierwſi zobaczyli idącego przez ulicę, tak byli niezmiernie ukontentowani iego pięknośćią, że wyrażaiąc ſwoie wielkie podziwienie y radość, tyſiączne mu dawali błogoſławieńſtwa.

Oyćiec iego przyſpoſobiaiąc go zawczaſu, ażeby był zdolny do obięćia po iego śmierći Wezyrſkiey godnośći, niczego nie zaniedbywał, cokolwiek ſię śćiągało do iego wydoſkonalenia, zdawał na niego nayzawilſze intereſſa, ażeby go do nich zawczaſu przyzwyczaił. Na oſtatek, niczego nie opuszczał, co tylko ſłużyć mogło do podwyżſzenia Syna, ktorego ſerdecznie kochał. Y iuż zaczynał ćieſzyć ſię owocem prac ſwoich, gdy choroby począł attak, ktory tak był gwałtowny że mu śmierć wkrotce przyſpieſzył. Przeto nie ſpodziewaiąc ſię długiego żyćia, dyſponował ſię natychmiaſt, ażeby mogł umrzeć iak dobry Muzułman. W tym ſzacownym momenćie, nie zapomniał o *Bedreddynie* ukochanym ſwoim Synie, przywołał go do ſiebie, y rzekł: Synu moy widzisz, że świat ten ieſt przemiiaiący, ten

tylko

tylko na ktory ia teraz przechodzę, ieſt gruntownie trwały. Potrzeba więc, ażebyś zaraz od tego momentu, tak iak ia teraz do dobrey gotował ſię śmierći; przygotuy ſię zawczaſu, ażebyś bez żalu w tę kiedyżkolwiek mogł ſię udać podroż, y żeby ći ſumnienie nic nie mogło zarzućić, cokolwiek by było przećiwnego powinnośćiom dobrego Muzułmana, y gruntownie poczćiwego człowieka. Co do religii, ieſteś w niey doſtatecznie informowany, tak od Nauczyćielow, iako też y przez czytanie Kſiążek. Co ſię zaś tycze uczćiwego człowieka, podam ći tu niektore maxymy, ktorych możesz z wielkim twoim użyć pożytkiem. Aże wielka ieſt potrzeba znać ſiebie ſamego, a znać ſiebie ſamego nie możesz, ieżeli nie będziesz wiedział kto ia ieſtem, krotko ćię w tym oświećić zechcę.

Urodziłem ſię w Egipćie; Oyćiec moy a twoy Dziad był naypierwſzym Miniſtrem Sułtana wſpomnionego Kroleſtwa. Ja ſam miałem także honor, bydź Wezyrem tegoż Sułtana, razem z moim Bratem, a twoim Stryiem, ktory, iako rozumiem żyie ieszcze, y nazywa ſię *Szemzeddyn Mohammed*. Przymuſzony byłem oddalić ſię od niego; y przyiechałem do tego Kraiu, w ktorym doſtąpiłem rangi tey, ktorą piaſtowałem do tychczas. Lecz dowiesz ſię tego wſzyſtkiego obſzerniey z kſiążeczki, ktorą ći dam.

Natychmiaſt *Nureddyn Ali*, wziął kſiążeczkę, ktorą własną ſwoią zapiſał ręką, y ktorą za-

wsze nosił przy sobie oddawszy ią *Bedreddynowi Hassan*: Weź tę książeczkę rzecze, będzież ią czytał upatrzywszy sobie czas; między innemi rzeczami dowiesz się z niey, ktoregom się ia dnia ożenił, y ktoregoś się ty dnia urodził na świat. Okoliczności te, będą ći podobno kiedyżkolwiek potrzebne; przeto książeczkę tę masz z pilnym konserwować staraniem. *Bedreddyn Hassan* niezmiernie strapiony zbliżaiącą się śmierćią swoiego Oyca, y słowy iego do żalu wzbudzony, przyiął książeczkę zalewaiąc się łzami, obiecuiąc, że ią iak drogi iaki skarb miał konserwować.

Wtymże momenćie uderzyła na *Nureddyna Ali* wielka słabość, w ktorey rozumiano że iuż miał skonać. Lecz przyszedł w krotce do siebie, y zabrawszy głos; rzekł, Synu moy, za naypierwszą podaię ći regułę, ktorą masz zachować w życiu: *ażebyś nie ze wszystkiemi bez braku przestawał ludźmi, ten tylko żyć może w bespieczeństwie, ktory maiąc się na ostrożnośći, nie łatwo innym kommunikuie swoich interessow.*

Za drugą regułę podaię ći: *ażebyś nikomu nieczynił krzywdy, inaczey cały świat przećiwko tobie kiedyż tedyż obruszyłby się, tak powinieneś się zapatrywać na każdego człowieka, iak na kredytora, ktoremu winien iesteś okazać twoie umiarkowanie w passyach, miłosierdzie, y ćierpliwość.*

Za trzećią: *ażebyś milczał, nie mowiąc za-*

dnego

dnego ſłowa wtenczas, gdy ćię naybardziey ſzkaluią. Daleki ieſt ten od niebeſpieczeńſtwa, mowi Przyſłowie, *ktory milczy. Jakoż dla tego tę regułę praktykować powinieneś. Wiesz dobrze, że do tego zmierzaiąc ieden znaſzych Pòétow, mowi, że milczenie ieſt ozdobą, y naywiękſzą obroną żyćia, że nie potrzeba w mowieniu bydź podobnym gwałtownemu deſzczowi, ktory pſuie wſzyſtko. Nikt nigdy tego nie żałował, że milczał, przećiwnie zaś nie ieden zapłakał, że wiele mowił.*

Za czwartą: *ażebyś nie pił wina, bo to ieſt żrzodłem wſzyſtkich nieprawośći.*

Za piątą: *ażebyś oſzczędzał bogactwa; ieżeli ich nie będziesz rozpraſzał, zdadzą ſię ći kiedyżkolwiek w potrzebie: nie potrzeba iednak, ażebyś ſię o nie zbytnie ſtarał, ani żebyś był nadto ſkąpy; pomierne nawet maiąc dobra, a roſtropnie ich zażywaiąc, będziesz miał wiele przyiaćioł; przećiwnie zaś chociażbyś miał naywiękſze bogactwa, ieżeli ich źle będziesz zażywał, wſzyſcy ćię odſtąpią y opuszczą.,*

Na oſtatek *Nureddyn Ali*, aż do oſtatniego żyćia momentu daiąc zbawienne Synowi ſwemu przeſtrogi, umarł y ſprawiono mu wſpaniały pogrzeb. . . . . .

Szecherazada natych ſłowach poſtrzegłſzy dzień przerwała ſwoy dyſkurs, na drugi dzień zoſtawuiąc reszte ſwoiey hiſtoryi.

XCVI. NOC.

Sułtanowa Indyiska przebudzona będąc od swoiey Siostry *Dynarzady*, o zwyczayney godzinie, obróciwszy mowę do Sułtana, rzekła: Nayiaśnieyszy Panie, *Kalifie* nie przykrzyło się słuchać Wielkiego Wezyra *Giafara*, ktory tak daley kontynuował swoię historyą. Pochowano więc, mowił, *Nureddyna Ali*, zprzyzwoitemi godnośći iego honorami. *Bedreddyn Hassan*, z *Balzory*, tak go albowiem nazywano dla tego, że się urodził w tym Mieśćie, wnieutulonym opłakuiąc śmierć Oyca swego zostawał żalu. Zamiast przepędzenia iednego tylko Mięsiąca według zwyczaiu, strawił całe ośm Niedziel na płaczu, y osobnośći, nie widząc nikogo, nie chodząc nawet na wypełnianie swoich powinnośći do Sułtana *Balzorskiego*. Monarcha ten rozgniewany za tę iego opieszałość, ktorą sobie brał za wzgardę Osoby swoiey, y swoiego Dworu, uwiodł się ku niemu passyą. W tey zostaiąc zapalczywośći, rozkazał zawołać nowego Wielkiego Wezyra, postanowił albowiem był go zaraz, iak tylko się dowiedział o śmierći *Nureddyna Ali*, y rozkazał mu natychmiast iść do Domostwa zmarłego, konfiszkować go ze wszystkiemi iego bogactwy,y przyległośćiami, nie zostawuiąc nic *Bedreddynowi Hassan*, ktorego nawet rozkazał zchwytać.

Nowy wielki Wezyr otoczony wielką liczbą Zołnierzy Dworskich, y Urzędnikow, poszedł

natych-

natychmiaſt, ażeby Pańſki wypełnił rozkaz. Jeden z Niewolnikow *Bedreddyna Haſſan* znayduiący ſię trefunkiem w tłumie ludzi, iak tylko dowiedział ſię o zamyśle Wezyra, pobiegł przodem, ażeby o tym Pana ſwego uwiadomił. Znalazł go ſiedzącego w przyſionku ſwoiego Domoſtwa, tak ſtrapionego y płaczącego, iakoby dopiero dnia tego Oyćiec iego pożegnał ſię ztym światem: upadł do nog iego utraćiwſzy prawie dla prędkiego bieżenia oddech, y pocałowawſzy kray ſzaty iego, rzekł: ućiekay Panie, ućiekay iako nayprędzey. Dlaczego ſpytał go ſię *Bedreddyn* podnioſſſzy głowy? Coż mi to przynoſisz za nowinę? Panie odpowie Niewolnik, Panie nie trać czaſu. Sułtan wielce ſię na ćiebie rozgniewał, idą iuż zrozkazu iego konfiszkować wſzyſtko to co masz, y wziąć ćię w niewolą.

Dyſkurs wiernego tego, y kochanego Niewolnika, zmieſzał wielce *Bedreddyna Haſſan*. Nie mogęż, rzekł, przynamniey wniść do pokoiu, ażebym wziął pieniądze y kleynoty? Nie możesz Panie, odpowiedział Niewolnik. Wielki Wezyr w momenćie tu przyidzie. Wychodź iako nayprędzey, y ratuy ſię ućieczką. *Bedreddyn Haſſan* wſtał czymprędzey z ſofy, na ktorey ſiedział, włożył nogi w papućie, y okrywſzy ſobie końcem ſzaty głowę, dla zaſłonienia ſobie twarzy, ućiekł czymprędzey, nie wiedząc w ktorą by ſię miał udać ſtronę, dla uniknienia wiſzącego nad ſobą niebeſpieczeńſtwa. Przyſzło mu nay-

pierwey na myśl, ażeby czymprędzey do naybliższey ſzedł wyprowadzaiącey z Miaſta Bramy. Biegł nie zatrzymuiąc ſię aż do publicznego cmentarza, na ktorym, ponieważ iuż noc naſtępowała, poſtanowił przepędzić ią w grobie ſwoiego Oyca. Był to budynek dosyć wielki, wyſtawiony na kſztałt ſzopy, ktory *Nureddyn Ali* ieszcze za życia ſwego kazał ſobie wyſtawić. Idąc ku temu grobowi ſpotkał na drodze Zyda bardzo bogatego, ktory był Bankierem, y Kupcem z profeſſyi. Powracał z iakiegoś mieyſca, na ktore go interes iakiś był ściągnął.

Zyd ten poznawſzy *Bedreddyna*, zatrzymał ſię, z y przyzwoitym reſpektem oddał mu ukłon. Na tym mieyſcu dzień zaiaśniawſzy nakazał *Szecherazadzie* milczenie, ktora nazaiutrz tak ſwoy dyſkurs zaczęła.

XCVII. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, *Kalifa* ſłuchał z wielką attencyą Wielkiego Wezyra *Giafara*, ktory tak dalеy kontynuował: Zyd nazwany *Izaak* ukłoniwſzy ſię *Bedreddynowi Haſſan*, y pocałowawſzy go w rękę rzekł: Panie ośmielam ſię ſpytać ćię ſię, dokąd o tym czaſie idzieſz ſam tylko, y tak bardzo zmieſzany? Jeżeli ći ſię co nie przytrafiło przykrego? Tak ieſt, odpowiedział *Bedreddyn*, zaſnąłem był nie zbyt dawno, y we śnie moim pokazał mi ſię moy Oyćiec. Poglądał na mnie tak iakby ſię na mnie za co gniewał? porwałem ſię

czym-

czymprędzey, y przeſtraſzony wielce, przybiegłem tu czymprędzey, ażebym ſię przy grobie Oyca mego modlił. Panie, rzecze Zyd, (ktory nie mogł wiedzieć dla czego *Bedreddyn Haſſan* wychodził z Miaſta.) Ponieważ Wielki Wezyr świętey pamięći twoy Oyćiec, napełnił towarami wiele okrętow, ktore ieszcze ſą na morzu, y ktore do ćiebie należą, upraſzam ćię pokornie, ażebyś mi nad wſzyſtkiemi Kupcami dał preferencyę. Mogę ći zapłaćić gotowemi pieniędzmi wſzyſtkie na wſzyſtkich okrętach znayduiące ſię towary, y na początek ieżeli zechcesz mi uſtąpić tych towarow, ktore na pierwſzym zaraz przyidą do portu okręćie, wypłacę ći zaraz tyſiąc cekinow. Mam ie tu z ſobą w kieſie, y gotowem dać ći ie zaraz. To wymowiwſzy wyćiągnął wielką kieſę, ktorą miał pod pachą y pokazał mu ią zapieczętowaną.

Bedreddyn Haſſan będąc wygnany z Miaſta y ogołocony ze wſzyſtkiego cokolwiek miał na świećie zapatrywał ſię na propozycyę tę Zyda, iako na oſobliwſzy z Nieba fawor. Akceptował ią więc zwielką radośćią. Panie, rzekł na ow czas Zyd, przedaiesz mi więc za 1000. cekinow towary będące na pierwſzym okręćie, ktory ma przybić do portu? Tak ieſt, przedaię ći ie za 1000 cekinow, odpowiedział *Bedreddyn Haſſan*, y iuż ieſt rzecz ſkończona. Zyd oddał mu natychmiaſt w ręce kieſę oświadczaiąc ſię że gotow był ie rachować. Lecz *Bedreddyn* uwolnił go od tey

pracy,

pracy, mowiąc, że mu wierzył. Ponieważ więc ieſt tak, odpowie Zyd, bądź łaſkaw, a napisz mi kilka ſłow zmacniaiąc ten nasz kontrakt. To wymowiwſzy podał mu ſwoy kałamarż, ktory miał przy paſie, pioro y kawałek papieru, na ktotym *Bedreddyn Haſſan* te napiſał ſłowa.

Skrypt ten niech będzie dowodem, że Bedreddyn Haſſan z Balzory przedał Zydowi Izaakowi, za 1000. *cekinow towary będące na pierwſzym okręćie, ktory ma w krotce przybić do portu, ktore to pieniądze iuż odebrał.*

Bedreddyn Haſſan z Balzory.

Napiſawſzy tę kartę, oddał Zydowi, ktory włożywſzy ią do pugilareſu pożegnał ſię z nim, y odſzedł. Przez ten czas przez ktory *Izaak* ſzedł ku Miaſtu, *Bedreddyn Haſſan* dążył ku Oyca ſwego *Nureddyna Ali* grobowi, przyſzedłſzy do niego upadł na źiemię na twarz, y zalewaiąc oczy łzami, opłakiwał ſwoię nieſzczęśliwość: Ah! nieſtetyż mowił, nędzny *Bedreddynie*, co ſię ztobą ſtanie? Gdzież naydziesz zchronienie ſię, w ktorym byś mogł uniknąć nie ſprawiedliwego Monarchy prześladowania? Nie doſyćże było dla ćiebie nieſzczęśliwośći, że ći śmierć odebrała ukochanego Oyca? Potrzebaż ieszcze było, ażeby do ſprawiedliwych twoich żalow fortuna przydała nową nieſzczęśliwość. Długo leżał temi trapiąc ſię lamentami: lecz naoſtatek podnioſł ſię położywſzy iednak na grobie Oyca ſwego głowę, żal

iego z więkſzą ieszcze gwałtownośćią począł mu śćiſkać ſerce, y poty nie przeſtał wzdychać y ięczeć, poki dawſzy ſię zwyćiężyć ſnowi nie oddalił głowy ſwoiey od grobu, nie rośćiągnął ſię na podłodze y nie zaſnął.

Ledwie co zaczął ſmakować w ſnu ſłodyczy, gdy Geniusz mieszkaiący na owym cmentarzu, podczas dnia, chcąc wyiść na świat w nocy według ſwego zwyczaiu, poſtrzegł młodzieńca w grobie *Nureddyna Ali.* Wſzedł do grobu, y zobaczywſzy *Bedreddyna* leżącego na znak, pięknośćią iego tknięty w wielkim zoſtawać począł zadumieniu. . . . . . Dzień pokazuiący ſię nie pozwolił *Szecherazadzie* zakończyć tey hiſtoryi; lecz nazaiutrz o godzinie zwyczayney przebudziwſzy ſię tak ią kontynuowała.

XCVIII. NOC.

Geniusz, mowił daley Wielki Wezyr *Giafar*, przypatrzywſzy ſię dobrze *Bedreddynowi Haſſan*, rzekł ſam w ſobie, uważaiąc piękność tey kreatury, wyznać potrzeba, że to ieſt Anioł wyſłany od BOGA z źiemſkiego Raiu, ażeby cały świat ogniem pięknośći ſwoiey zapalił. Naoſtatek, napatrzywſzy ſię na niego przez czas długi, wznioſł ſię na powietrze, gdzie znalazł Czarownicę. Przywitali ſię wzaiemnie; potym rzekł do niey Geniusz, proſzę ćię ażebyś zemną ſpuśćiła ſię na cmentarz, na ktorym ia mieszkam; pokażę ći cud

pię-

pięknośći; nie mniey twego godzien podziwienia iak moiego. Czarownica chętnie na to zezwoliła, w momenćie iednym ſpuśćili ſię oboie, y gdy iuż ſtanęli w grobie: Coż, rzekł Geniusz do Czarownicy, pokazuiąc iey *Bedreddyna Haſſan* widziałażeś kiedy Kawalera pięknieyſzego nad tego?

Czarownica przypatrywała ſię *Bedreddynowi* pilnie przez nieiaki czas, potym obroćiwſzy ſię do Geniuſza; przyznaię rzecze, że ieſt bardzo piękny; lecz dopiero widziałam w *Kairze* cud pięknośći, o ktorym mowić z tobą zechcę ieżeli ſobie tego życzysz. Wielkie mi uczynisz ukontentowanie, odpowie Geniusz; Wiedzieć więc masz, rzecze Czarownica: opowiedzieć ći albowiem chcę rzecz całą, że Sułtan Egipſki ma Wezyra nazwanego *Szemzeddyn Mohammed*, ktorego to Corka maiąca lat 20. tak ieſt piękna, że nad nią świat pięknieyſzey nigdy niewidział Damy. Sułtan dowiedziawſzy ſię przez odgłos publiczney wieśći o extraodynaryiney urodzie tey Damy, przywoławſzy w tych dniach do ſiebie Oyca iey Wielkiego ſwego Wezyra, rzekł: ſłyſzałem że masz na wydaniu Corkę, chcę ſię z nią ożenić; zezwalaszże na to? Wezyr nie mogący ſię nawet ſpodziewać podobney propozycyi, zadziwił ſię nieco, lecz bynaymniey nie uwiodł ſię tym honorem, zamiaſt zezwolenia na to z radośćią, iak kto inszy zapewneby był uczynił, odpowiedział Sułtanowi: Nayiaśnieyſzy Panie, nie ieſtem godzien

dzien tego honoru, ktory mi Waſza Ceſarſka Mość chcesz uczynić; upraſzam pokornie, ażebyś Miłośćiwy Panie nie miał mi za złe, że ſię Twoiey w tey mierze ſprzećiwię woli. Wiesz dobrze Nayiaśnieyſzy Sułtanie, żem miał Brata nazwanego *Nureddyn Ali* ktory tak iako y ia miał ſzczęśćie bydź iednym z Twoich Wezyrow. Przytrafiło ſię nam dnia iednego pokłoćić, co mu było przyczyną, że ſię odemnie oddalił: nie miałem o nim żadney wiadomośći aż do dnia zaonegdayſzego, dowiedziałem ſię, że umarł w *Balzorze* na godnośći Wielkiego Wezyra Sułtana tegoż Kroleſtwa. Zoſtawił po ſobie iednego Syna, ażeobowiązaliśmy ſię obydwa złączyć przez Małżeńſtwo naſze dzieći, ieżelibyśmy ie mieli, ſpodziewam ſię, że w tymże ſamym umarł pragnieniu. Przeto z moiey ſtrony, chćiał bym uiśćić tę moię obietnicę, y upraſzam uſilnie Waſzey Ceſarſkiey Mośći, ażebyś memu nie przeſzkadzał pragnieniu. Znayduie ſię przy Dworze Waſzey Ceſarſkiey mośći wiele zacnych Panow maiących tak iako y ia Corki, możesz ich uſzczęśliwić Twoim z niemi zkolligaceniem ſię.

Sułtan Egipſki rozgniewał ſię niewypowiedzianie za tę odpowiedź na *Szemzeddyna Mohammeda. . . . Szecherazada* przeſtała mowić na tym mieyſcu, dzień poſtrzegſſzy. Naſtępuiącey nocy wracaiąc ſię do ſwoiey hiſtoryi rzekła do Sułtana Indyiſkiego, wyſtawuiąc zawſze Wielkiego Wezyra *Giafara* mowiącego z *Kalifą Harounem Alraſzydem.* XCIX.

XCIX. NOC.

Sułtan Egipſki urażony do żywego, że mu *Szemzeddyn Mohammed* odmowił, rzekł do niego z gniewem, w ktorym ſię nie mogł umiarkować: także mi to nadgradzasz za moię dobroć? przez ktorą uniżyłem ſię aż do tego ſtopnia, żem ſię z tobą chćiał zkolligaćić? Potrafię ſię zemśćić za tę preferencyą, ktorąś śmiał dać nademnie komu inſzemu, y poprzyſięgam ći, że Corka twoia nie będzie kogo innego miała za Męża, procz naypodleyſzego y naynieurodziwſzego ktorego z moich niewolnikow. Te wymowiwſzy słowa, rozkazał z gniewem wyiść Wielkiemu Wezyrowi, ktory natychmiaſt poſzedł do ſwoiego Domoſtwa, wielce zafraſowany y zmartwiony.

Dnia dziſieyſzego rozkazał Sułtan przywołać do ſiebie iednego Maſtalerza y zprzodu y ztyłu maiącego garb, tak ſzpetnego, że bez boiaźni nie można było na niego zapatrzyć ſię, y rozkazawſzy *Szemzeddynowi Mohammedowi*, ażeby za niego dał ſwoię Corkę, kazał napiſać intercyzę y podpiſać ią w ſwoiey obecnośći świadkom. Wſzyſtkie przygotowania ſzkaradnego tego weſela, iuż ſtanęły, y teraz nawet kiedy z tobą rozmawiam, wſzyſcy Niewolnicy Panow znayduiących ſię przy Dworze Egipſkim, ſtoią przy drzwiach łaźni, każdy maiąc pochodnię w ręku. Czekaią, ażby Masztalerz garbaty ktory ſię w niey kąpie, wyſzedł, ażeby go zaprowadzili do iego

oblu-

oblubienicy, ktora iuż należyćie ieſt ufryzowana, y ubrana. Wtenczas gdym wyſzła z *Kairu*, Damy zebrawſzy ſię miały prowadzić ią z wſzelkiemi do weſela należącemi ceremoniami do ſali, w ktorey ma przyimować Garbatego, y na tym go teraz mieyſcu zapewne czeka. Widziałam go na moie oczy, y mogę ćię upewnić, że nie można na niego zapatrywać ſię bez podziwienia y obrzydliwośći.

Gdy Czarownica przeſtała mowić, rzekł do niey Geniusz: choćiaż byś mi niewiedzieć co powiedziała, wierzyć nigdy nie będę, ażeby Dama ta, o ktorey powiadasz, była od tego Młodzieńca pięknieyſza. Nie chcę z tobą dyſputować, odpowiedziała Czarownica; wyznaię że on ieſt tylko godzien tey tak śliczney Oſoby, ktora dnia dziſieyſzego doſtaie ſię Garbatemu, y zdaie mi ſię, że uczynilibyśmy godną nas rzecz, gdybyśmy oparłſzy ſię nieſprawiedliwośći Sułtana Egipſkiego dali iey na mieyſce Niewolnika garbatego, tego urodziwego Młodzieńca za Męża. Sprawiedliwie mowisz, rzecze Geniusz, wierzyć nie możesz iak ći wielce ieſtem obligowany za tę twoię tak śliczną myśl; pozwalam, ſprzećiwmy ſię Sułtana zemśćie, poćieszmy ſtrapionego Oyca, y uczyńmy Damę tę tak ſzczęśliwą, iak ſię teraz ma za nieſzczęśliwą: nic nie opuszczę cokolwiek tylko ieſt potrzebnego do wykonania tego proiektu, wyperſwadowany ieſtem, że y ty do tego zażyiesz wielkiey twoiey doſkonałośći; biorę na ſiebie zanieść go do *Kairu* tak ći-

cho, żeby ſię nie obudził, a potym zoſtawię go twoiemu ſtaraniu, ażebyś z nim to czyniła, cokolwiek będzie do wykonania naſzego przedſięwzięćia potrzebnego.

Geniusz z Czarownicą umowiwſzy ſię co mieli czynić, wziął powoli *Bedreddyna*, y przenioſł go przez powietrze prędko, aż pod publiczne Domoſtwo, będące bliſko łaźni, z ktorey Garbaty iuż miał wychodzić z aſſyſtencyą Niewolnikow, na ſiebie czekaiących.

Bedreddyn Haſſan w tymże momenćie obudziwſzy ſię, zadziwił ſię mocno, iż ſię widział w pośrzodku Miaſta bynaymniey ſobie nie znaiomego. Chćiał nawet zawołać, pytaiąc ſię na ktorym by był mieyſcu; lecz Geniusz trąćił go powoli w ramię, y przeſtrzegł, ażeby nic nie mowił. Potym dawſzy mu w ręce pochodnię, idź, rzecze do niego, wmieſzay ſię pomiędzy tych ludzi, ktorych widzisz we drzwiach łaziennych, y idź z niemi poki nie przyidziesz do wielkiey ſali, w ktorey będzie ſię odprawiało weſele. Nowożeniec ieſt Garbaty, łatwo go poznasz, wſzedłſzy do ſali, ſtań po prawey iego ręce, y teraz zaraz otworz kieſę ktorą masz za pazuchą, y ſzafuy hoynie będącemi w niey cekinami, rozdaiąc ie idąc Muzykantom, tancarzom y tanczarkom. A gdy iuż będziesz w ſali, nie zapomniey rozdawać pieniędzy Niewolnicom Panny Młodey, ktorekolwiek ſię do ćiebie zbliżą, Lecz ile razy włożysz rękę do kieſy, po całey garśći bierz cekiny, bynaymniey

ich

ich nie ochraniaiąc. Czyń punktualnie wſzyſtko co ći rozkazuię z wielką przytomnośćią rozumu, niech ći nic nie ſprawia podziwienia, ani boiaźni, ſpuszczaiąc ſię zupełnie na wyżſzą moc ktora tobą według upodobania rządzić będzie.

Młody *Bedreddyn* informowany dobrze o wſzyſtkim co miał czynić, zbliżył ſię ku drzwiom łaźni; zaświećił naypierwey ſwoię pochodnią od pochodni iednego Niewolnika, potym w mieſzawſzy ſię pomiędzy drugich, tak iakoby należał do ktorego z Panow *Kairskich*, iść z niemi począł, aſſyſtuiąc Garbatemu wychodzącemu z łaźni, ktory iechał na koniu przyprowadzonym mu z ſtayni Sułtana.

Dzień pokazuiący ſię nakazał *Szecherazadzie* milczenie; nazaiutrz iednak tak ſwą zaczęła hiſtoryą.

C. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuuiąc ſwą mowę przed *Kaliſą*, *Bedreddyn Haſſan*, mowił, będąc bliſko Muzykantow, tanczarzow y tanczarek idących zaraz przy boku Garbatego, brał uſtawicznie po garśći z kieſy ſwoiey cekinow y hoynie ie im rozdawał. A że tę czynił rozrzutność z rzadkim wdziękiem y przymileniem ſię, wſzyſcy ći ktorzy ie od niego brali pilnie mu ſię przypatrywali, y iak tylko mu ſię przypatrzyli, tak ſię im zdał piękny, że nie mogli z niego ſpuśćić oczow.

Przyszli naostatek do Bramy *Szemzeddyna Mohammeda* Stryia *Bedreddyna Hassan*: ktory ani sobie mogł pomyślić, ażeby iego Synowiec znaydował się tak blisko niego. Zołnierze zagradzaiąc ścisłkowi, zatrzymali wszystkich Niewolnikow niosących pochodnie, niechcąc ich puścić do Domostwa. Odepchnęli nawet byli *Bedreddyna Hassan*; lecz Muzykanći dla ktorych drzwi były otwarte, zatrzymali się, protestuiąc się, że żadnym sposobem wniść nie mieli, ieżeliby go z niemi nie puszczono. Nie iest to ieden z liczby Niewolnikow, mowili, poyzrzawszy tylko na niego, można o tym bydź doskonale przekonanym. Zapewne iest to Kawaler woiażuiący, ktory przez ćiekawość chce zobaczyć ceremowie weselne naszego Miasta. To wymowiwszy wzięli go między siebie, y mimo woli Zołnierzy wprowadzili go do Domostwa, wydarli mu zrąk pochodnie, y porzućili, wprowadziwszy go do sali rozkazali mu usieść po prawey ręce Garbatego, ktory siedział na Tronie wspaniale przybranym, koło Corki Wezyra.

Ustroiona była arcy bogato ta Dama; lecz rysowała się na twarzy iey boleść y śmiertelny smutek, czego łatwo było zgadnąć przyczynę, widząc przy niey Męża tak szpetnego, y tak mało godnego iey miłośći. Tron tego Małżeństwa tak źle zebranego był w pośrzodku sofy. Zony Emirow, Wezyrow, Urzędnikow Sułtana, y inne Damy Dworu, y z Miasta, siedziały ze wszystkich

stron

ſtron na przyniżſzych trochę ſofach, każda według ſwoiey rangi, wſzyſtkie zaś ślicznie były uſtroione, y tak bogato, że miłe oczom ſprawiły widowiſko. Trzymały wſzyſtkie wielkie zapalone świece.

Gdy zobaczyły *Bedreddyna Haſſan*, wlepiały w niego oczy, y dziwiły ſię proporcyonalnemu iego wzroſtowi; mina y piękność iego twarzy tak ie do ſiebie ćiągneła że nie zpuszczały z niego oczow. Gdy uſiadł, nie było żadney, ktoraby porzućiwſzy ſwoie mieyſce, nie przyſunęła ſię do niego, y nie przypatrywała mu ſię pilnie zbliſka, żadna zaś nie powracała ſię na ſwoie mieyſce, y nie była wolna od wewnętrznego poruſzenia.

Rożnica znayduiąca ſię między *Bedreddynem Haſſan*, y Masztalerzem garbatym, ktorego to figura wſzyſtkim była obrzydliwa, dała okazyą Gośćiom do ſzemrania. Temu to ślicznemu Młodzieńcowi, a nie temu garbuſowi, dać było potrzeba tę tak śliczną Pannę, wołały z żalem Damy. Nie ſtanęły ieszcze natym, poczęły nawet przeklinać Sułtana, ktory na złe zażywaiąc abſolutney ſwoiey władzy, łączył piękność z brzydkośćią. Przeklinały także y Garbatego, tak dalece, że go przyprowadziły do niećierpliwośći, co bardzo rozerwało Spektatorow, ktorzy głośno śmieiąc ſię przerwali na nieiaki czas ſymfonie, ktore grano w ſali. Gdy Kapela na nowo grać zaczęła, Damy ktore ſtroiły Pannę Młodę, zbliżyły ſię do niey.

Te wymowiwſzy słowa *Szecherazada* poſtrzegła, że iuż był dzień, y przeſtała mowić, a naſtępuiącey nocy tak ſię powroćiła do ſwoiego dyſkurſu.

Setna pierwſza y ſetna druga noc, zawieraią w ſobie w originale tey kſiążeczki opiſanie ſiedmiu ſzat y ſiedmiu rozmaitych ubiorow, ktore na ſiebie brała Corka Wezyra Szemzeddyna Mohammedda po ſkończoney każdey z ſiedmiu ſymfonii. Ponieważ te opiſanie nie bardzoby ukontentowało Czytelnika, zwłaſzcza że ma w ſobie wierſze maiące ſwoie wdzięki w Arabſkim ięzyku, lecz w Polſkim y Francuzkim nic nie maiące ſłodyczy, ſprawiedliwie ſię tu opuszcza.

CIII. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, rzekła *Szecherazada* do Sułtana Indyiſkiego, rozumiem że W. C. Mość nie zapomniałeś, iż to zawſze Wielki Wezyr *Giafar* z *Kalifą Harounem Alraſzydem* rozmawia. Ile razy, mowił daley, Panna Młoda odmieniła ſzaty, wſtawała z ſwoiego mieyſca, y w aſſyſtencyi Dam przechodząc koło Garbatego, nie poyzrzawſzy nawet na niego ſzła prezentować ſię *Bedreddynowi Haſſan*, ażeby ią przyozdobioną nowemi wdziękami oglądał. W tenczas *Bedreddyn Haſſan* według nauki daney ſobie od Geniuſza, nie omieszkał brać z kieſy ſwoiey garśćią cekiny, y rozdawać ie hoynie Panny Młodey Fraucymerowi. Nie zapo-

mniał także o Muzykantach, tanczarzach y tanczarkach, rzucał im hoynie czaſami pieniądze. Roſkosz była wielka przypatrywać ſię, gdy iedni drugich odpychali zbieraiąc ie. Oświadczali mu zato wdzięczność y dawali mu do zrozumienia przez znaki, że życzyli, ażeby on raczey, a nie Garbaty był Panny Młodey Mężem. Damy będące około Panny Młodey ztym ſamym oświadczały ſię, y nie dały ſobie wſpomnieć o Garbatym, ktoremu rożne wyrządzały afronty, co bardzo wielką ſpektatorom dawało rozrywkę.

Gdy iuż ceremonia odmieniania ſukien zakończyła ſię, Kapela grać, przeſtała y wyſzła, daiąc *Bedreddynowi Haſſan* przez znaki do zrozumienia, ażeby ſię zoſtał. Toż ſamo uczyniły y Damy wychodząc za niemi z temi ktorzy kolwiek byli obcy. Panna Młoda poſzła do ſwego gabinetu, gdzie ią poſzły rozbierać Damy y nikogo iuż nie było w ſali procz Masztalerza garbatego, *Bedreddyna Haſſan*, y niektorych ſłużących. Garbaty wielki maiąc ku *Bedreddynowi* rankor, ktory był nieiako przyczyną, że z niego ſzydzono, zagniewanym na niego poglądaiąc okiem rzekł: czegoż tu czekasz ieszcze? Czemu tak iako y inſi nie wychodzisz. Ponieważ *Bedreddyn* nie miał żadnego pretextu, pod ktorymby ſię mogł tam zatrzymać, wyſzedł natychmiaſt, boiąc ſię bardzo o ſwoie życie, lecz ieszcze nie wyſzedł był z przyſionku, gdy Geniusz z Czarownicą pokazawſzy ſię mu, rzekł: dokąd że to idziesz? zaczekay,

kay, iuż Garbatego niemasz w ſali, wyſzedł iuż z niey dla iakieyſi potrzeby, możesz wyśmienićie wroćić ſię, y wniść do pokoiu Panny Młodey. Gdy ſam tylko będziesz z nią zoſtawał, powiedz iey śmiele, że ty ieſteś iey Mężem: że intencya Sułtana była rozerwać ſię tylko przez oſzukanie Garbatego, y żeś dla ułagodzenia mniemanego tego iey Męża rozkazał mu przygotować dobry połmiſek śmietany, w ſtayni, mow iey także cokolwiek ći na myśl przyidzie dla wyperſwadowania iey tego. Będąc tak pięknie od BOGA ſtworzonym, nie będzie ći ćiężko to ſprawić; będzie ſię nawet ćieſzyła, że ią tak pięknie oſzukano: tym czaſem my przeſtrzeżemy Garbatego, żeby ſię tam nie ważył wchodzić: możesz beſpiecznie przepędzać noc z twoią Zoną, twoia to albowiem ieſt, a nie iego.

Gdy Geniusz zachęcał tym ſpoſobem *Bedreddyna* y informował co miał czynić, Garbatego w ſamey rzeczy w ſali nie było. Geniusz poſzedł na to mieyſce na ktorym ſię znaydował, przemienił ſię w wielkiego czarnego kota, y zaczął ſtrasznie miauczeć. Garbaty począł krzyczeć, y trzaſkać rękoma dla wypędzenia kota, lecz on nie tylko nie ućiekał, ale rozkraczywſzy ſię na nogach y wlepiwſzy pałaiące ſwe oczy w Garbatego, ſtraszniey ieszcze począł miauczeć, y coraz więkſzą na ſię biorąc poſtać, w krotce tak ſię ſtał wielkim iak oſieł. Garbaty na te ſtraszne widowiſko chćiał krzyczeć gwałtu, lecz tak wielka go

opano-

opanowała boiaźń, że ſtanął z otwartemi uſtami, nie mogąc wymowić ſłowa. Geniusz, ażeby mu żadnego nie dał ſpoczynku, przemienił ſię w momenćie w bawoła, y w tey poſtaći, począł ſtraſznie ryczeć, wymawiaiąc zrykiem te ſłowa: brzydki garbuſie: co bardziey ieszcze przeſtraſzyło Maſztalerza, upadł na źiemię, y nakrywſzy ſobie ſuknią głowę ażeby niewidział tey ſtraſzney beſtyi, rzekł drząc: Monarcho naywyżſzy bawołow, czego odemnie pragniesz? Biada ći, odpowie Geniusz, śmiałeś żenić ſię z moią oblubienicą! Ah! Panie, rzecze Garbaty, upraſzam ćię pokornie, daruy mi winę, przez niewiadomość popełniłem ten wyſtępek, nie wiedziałem, ażeby ta Dama miała Bawoła za Oblubieńca: rozkaż mi co ći ſię tylko podoba, poprzyſięgam, że ći będę poſłuſzny. Poprzyſięgam ći, odpowiedział Geniusz, że ieżeli mi ſię ruſzysz ztąd, ieżeli nie będziesz milczał poty, poki nie zeydzie ſłońce, na miazgę ći rozbiię głowę. Wtenczas pozwalam ći wyiść z tego Domu; lecz przykazuię ći, ażebyś ućiekał prędko, nie obźieraiąc ſię w tył, a ież-li będziesz śmiał powroćić ſię do niego, przypłaćisz tego żyćiem. Te ſkończywſzy ſłowa Geniusz, przemienił ſię w człowieka, wziął Garbatego za nogi, y podnioſſzy go, ieżeli mi ſię ruſzysz, rzekł, poty, poki ſłońce nie zeydzie, iakom ći iuż powiedział, wezmę ćię tak za nogi iak teraz, y rozbiię ći o mur głowę na drobne kawałki.

Tym czaſem *Bedreddyn Haſſan* zachęcony

od Geniuſza, y przez obecność Czarownicy wroćił ſię do ſali, wćiſnął ſię do pokoiu ſypialnego, y uſiadł czekaiąc pomyślnośći ſwoiey awantury. Po niektorym czaſie, Panna Młoda nadeſzła, przyprowadzona od iedney ſtaruszki, ktora zatrzymawſzy ſię we drzwiach, zachęcała Męża, nie uważaiąc czyli to był Garbaty, czy kto inſzy do pełnienia ſwoiey powinnośći, potym zamknąwſzy drzwi odeſzła.

Panna Młoda zadziwiła ſię niewypowiedzianie postrzegłſzy na mieyſcu Garbatego *Bedreddyna Haſſan*, ktory ſię iey z przecudowną prezentował gracyą. Coż to przyiaćielu, rzekła, o tym czaſie znayduiesz ſię tu u mnie? Muſi bydź, że ieſteś kollegą moiego Męża. Bynaymniey, Pani, odpowiedział *Bedreddyn*, inſzey godnieyſzey ieſtem rangi aniżeli ten przeklęty garbus; lecz pamiętay, rzecze Panna Młoda, że źle mowisz o moim Mężu. Kto? on Pani, ieſt twoim Mężem, odpowie *Bedreddyn*! y mogłoż ſię to w twoiey pomieśćić głowie, wyidź proſzę z twoiego błędu, nie godzi ſię tak wielkich wdzięków dziedziczyć tak ſzkaradnie y ſzpetnie ſtworzonemu człowiekowi. Ja ieſtem, Pani, ten człowiek ſzczęśliwy, dla ktorego ſą zachowane. Sułtan uczynił ſobie tylko rozrywkę, wyrządzaiąc tę ſztukę Wezyrowi twoiemu Oycu; lecz w ſamey rzeczy mnie dla ćiebie obrał za Męża. Mogłaś uważać ile razy Damy, Muzykańći, tańczarze, twoie ſłużące Panny, y ludzie Domowi śmieli ſię z tey kome-

dyi. Odesłałem iuż nieszczęśliwego tego Garbusa do stayni, o tym iuż czasie z dobrym apetytem ie śmietanę, y możesz bydź wyperswadowana, że go nigdy twoie iuż więcey nie zobaczą oczy.

Na ten dyskurs Corka Wezyra, ktora bardziey umarła aniżeli żywa weszła była do sypialnego pokoiu, odmieniła natychmiast twarz, przybrała wesołą minę, co iey tyle przydało piękności, że się *Bedreddyn* dziwnie ukontentował. Nie spodziewałam się, rzekła, tak miłego dla mnie oszukania, y rozumiałam, że mię iuż chćiano na całe życie uczynić nieszczęśliwą. Lecz szczęście moie tym zdaie mi się bydź większe, im doskonaley poznaię, że w Osobie twoiey godnego moiey miłośći znaydę Męża. To wymowiwszy rozebrała się do reszty y położyła się w łożku. *Bedreddyn Hassan* kontent będąc że dziedziczył tyle wdzięków, rozebrał się także prędko. Położył swoie suknie na taborećie na kiesie, ktorą wziął od Zyda y ktora mimo wielkiey iego rozrzutnośći była ieszcze pełna, zdiął także swoy zawoy, dla wzięćia nocney czapki, przygotowaney dla Garbatego, y położył się w koszuli tylko y wspodniach, * spodnie te były z hatłasu niebieskiego, maiące przy sobie taśmę wyszywaną złotem.

Poka-

* Wszyscy Oryentalni ordynaryinie sypiaią wspodniach, y ta okoliczność będzie nam wdalszym historyi przećiągu potrzebna.

Pokazuiąca się iutrzenka nakazała *Szecherazadzie* milczenie. W następuiącey nocy przebudziwszy się o godzinie ordynaryiney, wróciła się do swoiey historyi kontynuuiąc ią w ten sposob.

CIV. NOC.

Gdy Małżeństwo iuż zasnęło, mowił daley Wielki Wezyr *Giafar*, Geniusz złączywszy się z Czarownicą, rzekł: potrzeba to skończyć cośmy tak dobrze zaczęli, strzeżmy się, ażeby nas dzień nie zaskoczył, ktory iuż iest nie daleko, idź weź czymprędzey Młodzieńca, tak żebyś go nie obudziła.

Czarownica poszła czymprędzey do pokoiu w ktorym Małżeństwo to nowe spało; porwała *Bedreddyna Hassan* w tym w ktorym był stanie, to iest w koszuli y wspodniach, y lecąc szybko z Geniuszem, zatrzymała się aż przy Bramie *Damaszku* w *Syryi*, na ktorym to mieyscu wtenczas prawie stanęli, kiedy Kapłani Meczetow zwoływali lud wielkim głosem na poranne Nabożeństwo. Czarownica położyła *Bedreddyna* z wolna na ziemi y zostawiwszy go nie daleko Bramy z Geniuszem odleciała.

Gdy otworzono Bramę, ludzie ktorych się iuż wiele nazgromadzało, y stało koło Bramy, postrzegłszy *Bedreddyna Hassan* rozciągnionego na ziemi w koszuli y wspodniach, mocno się dziwować poczęli. Jedni mowili, nieborak tak zna-

gła muſiał uciekać od ſwoiey kochanki, że nie poſpiał nawet ubrać ſię. Patrzcie, mowili drudzy, co to ſię ludziom przy trafia, muſiał ſtrawić więkſzą część nocy piiąc z ſwoiemi przyiaciołmi; upił ſię wyſzedł potym dla potrzeby, y zamiaſt powrocenia ſię do Domu zaſzedł aż tu pod Bramę, nie wiedząc ſam co czynił, dla tego że go ſen mocno rozmarzył. Rożni rożnie mowili, nikt iednak zgadnąć nie mogł, przez iaką awanturę na tym mieyſcu znaydował ſię. Maleńki wietrzyk, ktory wtenczas począł powiewać, odwinął koſzulę, y odkrył pierſi, ktore tak były białe iak śnieg. Białość ta przedziwna wſzyſtkim zapatruiącym ſię tak wielkie ſprawiła podziwienie, że w zadumieniu krzyczeć poczęli, y obudzili młodzieńca. Podziwienie iego nie było mnieyſze, gdy ſię zobaczył przy Bramie Miaſta, w ktorym nigdy nie bywał, w pośrodku gminu ludzi, przypatruiących mu ſię z wielką pilnością. Panowie moi, rzekł do nich, powiedzcie mi proſzę, gdzie ia ieſtem, y czego odemnie chcecie. Jeden z nich zabrawſzy głos, odezwał ſię: Młodzieńcze, gdy otworzono Bramę tego Miaſta, wychodząc znaleźliśmy cię leżącego w tym ſtanie, w ktorym teraz ieſteś. Zatrzymaliśmy ſię przypatruiąc ſię tobie: powiedz nam proſzę, ieżeliś tu nocował? y ieżeli wieſz że ieſteś przy Bramie *Damaſzku*. Przy Bramie *Damaſzku*? odpowiedział *Bedreddyn*! żartuiecie ſobie zemnie, położyłem ſię tey nocy ſpać w *Kairze*. Na te słowa niektorzy rozgniewani powie-

dzia-

dziawſzy, że ſzkoda była wielka iż tak urodziwy Młodzieniec oſzalał, poſzli w ſwoię drogę.

Synu, rzekł mu ieden ſtaruſzek, ponieważ dnia dziſieyſzego znayduiesz ſię w *Damaſzku*, iakim żeś ſpoſobem mogł bydz wczora w *Kairze* w wieczor, nie może to bydź żadnym ſpoſobem. Tak ieſt przećie, nie inaczey, odpowiedział *Bedreddyn*, y poprzyſięgam wam nawet, żem przepędził cały dzień wczorayſzy w *Balzorze*. Ledwie co ſkończył te ſłowa, wſzyſcy głośno śmiać ſię poczęli, y krzyczeć: ſzalony to ieſt bez wątpienia. Niektorzy iednak ubolewali nad tym iego nieſzczęściem, dla tego że był ieszcze w wieku młodym, y ieden z nich rzekł: Synu muſiałeś ſtraćić rozum, nie rozumiesz co mowisz. Jeſt że rzecz podobna, ażeby człowiek był podczas dnia w *Balzorze*, w nocy w *Kairze*, a rano w *Damaſzku*? Nie muſiałeś ſię zapewne ieszcze dobrze obudzić, przyidź do ſiebie. To co ia mowię, odpowiedział powtornie *Bedreddyn Haſſan*, tak ieſt prawda; iak y to że dnia wczorayſzego ożeniłem ſię w *Kairze*. Wſzyſcy ći ktorzy ſię przedtym śmieli, śmiech ſwoy bardziey ieszcze pomnożyli na ten iego dyſkurs. Uważay dobrze co mowisz, rzecze mu taż ſama oſoba, ktora do niego mowiła, może bydź, że ći ſię to wſzyſtko śniło, y że ći ten ſen żywo tkwi w imaginacyi. Wiem dobrze, co powiadam odpowiedział Młodzieniec, powiedzćie wy mnie ſami, ieżeli ieſt rzecz podobna, ażebym ia przez ſen ſzedł do *Kairu*, w kto-

rym

rym żem był zapewne wyperſwadowany ieſtem, gdzie ſiedm razy przyprowadzano przedemnie moię Zonę, co raz inaczey ubraną. Gdzie nawet widziałem bezecnego garbatego, o ktorym mniemano że iey miał bydź Mężem. Powiedźcie mi raczey, gdzie ſię podziała moia ſuknia, moy zawoy, moia kieſa z cekinami, ktorą miałem w *Kairze*.

Jakożkolwiek upewniał że rzeczy te były prawdziwe, oſoby ſłuchaiące go śmiały ſię tylko z tego; co tak go pomieſzało, że ſam nie mogł wiedzieć, iak miał ſądzić o tym co mu ſię przytrafiło.

Dzień oświecaiący iuż apartament *Szachryara* nakazał *Szecherazadzie* milczenie; nazaiutrz iednak tak ſwą kontynuowała relacyą.

CV. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, *Bedreddyn Haſſan* uporczywie utrzymuiąc ſwoie zdanie, wſtał, y poſzedł do Miaſta; cały lud za nim ſzedł, wołaiąc ſzalony to ieſt zapewne człowiek. Na ten krzyk iedni ſtoiąc w oknach, drudzy we drzwiach Domow, inni naoſtatek przyłączywſzy ſię do tych, ktorzy obſtąpili *Bedreddyna*, wołali, oto człowiek ſzalony, nie wiedząc nawet o czym rzecz była. Zmieſzany Młodzieniec tym naśmiewiſkiem, przyſzedł ku Domoſtwu Paſztetnika otwieraiącego ſwoy ſklep, wſzedł więc do

niego,

niego, ażeby uniknął hałaſow poſpolſtwa za ſobą idącego.

Paſztetnik ten bywał niegdyś przełożonym nad włoczącemi ſię Arabami, ktorzy to rabuią karawany, y lubo iuż oſiadł był w *Damaſzku*, y poczćiwie ſię ſprawował, wſzyſcy go ſię iednak bali, ktorzykolwiek go znali. Przeto iak tylko poyźrzał na gmin idący za *Bedreddynem*, rozproſzył go natychmiaſt; kilka zadał Młodzieńcowi kweſtyi; pytał go ſię, kto by był, y coby go przyprowadziło do *Damaſzku. Bedreddyn Haſſan*, nie ukrywaiąc mu bynaymniey ſwoiego urodzenia, y śmierći Oyca ſwego Wielkiego Wezyra, opowiedział mu iakim ſpoſobem zaſnąwſzy nocy przeſzłey na grobie ſwoiego Oyca, uyźrzał ſię potym obudziwſzy ſię ze ſnu w *Kairze*, y iako w tym Mieśćie ożenił ſię z wyborney urody Damą. Naoſtatek opowiedział mu, że w wielkim zoſtawał podziwieniu, iż ſię z nagła oglądał w *Damaſzku*, twierdząc że ſam tego nie mogł poiąć, iakim to wſzyſtko ſtało ſię ſpoſobem.

Przyznać potrzeba, odpowiedział Paſztetnik, że hiſtorya twoia ieſt arcy dziwna lecz ieżeli zechcesz iść za moią radą, życzę ći, ażebyś ſię nie przed każdym ztym otwierał, y czekał ćierpliwie ażby ſię nad tobą BOG zmiłowawſzy, oddalił od ćiebie te przećiwnośći, ktorym pozwolił na iaki czas ażeby ćię ućiſkaiąc wyprobowały. Możesz u mnie przez cały ten czas zoſtawać, a że ieſtem bezdzietny, chętnie ćię uznam za moiego Syna,

ieżeli

ieżeli na to zezwolisz. Jak ćię tylko ſobie przywłaszczę, śmiele będziesz mogł przechodzić ſię po Mieśćie, y nie będziesz więcey znoſił pośmiewiſka poſpolſtwa.

Lubo przywłaszczenie to dla Syna Wielkiego Wezyra, nie było z honorem, *Bedredyn* iednak przyiął chętnie Pasztetnika propozycyą; ſądząc że nie mogł ſię w ninieyſzey ſytuacyi ſwoiey, większego dla ſiebie ſpodziewać ſzczęśćia. Paſztetnik uſtroił go w ſzaty, przybrał ſobie świadkow y wobecnośći Kadyſa przywłaszczył go ſobie za Syna. Od tego czaſu *Bedreddyn*, przemieſzkiwał u niego, y ukrywaiąc ſię pod proſtym imieniem *Haſſan* nauczył ſię pasztetnictwa.

Gdy ſię to działo w *Damaſzku*, Corka *Szemzeddyna Mohammed*, przebudziła ſię, y zobaczywſzy że *Bedreddyna* nie było koło niey, rozumiała że wſtał, niechcąc iey przebudzać, y że ſię nie zabawem miał powroćić, czekała na iego powrot, gdy Wezyr *Szemzeddyn Mohammed*, iey Oyćiec, do żywego tknięty afrontem, ktory rozumiał że od Sułtana Egipſkiego odebrał, przyſzedłſzy do iey apartamentu, zaſtukał rezolwowany będąc opłakiwać z nią razem iey los nieſzczęśliwy. Zawołał iey po imieniu, co iak tylko uſłyſzała, wſtała y otworzyła mu drzwi. Pocałowawſzy go w rękę, przyięła go tak z weſołą twarzą, że Wezyr, ktory ſię ſpodziewał znaleść ią zalewaiącą ſię łzami w wielkim zoſtawać począł podziwieniu. Niepoczćiwa Corko, rzekł do niey z gniewem, śmiesz-

że tak wefoła ftawać przed moiemi oczami? odebrawfzy tobie y całey Familii fzkodzącey afront, możeszże prezentować tak twarz wefołą?

Szecherazada na tym mieyfcu dla pokazuiącego fię dnia mowić przeftała. Wnaftępuiącey nocy wroćiwfzy fię do fwego dyfkurfu rzekła do Indyifkiego Sułtana.

CVI. NOC.

Nayiaśnieyfzy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuuiąc hiftoryą o *Bedreddynie Haffan*: Corka Wezyra nowa zamężna, mowił, widząc że Oyćiec ganił iey radość, ktorą pokazywała na twarzy; rzekła Panie, nie łay mię, profzę, tak niefprawiedliwie, nie ztym albowiem ia Garbatym, nie ztą poczwarą, ktorą fię brzydzę dnia dzifieyfzego fpałam: tak fię wfzyfcy z niego naśmiewali, że przymufzony był zchować fię, a na iego mieyfce przyfzedł do mnie Młodzieniec ieden ślicznej urody, ktory ieft prawdziwym moim Mężem. Jaką ty mi powiadasz baieczkę, rzecze z gniewem *Szemzeddyn Mohammed*? Jako! Garbaty niefpał dnia dzifieyfzego z tobą? Nie, Panie, odpowie Corka, nie zkim innym fpałam, tylko ztym Młodzieńcem, o ktorym ći powiadam, ktory ma wielkie oczy y brwi czarne. Temi flowy Wezyr przyprowadzony do niećierpliwośći, y rozgniewawfzy fię mocno na fwoię Corkę, ah! nie poczćiwa, zawołał, chcesz że mię zrozumu wywieść

tym twoim dyſkurſem? Y owſzem ty ukochany Oycze, chcesz mię zrozumu wywieść, nie wierząc moim słowom. Nie ieſt że więc, prawda ſpytał ſię powtornie Wezyr, że Garbaty...... Ah! prze BOG! Oycze, proſzę ćię nie wſpominay mi iuż więcey o tym przeklętym Garbatym, przerwała mu mowę Corka, boday by iuż ten Garbaty przepadł! czyż zawſze ieſtem nieſzczęśliwa przymuſzona słuchać o tym Garbuſie? Raz ći ieszcze ukochany Oycze powtarzam, przydała, że nie z nim dnia dziſieyſzego lecz z ukochanym moim ſpałam Oblubieńcem o ktorym ći powiadam, y ktory tu gdzie muſi bydź niedaleko.

Szemzeddyn Mohammed wyſzedł ſzukaiąc go: lecz zamiaſt znalezienia go, zobaczył z wielkim ſwoim podziwieniem Garbatego leżącego w teyże ſamey ſytuacyi, w ktorey go zoſtawił był Geniuſz: to ieſt, maiącego plecy y głowę na źiemi, a nogi na ścianie. Coż to ieſt, rzekł do niego? ktoż to ćię tak na źiemi położył? Garbaty poznawſzy po głoſie Wezyra, odpowiedział mu, ah! ah! ty to ieſteś, ktoryś mi chćiał dać za Zonę kochankę Bawoła, Oblubienicę ſzkaradnego Geniuſza? Nie ułowisz mię, nie ſpodziewaj ſię tego, nie damći ſię oſzukać.

Szecherazada na tym mieyſcu hiſtoryi poſtrzegła dzień, przeto lubo bardzo mało tey nocy powiedziała, mowić przeſtała. Nazaiutrz kontynuuiąc ſwoię narracyą, rzekła do Sułtana Indyiſkiego.

CVII. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, Wielki Wezyr *Giafar*, kończąc ſwoię hiſtoryą, mowił; *Szemzeddyn Mohammed* rozumiał, że Garbaty oſzalał, gdy go uſłyſzał tak mowiącego, y rzekł podnieś ſię z tego mieyſca, y ſtań na nogach. Uchoway BOZE! nie uczynię tego, odpowiedział Garbaty poki ſłońce nie zeydzie. Wiedz albowiem o tym, że gdym tu dnia wczorayſzego w wieczor przyſzedł, pokazał mi ſię z nagła kot czarny, ktory nieznacznie tak ſię ſtał wielkim, iak Bawoł; pamiętam co mi rozkazał, więc idź ſobie proſzę odemnie, y pozwol mi, niech na tym mieyſcu zoſtaię. Wezyr zamiaſt oddania ſię, wziął Garbatego za nogi, y przymuſił go do wſtania; tu Garbaty ućiekać począł ze wſzyſtkich ſił, nie obzieraiąc ſię za ſiebie; przybiegł do Pałacu, prezentował ſię Sułtanowi Egipſkiemu, y ućieſzył go mocno opowiadaiąc mu, iak go traktował Geniusz.

Szemzeddyn Mohammed powroćił ſię do Corki ſwoiey pokoiu, w więkſzym ieszcze zoſtaiąc podziwieniu y niepewnośći, aniżeli przedtym, względem tego czego ſię dowiedzieć pragnął. Nużeż Corko moia, nie możeszże mię obiaśnić w tey awanturze, ktora mię w wielkim trzyma ſmutku y podziwieniu? Panie, odpowiedziała mu Corka, nie mogę ći iuż nic więcey powiedzieć nad to, com ći iuż miała honor opowiedzieć. Lecz oto, przydała, ſuknia moiego Męża, ktorą zoſtawił

wił na taborećie, możesz ſię z niey informować o tym czego odemnie żądasz. To wymowiwſzy podała Wezyrowi zawoy *Bedreddyna*, ktory przypatrzywſzy ſię mu dobrze, rozumiałbym, rzekł: że to ieſt zawoy Wezyrſki, gdyby nie był robiony po Muſulſku, * lecz poſtrzegłſzy że iakaś rzecz zaſzyta między materyą, y podſzewką, wziąwſzy nożyczek dobył złożony papier. Był to ſexternik, czyli kſiążeczka, ktorą *Nureddyn Ali* umieraiąc dał był ſwoiemu Synowi *Bedreddynowi*, ktory ią ſobie wzawoiu zaſzył dla więkſzey konſerwacyi. *Szemzeddyn Mohammed* otworzywſzy kſiążeczkę, poznał charakter ſwoiego Brata *Nureddyna Ali*, y przeczytał ten tytuł: *Synowi moiemu Bedreddynowi Haſſan.* Nim ſię nad tym dobrze zreflektował, Corka iego podała mu kieſę, ktorą nalazła pod ſuknią. Otworzył ią, y zobaczył że była napełniona cekinami iakom iuż wyżey powiedział, mimo albowiem rozrzutnośći *Bedreddyna Haſſan*, Geniusz y Czarownica zawſze ią konſerwowali w całośći. Przeczytał na wierzchu iey te ſłowa: *Tyſiąc cekinow należących do Żyda Izaaka*, a na drugim mieyſcu: *pieniądze te dane ſą Bedreddynowi Haſſan za towary będące na naypierwſzym okręćie, ktory ma przybić do portu, ktory to okręt należał niegdyś do Nureddyna Ali iego świętey pamięći Oyca.* Ledwie co przeczytał te piſmo weſtchnął głośno, y zemdlał.

 Sze-

* Muſſul Miaſto w Mezopotanii będące, nie daleko dawney Niniwy.

Szecherazada chćiała daley ſwą kontynuować hiſtoryą; lecz dzień pokazał ſię, a Sułtan Indyiſki począwſzy wſtawać, rezolwował ſię nazaiutrz iey ſłuchać reszty.

CVIII. NOC.

Nazaiutrz *Szecherazada* zabrawſzy głos rzekła do *Szachryara*: Nayiaśnieyſzy Panie, Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* będąc otrzyźwiony za pomocą ſwoiey Corki, y zwołanych od niey kobiet, Corko moia rzekł: nie dziwuy ſię, że mi ſię ten przytrafił przypadek. Przyczyna iego ieſt taka, ktorey zćiężkośćią podobno uwierzysz. Oblubieniec ten twoy, ktory z tobą przepędził noc, ieſt twoy Brat Stryieczny, Syn *Nureddyna Ali.* Tyſiąc cekinow znayduiących ſię w tey kieſie, przypominaią mi naſzą kłutnią, Brat ten moy bez wątpienia te pieniądze daie ći za weſelny podarunek, niech będzie BOG pochwalony we wſzyſtkich rzeczach, lecz oſobliwie w tey dziwney awanturze, ktora oſobliwſzym ſpoſobem moc iego pokazuie. Czytał potym po kilka razy charaktery ſwoiego Brata, całował ie wylewaiąc łzy rzewne. Ah! czemuż nie mogę, mowił z żalem, oglądać ſamego ukochanego *Nureddyna*, y zgodzić ſię z nim, tak iako oglądam miłe iego charaktery?

Przeczytał ow ſexternik od początku aż do końca, wyczytał w nim ktorego dnia Brat iego

przy-

przyſzedł do *Balzory*, ktorego ſię dnia ożenił, y ktorego mu dnia Zona iego wydała na świat *Bedreddyna Haſſan*. Dni te konfrontuiąc z dniami ſwoiego weſela, y urodzenia Corki ſwoiey w *Kairze* zadziwił ſię nad tą wielką konnexyą, a na oſtatek po długiey reflexyi zkonwinkowany był, że Synowiec iego był iego Zięćiem, zkąd nie wymowną napełniony był radośćią. Wziąwſzy ſexternik ten y kieſę, pokazał Sułtanowi, ktory darowawſzy mu winę, tak wielką miał ſatysfakcyą z relacyi tey hiſtoryi że ią ze wſzyſtkiemi okolicznośćiami rozkazał opiſać, dla zachowania iey potomnośći.

Ztym wſzyſtkim Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* nie mogł poiąć, iakim ſpoſobem Synowiec iego zniknął; ſpodziewał ſię iednak co moment zobaczyć go, czego z wielką oczekiwał niećierpliwośćią. Gdy iuż ſiedm dni płonną ćieſzył ſię nadzieią, rozkazał go ſzukać po całym *Kairze*; lecz lubo go z wielką ſzukano pilnośćią, żadney o nim dowziąć nie mogł wiadomośći. Co wielkich troſkow było mu przyczyną. Otoż, mowił częſto ſam w ſobie, awantura extraordynaryina, nikomu ieszcze podobno z ludzi podobna nie przytrafiła ſię.

W niepewnośći co ſię miało ſtać w dalſzym czaſie, ſądził za rzecz potrzebną, ażeby ſam ręką ſwoią opiſał Domoſtwo w ktorym obchodziło ſię weſele, iakim ſpoſobem napiſana była intercyza: iak ſala y pokoy iego Corki były meblo-

wane, związał razem zawoy, kieſę y ſuknie *Bedreddyna*, y pakę tę zamknął w ſkrzynię. . . . . Sułtanowa *Szecherazada* muſiała ſię na tym mieyſcu zaſtanowić, ponieważ dzień poſtrzegła. Przy końcu naſtępuiącey nocy tak do hiſtoryi ſwoiey powróciła ſię.

CIX. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuuiąc ſwą mowę do *Kalify*, rzekł: w kilka dni Corka Wezyra *Szemzeddyna Mohammeda* poſtrzegła, że była wciąży, y w ſamey rzeczy w 9. Mieſięcy powiła Syna. Dano natychmiaſt dziecku Mamkę, y naznaczono Niewolnicę do pilnowania go, a Dziad iego nadał mu Imię *Agib*. *

Gdy młody *Agib* miał iuż lat ſiedm Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* zamiaſt dawania mu Domowey edukacyi, oddał go w naukę Nauczyćielowi iednemu wielce ſławnemu, y naznaczył dwoch Niewolnikow, ktorzy by go zaprowadzili do Szkoły y odprowadzili do Domu. *Agib* bawił ſię częſto z ſwoiemi kondyſcypułami, a że wſzyſcy byli niżſzey kondycyi, trzymał między niemi zawſze prym y wielkie od nich odbierał poſzanowanie; w czym przykład Nauczyćiela był im za regułę, ktory wielkie czynił mu względy, y ćierpiał w nim te rzeczy, za ktore drugich karał. Wzgląd ten zbyteczny y powolność, z ktorą ſobie poſtępowano

* Słowo to znaczy w Arabſkim ięzyku cudowny.

wano z *Agibem*, zgubiła go, ſtał ſię dumnym, ſwywolnym y chćiał ażeby iemu godziło ſię wſzyſtko złe czynić drugim, ſam niechcąc żadney zćierpieć urazy. Wſzyſtko co chćiał czynił, a gdy ſię ktory odważył zprzećiwić iego woli łżył go słowy, a częſtokroć porywał ſię y do bićia. Naoſtatek ſtał ſię nieznośnym wſzyſtkim Studentom, ktorzy ſkarzyli ſię nawet na niego przed Nauczyćielem. Zpoczątku zachęcał ich, ażeby ćierpliwie znoſili, lecz gdy widział że przez to *Agib* bardziey ſię ieszcze gruntował w ſwywoli, y gdy mu ſię iuż mocno naprzykrzył: kochane dzieći, rzekł do ſwoich Studentow: widzę, że *Agib* ieſt wielki ſwywolnik, pokażę wam ſpoſob tak go zmartwienia, że was zapewne zaniecha? ſpodziewam ſię nawet, że nieprzyidzie dnia iutrzeyſzego do Szkoły. Gdy przyidzie grać z wami ſtańćie w koło niego, y każdy z was niech mowi głośno, graymy; ale pod tą kondycyą, ażeby każdy z nas powiedział y Oyca, y Matki ſwoiey Imię. Tych ktorzy tego nie uczynią, będziemy mieli za bękartow, y z ſobą im grać nie dopuśćimy. Nauczyćiel opowiedział im, że *Agib* wielką w tey mierze miał znaleść trudność, czego dowiedziawſzy ſię z wielką odeſzli od niego radośćią.

Nazaiutrz iak tylko ſię wſzyſcy zeſzli, nie omieszkali uczynić tego, czego ich nauczył Nauczyćiel. Otoczyli w koło *Agiba*, y ieden z nich zabrawſzy głos graymy rzekł w grę iednę; lecz ztą kondycyą ażeby ten ktory nie powie ſwo-

iey Matki y Oyca Imienia, w nią nie grał. Odpowiedzieli wszyscy y *Agib* nawet sam, że chętnie na to zezwalali Na ow czas ten, ktory pierwszy zaczął był mowić, pytał się ich wszystkich iednego po drugim, y wszyscy mu zadosyć uczynili, procz *Agiba*, ktory odpowiedział, mnie nazywaią *Agibem*, Matka moia nazywa się *Damą piękności*, a Oyciec moy zowie się *Szemzeddyn Mohammed* Wezyr Sułtana.

Na te słowa, wszystkie dzieci zawołały: *Agibie* coż to mowisz? imię to nie iest twoiego Oyca, ale twoiego Dziada. Bog by was skarał rzekł w gniewie *Agib*, śmieciesz mowić, że Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* nie moim Oycem? Studenci odpowiedzieli mu natychmiast, śmieiąc się, nie, nie, Dziadem tylko iest twoim, nie powinieneś więc z nami grać, prosimy cię nawet żebyś się do nas nie zbliżał. To wymowiwszy, żartuiąc z niego oddalili się, y nie przestaiąc, między sobą śmieli się. *Agib* mocno był zmartwiony tym ich szyderstwem, y począł płakać.

Nauczyciel ktory potaiemnie wszystkiego słuchał, y ktory słyszał wszystko, wszedł gdy się to działo, y obrociwszy się do *Agiba*: *Agibie* rzekł, niewieszże to ieszcze, dotych czas, że Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* nie iest twoim Oycem, ale że iest tylko Oycem twoiey Matki *Damy piękności*? nie wiemy tak iak y ty po Imieniu twoiego Oyca. Wiemy tylko o tym, że Sułtan chciał wydać twoią Matkę za iednego swego garbatego

Maszta-

Masztalerza; lecz że Geniusz z nią potym ſpał. To ieſt nie małą dla ćiebie nieſzczęśliwośćią, y powinno ćię nauczyć, że masz z wielką ludzkośćią traktować ſwoich kondyſcypułow.

Szecherazada zobaczywſzy na tym mieyſcu dzień zakończyła ſwoy dyſkurs: lecz nazaiutrz wroćiwſzy ſię do niego rzekła do Sułtana Indyiſkiego.

CX. NOC.

Nayiaśnieyſzy Panie, mały *Agib* tknięty do żywego tym naigrawaniem ſwoich kondyſcypułow, poſzedł z wielkim gniewem od Nauczyćiela do ſwoiego Domu, zalewaiąc ſię łzami. Wſzedł natychmiaſt do apartamentu ſwoiey Matki, *Damy piękności*, ktora zafraſowawſzy ſię że go widziała tak ztrapionego pytała go ſię, o przyczynę tego płaczu. Odpowiedział iey na to, słowy przerwanemi częſtym łkaniem, tak albowiem był śćiśniony wielkim żalem, że ledwie przeſtaiąc po kilkanaśćie razy dla łkania, mogł opowiedzieć przyczynę ſwoiego płaczu. Gdy to ſkończył, na Imię Boſkie zaklinam ćię Matko, przydał: Opowiedz mi proſzę, kto ieſt moy Oyćiec? Synu moy, odpowie Matka, Oycem twoim ieſt *Szemzeddyn Mohammed* ktory ćię codziennie całuie, y pieśći. Nie powiadasz mi Matko prawdy, rzecze powtornie *Agib*, nie ieſt to moy Oyćiec, ale Twoy, lecz ia kogoż proſzę miałem Oyca? Na ow czas *Dama piękności* przypomniawſzy

wſzy ſobie dzień ſwoiego weſela, po ktorym iuż tak długo zoſtawała w Wdowim ſtanie, rzewnemi poczęła ſię zalewać łzami, opłakuiąc gorzko utratę tak godnego miłośći Oblubieńca, iakim był *Bedreddyn.*

Na ow czas gdy *Dama piękności* płakała w iednym kąćiku, a *Agib* w drugim, Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* wſzedłſzy pytał ſię o przyczynę ich płaczu. *Dama piękności* opowiedziała mu umartwienie, ktore *Agib* odebrał w Szkole. Relacya ta raziła okrutnie ſerce Wezyra, ktory łzy ſwoie z ich łzami złączywſzy do oſtatniey prawie przychodził rozpaczy, że ludzie tak uwłaczali honorowi iego Corki. Trapiąc ſię okrutnemi myślami, poſzedł do Pałacu Sułtana, y rzućiwſzy ſię do nog Jego, upraſzał go pokornie, ażeby mu pozwolił obiechać wſchodnie Prowincye, a oſobliwie bydź w *Balzorze* dla wyſzukania ſwego Synowca *Bedreddyna Haſſan*; przydaiąc że nie mogł tego bez ćiężkiego żalu znośić, iż w Mieśćie całym rozumieią, że Corka iego *Dama piękności* z Geniuſza zrodziła Syna. Sułtan wſzedł w prawdziwy żal Wezyra, aprobował iego przedſięwzięćie, y pozwolił mu go wykonać. Rozkazał mu nawet napiſać Patent, w ktorym upraſzał słowy wielce obowiązuiącemi wſzyſtkich Monarchow y Panow mieyſc tych, na ktorychby ſię mogł znaydować *Bedreddyn*, ażeby z wielką łatwośćią pozwolili Wezyrowi wziąć go z ſobą.

Szemzd-

Szemzeddyn Mohammed nie mogł wynaleść tyle słow, ktoreby mu wyſtarczyć mogły na doſtateczne podziękowanie Sułtanowi za tę iego łaſkę. Kontentował ſię tylko upaść do nog tego Monarchy powtornie; łzy iednak leiące ſię potokiem z iego oczow, wyraziły doſkonale iego wdzięczność: naoſtatek pożegnawſzy ſię z Sułtanem życząc mu wſzelkich pomyślnośći wyſzedł z Pałacu. Przyſzedłſzy do ſwoiego Domu, należyte do podroży uczynił przygotowania. Co wſzyſtko z tak wielką ſtało ſię pilnośćią, że we cztery dni z Corką ſwoią *Damą pięknośći* y z *Agibem* Wnuczkiem ſwoim wyiechał w drogę.

Szecherazada poſtrzegłſzy że ſię iuż dzień pokazywał przeſtała na tym mieyſcu mowić. Sułtan Indyiſki relacyą iey dziwnie ukontentowany, pałaiąc wielką chęćią słuchania reszty tey hiſtoryi, wſtawać począł. Jakoż Sułtanowa w naſtępuiącey nocy zadoſyć uczyniła iego ćiekawośći wracaiąc ſię do ſwego dyſkurſu w te słowa.

KONIEC III. CZĘSCI.

REGESTR

REGESTR
MATERYI
ZAWIERAIĄCYCH SIĘ
w
TRZECIM TOMIKU.

XCVI.

KONIEC REGESTRU TOMU III.

y-

y-

d-

d-

nie

nie

ly-

nie

ly-

ly-

ly-

ly-

nie